

W yjdę za ciebie. Ty daleko zajdziesz. Z ciebie
est 844K 6/100 aszy na do życia.

Osłupiałem.

— A co z Alikiem?

— On mnie nie potrzebuje. On nikogo nie potrzebuje, on ma
woją muzykę. I przez nią się spali.

To była prawda.

Nata została moją żoną. Zmusiłem ją, by rzuciła palenie. Zapisa-
łem na kursy kroju i szycia. Kupiłem książkę kucharską. Razem
konserwowaliśmy grzybki na zimę. Urodziło się nam dwoje dzieci.
Roztyła się i panicznie, wprost obsesyjnie bała się, żeby przypad-
kiem nie spotkać się z Alikiem.

Kanapa na skraju łąki

Opowiadania ukraińskie

Czytelnik



Kanapa na skraju łąki
Opowiadania ukraińskie

Kanapa na skraju łąki

Opowiadania ukraińskie

Wyboru dokonała Tatiana Hołyńska

Tłumaczyły: Zofia Głowiakowa,

Tatiana Hołyńska,

Elżbieta Raczyńska-Mraczek, Ewa Szulc

Czytelnik Warszawa 1986

Obwolutę, okładkę i kartę tytułową projektował
Wiesław Rosocha

Fotografia na okładce
Andrzej Chojecki

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
Warszawa 1986

ISBN 83-07-01269-4

Astrolog z Drohobycza

I rzekł Mistrz: „Niech wszyscy pozostaną, a ten jeden niech wyjdzie”. A gdy ten wyszedł, Mistrz pokazał im młodą dziewczynę, a potem kazał przedstawić jej obraz słowami, a ów, który wychodził — słuchał; przed jego oczami przesuwały się młode dziewczęta, a on nie mógł rozpoznać, którą mu opisywano, chociaż każdy z opowiadających dbał był o prawdę i mówił tylko o tym, co widział..

W roku 1468 straszliwy pomór padł na Polskę. Zaraza rozszerzyła się na przyległe do Polski i Rusi Czerwonej ziemie. Nawet Wilno nie ustrzegło się zarazy przywleczonej przez zbrojne oddziały ruskich wojów. Dwadzieścia tysięcy gdańskich mieszczan położył mór pokotem. Zapanował wielki głód, myszy gospodarzyły w miastach jak we własnych ciemnych norach.

Zimą 1468 roku Jurij Kotermak, syn mieszczan z Drohobycza, wstąpił na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie.

W roku 1967 ulicami Krakowa chodziły młode dziewczęta w kusych sukienkach, ukazując wszem wobec ledwo zakryte uda w cielistych ażurowych pończochach. Na Wawelu ustawiały się długie kolejki pragnących obejrzeć resztki jego cudów i nabyć u wejścia plakietkę na szpilce wyobrażającą smoka, którego ongiś pokonał dzielny Krak.

W roku 1967 siedziałem w letniej kawiarence, przylegającej do czerwonego muru jakiegoś budynku, i de-

lektowałem się wonnym napojem, zaparzonym białymi rączkami pięknej krakowianki.

Te dwa fakty, odległe od siebie o pięć stuleci, mają całkiem odmienny walor historyczny — na pozór są absolutnie nieporównywalne, a jednak mają wiele wspólnego.

W roku 1967 szukałem ledwo widocznych śladów, jakie na tym bożym świecie pozostawił Jurij Kotermak, syn mieszczanina z Drohobycza, uczony eskulap i astrolog.

Ślady były tak ulotne, jak gdyby Jurij Kotermak stąpał wyłącznie po sypkim piasku. Nie miałem w ręku nawet czaszki, by westchnąć nad nią wzorem Hamleta: „Biedny Joriku!” Wiedziałem o Koterunku nie więcej, niż on mógłby wiedzieć o mnie.

A jednak od razu rozpoznaliśmy się nawzajem. Podszedł do mego stolika, przywitał się, usiadł. Poskarżył się na upał i na dwóch żaków, którzy nie zapłacili mu jednego florena za naukę, po czym poprosił krakowiankę o białych rączkach, by mu podała mocną kawę po turecku.

Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałem. Cały w czerni, jak mnich, miał bardzo jasne, niemal białe włosy i jakby przymglone spojrzenie, które czytało ludzkie losy w głębokościach nieba. Rozmowa toczyła się z oddalenia pięciu wieków, ale nasze myśli spotykały się na tej samej płaszczyźnie.

— Potrzebny mi zapał w opisie wydarzeń, żeby wywołać wzruszenie, strach, żal czy oburzenie. Bez tego nie można odpowiednio opisać obyczajów państw i narodów ani przekazać uczuć i uniesień, które są właściwe naturze każdego człowieka. Siły autora pomnaża bowiem ranga opisywanych wypadków, umysł zaś jego jakby nasycy się zarówno niezwykłością i wagą uczynków, jak i echem wielkich słów...

— Poznając mowę biskupa wrocławskiego, Piotra z Bnina — powiedział Kotermak.

— To moje własne myśli — zaproponowałem. — Nigdy nie słyszałem o Piotrze z Bnina.

Mówię wam: patrzył mi prosto w oczy — w suchych gałązkach palców zatrzymał czas, piękna krakowianka podawała kawę w maleńkiej, niemal przezroczystej błękitnej filiżance z cieniutkiej porcelany, zupełnie jak na królewskim dworze.

Czas utracił swoje znaczenie — Kopernik obracał na dłoni kulę ziemską, twierdząc, że Słońce stanowi centrum wszechświata; Filip Buonaccorsi, zwany także Kallimachem albo Doświadczonym, chytry i mądry Odyseusz średniowiecza, genialny kameleon w polityce, znakomity historyk i poeta, przewędrował wiele krajów, by w końcu osiąść w polskiej ziemi i podjąć obowiązki wychowawcy synów królewskich.

Magister Kotermak unosił porcelanową filiżankę, delikatnie przytykał do niej wąskie, wrażliwe wargi, a to, co mówił, jak gdyby zaświadczało jego obecność przy każdym z tych wydarzeń; nie okazywał zarazem najmniejszego zdziwienia na widok błękitu nieba, który w ciągu tych pięciu stuleci nie przyblakł ani trochę, ani na widok wpół nagich ud i sztucznie przedłużonych — jak u egipskich piękności — oczu krakowianek, ani czerwonych, kawowych i niebieskich Cadillaców, Mercedesów i najnowszych modeli Alfa-Romeo. Nie dziwiły go ani kuszące kempingi, ani przeszklony betonowy gmach nowej biblioteki uniwersyteckiej — zdawało się, że wszystko to dawno przewidział albo może wywróżył z ruchu ciał niebieskich, z ich wielkości i blasku, i rządzących nimi tajemnych praw.

Jan Kepler z Wirtembergii, nadworny astronom cesarza Rudolfa II, odkrył, że orbita każdej planety jest elipsą, Słońce zaś znajduje się w ognisku elipsy. „Moja księga została napisana — oświadczył — i jest mi

obojętne, czy ją przeczytają moi współcześni, czy dopiero potomni. Może sto lat będzie musiała czekać na swojego czytelnika, podobnie jak Bóg czekał sześć tysięcy lat na badacza wszechświata.”

Kotermak nie pozostawił po sobie ani takiej książki, ani takich słów. I właśnie ta jego zwyczajność pociągała mnie.

Mówię wam: siedział sobie ze mną, rozmawiał — ot, zwykły znajomy, tyle że ubrany na czarno. Kopernik pewnie by się nie przysiadł — Kopernik to już nie człowiek, to symbol swojego pokolenia; ale prosty mieszczanin z Drohobycza siedział i popijał kawkę, a ja wcale nie byłem zdziwiony słysząc, że dwóch żaków nie zapłaciło mu florena za naukę, który to floren bardzo by się przydał... Obaj mieliśmy przed oczami długą drogę, jaką trzeba było przebyć, aby z małej, zagubionej w górach miłośnicy znaleźć się aż tu, w Krakowie. Drewniany, tonący w błocie, otoczony waleń Drohobycz roztapiał się w błękitnej roztoczy, z której dobiegał ledwie słyszalny gwar.

Z tego zmieszanego gwaru pozostał tylko jeden głos: Jurija z Drohobycza. Jurij Drohobycz z Rusi — bakałarz, magister, profesor i rektor uniwersytetu w Bolonii, profesor uniwersytetu krakowskiego, autor ksiąg, medyk jego królewskiej mości Kazimierza Jagiellończyka, nauczyciel żaków. I ów nie zapłacony floren — ten floren jest dla mnie najważniejszy. Co się za nim kryje — ubóstwo, sknerstwo czy pedanteria? Szukałem śladów człowieka sprzed pięciu stuleci. Geniusz, uwolniony ze skorupy codzienności, jest niedosiężny i bezpieczny wobec zakusów na jego niepowtarzalność. Nic dziwnego, że objawia się nam nieskalany jak św. Franciszek z Asyżu — sami chronimy go przed plotkami i domysłami, nie pozwalamy grzebać się w jego dniu powszednim. A gdy naraz zjawia się zwyczajny człowiek sprzed pięciu wieków, czy

można nie stracić głowy z radości, że oto znalazł się, jest, otwiera się przed nami jak księga?

Takiego Kotermaka szukam — zwykłego, codziennego. I boję się, że nie znajdę. I znów zaczynam gorączkowe poszukiwania.

Do butelki rzuconej na fale ktoś włożył zapisaną kartkę. Kto? Kiedy? Papier przetaił się, pismo wyblakło, niektórych liter w ogóle nie widać. Każdy ma prawo wpisać tę, której brakuje, nadać słowom sens. I każdy będzie miał rację, a zarazem — nikt jej mieć nie będzie.

Takie właśnie, jota w jotę, są dzieje Kotermaka. Wszystko o nim jest prawdą i wszystko — nieprawdą.

Męcę się z tym Kotermakiem. Od pierwszego dnia, kiedy postanowiłem go odnaleźć. Jakby jakiś głos nawoływał — znajdź go, odszukaj. I oto siedzi sobie teraz przy stoliku i jakby nigdy nic rozmawia ze mną. Czy wtedy, gdy opuszczał rodzinny Drohobycz i szerokim traktem ruszał przed siebie (oglądał się czy nie oglądał, miał przewieszzone przez ramię biesagi czy nie miał, dźwięczały mu w uszach cerkiewne śpiewy czy już o nich zapomniał?), czy wtedy gdy tak szedł, widział przed sobą tę samą drogę, która i teraz leży, udeptana przez stulecia. Czy szedł szukać mądrości, czy sławy? Mogły mu się wówczas śnić dziewczęta, białe i nagie, jak brzozy o przedwiośniu — tak, jak jeszcze dzisiaj śnią się całkiem młodym chłopcom i jak śnić się będą także potem, i jeszcze za następne pięćset lat.

Dopisuję dowolnie wybrane litery do tych, które się ostały w zatartym życiorysie Jurijsa-Georgijsa z Rusi.

Dzień dobiegał końca, pogrążając w niebyt mnóstwo wydarzeń, rozmów, łez, śmiechu i nadziei. Odpływał bezpowrotnie, jak wody Wisły. A Wisła płynęła obojętnie, jak czas.

Złociste krzyże Mariackiego kościoła jak ostre klin-

gi rozcinały niebo; na widok kościelnych wież i odgłos dzwonów niezliczone ręce również kreśliły znak krzyża. Na miasto schodziła cisza — zamierały targowiska, zamykały się hałaśliwe warsztaty kowali, blacharzy, mieczników, z łaźni wychodzili rozgrzani, leniwie odprężeni krakowscy mieszczanie, na wyłożonych drewnianymi balami ulicach potykały się płochliwie konie przyjezdnego kmiecia, wystrojonego na tę okazję w sukienny kaftan, uszyty przez wędrownego „partacza”, i wysmarowane tłuszczem skórzane buty. Ów kmieć, dorodny i mocny, wytrzymały na głód i chłód, tylko tu, w mieście, spozierał jakby niepewnie, spragniony nowości, wszystkiego ciekawy; ale tu wszystko dla niego zbyt wysokie, niedostępne, niby te wieże kościelne czy zamek okolony murami. U siebie w domu ten sam kmieć nie ścierpi upokorzenia, jak trzeba — ustawia na widocznym miejscu przed pańskim folwarkiem znak przestrogi: dwa skrzyżowane miecze, a potem czerwoną lunę nad płonącym folwarkiem widać aż na przedmieściu Krakowa albo i dalej.

W rynku zamykano kramy sukiennic, boski tkacze obliczali utarg, do przytułków ściągali żebracy i kaleki i układając się na nędznych barłogach zagryzali biedę chlebem na żołędziach i lebiodzie. Chytry szmuklerz-obeżyświat liczył po cichu, ile też weźmie za zamówione przez możnego pana trzy złote, wysadzone perłami diademy, bogate naszyjniki i kapelusz zdobny żurawimi piórami.

W kuchni wielmoży warzono w miedzianych kotłach piwo na chmielu i ryby — pan wyprawiał wielką ucztę i wedle zwyczaju każdy ubogi mógł wtedy liczyć na łyk smacznego piwa i kawałek ryby.

Miasto chowało się na noc jak wielki zwierz w swoim legowisku.

Na niebo wysypywały się gwiazdy, niepokalane, białołękitne.

W ogrodzie na tyłach murowanego piętrowego domu Jana Mierzycy toczyła się poważna rozmowa.

Uczony mąż podejmował gości. Był tu Jakub z Bokszyc, przez swą małą głowę i długi, ostry nos podobny do ogromnego kondora, wysoki, odziany raczej jak rycerz niż uczony. Był Mikołaj Mergus z Nicei, poważny, cichy, z palcami jak krótkie zęby grabi, stłumionym głosem i powolną mową. Obaj byli obeznani z książkowymi mądrościami, wierzyli w Boga, astrologię i władzę królewską.

I był Kallimach. Ten wierzył najbardziej w człowieczy rozum i własną doskonałość, uważał, że ma prawo jak kochanki zmieniać królów, którym służył — nie znający spokoju Kallimach, o duszy zmaconej aż do dna, ze śniadą twarzą i chytrym profilem — potomni będą mogli oglądać jego podobiznę na płycie nagrobnej w w krakowskim kościele dominikanów. Płytę tę na przełomie XV i XVI wieku wykona wedle projektu znakomitego Wita Stwosza pewien mistrz z Norymbergi, ale to potem — teraz Kallimach jest niespokojny, nie może usiedzieć na miejscu, nie cieszą go własne, ładnie brzmiące i pełne głębokich myśli poezje, nie kusi wyszukany, kosztowny trunek — słodkie wino z Italii, które nie bacząc na koszty postawił na stół Jan Mierzycy. (Przypomina ono Kallimachowi ojczyznę i młode lata, ale dziś nawet wino jest mu obojętne.)

Niech teraz wejdzie do ogrodu na tyłach murowanego domu Jana Mierzycy mieszczański syn z Drohobycza. Niech wejdzie.

Nie wiem, co robił owego wieczoru Jurij Kotermał. Nie chcę nikomu wmawiać, że tak właśnie było: wszedł, przywitał się i pił słodkie wino z Italii, mogło być całkiem inaczej. Owego wieczora mógł:

Układać modlitwę do Boga.

Wspominać, jak w Rzymie dopraszał się łaski zna-

mienitych wielmożów, aby zechcieli go polecić komuś bogatemu a szczodremu, kto w dodatku interesowałby się astrologią. Astrologia dawała Kotermakowi chleb, a prawa rządzące ruchem ciał niebieskich zdawały się ściśle — jak ogniwa łańcucha — związane z losem człowieka. Bo czyż od tego, jak świeci słońce i jak pada deszcz, nie zależą ludzkie losy? Czyż więc nie może być prawdą i to, że zależą one również od gwiazd? Człowiek jest słaby, bezsilny, udęczony wątpliwościami, dobrze by było obdarzyć go wiarą i tę wiarę umocnić — tak mówią gwiazdy...

Równie dobrze mógł tego wieczora jechać bitym traktem z Krakowa aż do Lwowa — tym traktem wozilo się sól z Polski, tym traktem szli na Polskę Tatarzy, tym traktem uchodził ze swej stolicy król, gdy w Krakowie pañował głód i zaraza, tym traktem chadzali kmiecie, chowając noże za pazuchą, bo kmieciom nie wolno było nosić broni.

Kiedyś dawno, witając sławnego króla Kazimierza Jagiellończyka powiedział Jan z Ludziska: najwyższa chwała ojczyźnie Polaków przynależy. Niech sobie będą inne i stokroć piękniejsze — dla mnie tylko ta jedna najwyższego godna podziwu.

Polska. Równinna, niewielka, jak łono kobiety. Wisła pluszcze, wiążąc zé sobą oba brzegi i wszystko, co na nich. Polska równina pachnie miodem. Ty mówisz o sobie: Jurij Kotermak z Rusi, tobie ta Ruś pachnie jeszcze bardziej słodko — czy w twojej duszy nie zachowało się nawet wspomnienie? Swoją księgę dedykowałeś wszechpotężnemu papieżowi, modliłeś się do katolickiego Boga. Kimże ty byłeś, Kotermaku? Jeszcze Rusinem czy już...

Różne rzeczy mógł robić owego wieczora Kotermak, ale mnie pasuje, żeby zaszedł na chwilę do ogrodu za domem Jana Mierzycy.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków.

— Witamy w naszych progach słynnego astrologa.

Krakowska szkoła astrologiczna słynęła na cały świat. Astrolog był równy astronomowi (między tymi dyscyplinami nie czyniono różnicy — obie uważane były za naukę). Kronikarz węgierski pisał: Cracovia astrologis reperta est... A Kotermak wśród nich nieostatni.

Dwaj zacy nie zapłacili mu florena za naukę: wraca właśnie z przedmieścia, gdzie udzielał pomocy lekarskiej ubogiemu mieszczaninowi; gwiazdy mówią, że śmierć przyjdzie po Kallimacha już po jego, Kotermarka, odejściu; imię Kallimacha długo będzie sławne, tylko że nikt nie pozna prawdziwych pobudek jego czynów i trudno będzie stwierdzić, czy był on wierny prawdzie historycznej, czy popychała go żądza sławy i zaszczytów, jakimi po kolei obdarzali go różni władcy, zależnie od tego, któremu właśnie służył. O tym to wszystkim mówił Kotermak.

Siebie samego widział na śmiertelnym łożu w jakiejś ubogiej chacie. Podzielał potem zacy między siebie tych kilka florenów? Swój dom, zbudowany na gruntach Uniwersytetu, między Bursą Węgierską i domem Kletnara, zapisał podobno tym wszystkim, co pieszo, z biesagami, przybędą od strony Drohobycza, aby mogli w tym domu mieszkać, gdy będą zgłębiali wszelaką wiedzę na sławnym krakowskim uniwersytecie.

Serce Kallimacha bije trwoźnie — wszystko to proch i marność, nic nie ma sensu, albowiem tak czy inaczej na wszystko przychodzi kres.

A gdzie leży ziemia, która kiedyś przyjmie jego prochy? Wgnany z ojczyzny, nie był jej wierny; Polska stała się dla niego przystanią — lecz czy nazwie ją swoją ojczyzną? Polska go wywyższyła i obsypała zaszczytami, jakich tylko człowiek może za życia dostać

pić — on też wielokrotnie się jej odwdzięczał, gdy była w potrzebie, a jednak słodkie wino pachnie dalekim domem i matczyną piersią...

Stara się odpędzić trwogę, rozprawiając z przejęciem o najnowszej historii Wenecji napisanej przez Sabellika.

— Księga ta ma poważną lukę — mówi. — Nawet nie wspomina o tym, że w planach Wenecji było pokonanie Turków.

— Zamiar to bardzo doniosły i przynoszący zaszczyt temu miastu, a zarazem dowód politycznej mądrości: Wenecja pragnęła pokonać Turcję, udzielić pomocy Grekom, a zrobić to miała przy wsparciu Persów i Tatarów... Jednakże w tej księdze istotnie nie ma o tym mowy — potwierdza Jurij z Drohobycza.

Jakub z Bokszyca zna cenę słodkiego italskiego wina i smakowitych potraw. Troska o losy Grecji i historię Wenecji nie psuje mu humoru przy stole. Spiesz się jednak z dobrą radą:

— Jako wielki znawca tych spraw i niedościgniony polityk musisz, Kallimachu, sam o tym wszystkim napisać. Ty nie uchybisz chwale Wenecji.

— Turcy to nieszczęście dla całego świata chrześcijańskiego, ale gdy zło panoszy się daleko od naszych oczu, płacz pokrzywdzonych ledwo dochodzi do naszych uszu... Szlachetny poryw wielkich umysłów mógłby niezwłocznie pchnąć świat do walki, ale skargi ucichły i poryw zgasł — mówi Kallimach.

— I właśnie tobie, Kallimachu, najbardziej przystoi o tym pisać — popiera Jakuba z Bokszyca Mikołaj Mergus.

— Ja właśnie proszę o to was, zacni Mikołaju i Jakubie, abyście zechcieli przysłużyć się prawdzie a zarazem sławie mojego imienia. Pisząc bowiem historię Wenecji musiałbym niejednokrotnie wymieniać własne imię, a nie mogę przecie mówić o sobie tak otwar-

cie, jak tego wymaga wzgląd na prawdę historyczną.

— Zadanie to ogromnie ważne, wymaga wyjątkowego talentu i daru słowa — wtrąca Kotermak.

— Brak mi odwagi, aby podejmować rzecz taką — wymawia się Jakub z Bokszyca.

Nie pomagają prośby Kallimacha.

— Tylko wśród szlachetnie urodzonych — mówi Jan Mierzyca — zdarzają się umysły naprawdę wielkie, zdolne zrozumieć losy rzeczypospolitej czy monarchii, rozpoznać, co wiedzie do potęgi, otacza blaskiem i podtrzymuje w upadku. A ty, Kallimachu, lepiej niż każdy z nas potrafisz to ogarnąć.

Zapomniał gospodarz, że przy stole siedzi syn prostego mieszczanina. Ojciec Jurija — Mychajło Donat — był człowiekiem ubogim, daleko mu było do szlacheckiej godności, więc i synowi nie pozostawił w spadku szlachectwa ni herbu, dał tylko biesagi na drogę w świat — do Krakowa. Któż jednak jak nie ów nadworny medyk królewski, co leczył także prostych, ubogich ludzi, któremu dane było z obrotów gwiazd odczytywać losy monarchów i zwykłych kmieci, któż jak nie on wiedział najlepiej, że jedni i drudzy jednako bezsilni wobec przeznaczenia, jednako od jego kaprysu zależni i jednako brzmią ich skargi?

Kotermak uśmiecha się widząc pewność siebie, z jaką przemawia Jan Mierzyca i mówi:

— Spośród wszystkiego, co ojce mogą pozostawić dzieciom, najcenniejszym darem jest chwałą okryte dobre imię. Lecz, zaprawdę, nie masz cięższego niż ono brzemienia... Pieniądz i wszelkie inne dobro można niekiedy bez własnej winy utracić i ten uszczerbek nie zawsze musi przynosić ujmę. Dobre zaś imię w parze z najwyższą dumą chadza, a jego utrata — hańbę sromotną przynosi.

Biegło nad Kotermakiem niebo. (Chociaż odległy jest jego przestwór dla naszych oczu, niezbyt jednak od-

legły dla człowieczego rozumu — twierdził.) Biegło nad nim niebo pełne zagadek, ale on zadał nam swoją.

Nie błyszczał własnym blaskiem. Przyćmiony sławą Kallimacha, świetnością Kopernika, pychą monarchów — pozostał niewidoczny.

Jego ślady ulotne — jakby stąpał po sypkim piasku.

A przecież zadał nam zagadkę.

Ginęły pokolenia, umierały stulecia, pozostawały po nich dziesiątki imion — ślady genialnych mędrców, a może tylko genialnych szarlatanów.

Kotermak nie był mędrce. Ani szarlatanem.

A jednak oparł się czasowi.

Wywróżył to sobie.

U gwiazd wyprosił swój los.

Był astrologiem.

Otrzymał dar.

Nawpółnieśmiertelności?

Peter Brenner (tak go sobie nazwijmy) był wysoki, łysawy, nosił się elegancko. Jak na Niemca przystało, lubił piwo i domowe ognisko, żonę zdradzał rzadko, lecz zawsze z równie solidną, niebieskooką Niemką.

Gdyby szło o Petera Brennera, można by sobie niejedno wyobrazić: powiedzmy — wieczorami grzeje przy kominku nogi w pasiastych skarpetkach, czyta gazetę i zajada grube kanapki przygotowane przez troskliwą żonę, wzdycha sentymentalnie — tak właśnie przystoi wzdychać Niemcowi — i patrząc w gwiazdy przypomina sobie cudowne wiersze Heinego.

Ale nie chodzi o Brennera. Ważny jest Kotermak. Schliemann odkrył Troję.

Newton — prawo przyciągania ziemskiego.

Kolumb — Amerykę.

A Brenner odkrył Kotermaka.

Brenner był antykwariuszem. To była jego pasja i jego chleb. Nie widział nic złego w tym, że zarabia na własnej pasji. Czasem były to duże pieniądze, czasem zdarzało się nawet dołożyć do interesu. Brenner nigdy nie odczuwał braku pieniędzy; w tym była jakaś racja — zarabiać na tym, co się kocha.

Jak do tego przyszło? W jakimś sklepiku zawijano drobne sprawunki w karty uczonej księgi, wydrukowanej kilka wieków temu. Brenner od razu się zorientował i kupił za bezcen resztki starodruku, jako że dla sklepikarza więcej znaczył kawałek kiełbasy niż jakieś starożytne szpargały.

A może umarł ktoś i pozostawił po sobie skrzynię, w której — nie wiadomo skąd i dlaczego — między starymi łachami leżała księga w skórzanej oprawie?

Jakoś to być musiało.

Słowem Brennerowi trafiło do rąk wydane w Rzymie, pisane łaciną dzieło *Iudicium prognostikon...* autor — Georgij Drohobycz z Rusi, magister, mąż uczony, astrolog...

^ Nie był to żaden egipski papirus ani zbutwiały, kruchy, ale cenniejszy niż złoto oryginał Eurypidesowej tragedii — nie, aż tak mu się nie poszczęściło.

Brenner poznał się jednakże na wartości księgi.

W jego pokoju paliło się światło. Pokój w niczym nie przypominał przybytku czarnoksiężnika i maga — czasy czarnoksiężników dawno minęły. A jednak było tu coś osobliwego: specyficzny zapach starych ksiąg, woń, której z niczym nie można porównać — tak pachną tylko stare księgi. Brenner kochał się w starych świecznikach, prawie wcale nie wystawiał ich na sprzedaż, chował dla siebie. Mosiężne, szerniałe, i z brązu, ciężkie jak płyty nagrobne; miłe, smukłe figurki Psyche i drapieżne chimery... Gdy nagle ogarniało go poczucie samotności — a to może się przydarzyć każdemu, nawet komuś, kto wpadł na pomysł

handlowania tym, co ukochał — zapalał wszystkie swoje świeczniki; świece paliły się drobnym, chybottliwym płomieniem, na obitej ciemną tapetą ścianie pojawiały się ruchliwe cienie trupiej czaszki (pozostałość po ojcu lekarzu, która teraz służyła jako popielniczka) i małej figurki wschodniego bożka o płaskim obliczu — dopiero wtedy pokój zaczynał wyglądać tajemniczo, a Brenner faktycznie stawał się podobny do maga: rysy twarzy wydłużały się i zaostrzały, oczy traciły zwykłą dobroduszość. Kotermakowa księga, wydana w Rzymie cztery wieki temu, w czarnej oprawie, z żółtawymi niczym skóra zabalsamowanego faraona stronicami pasowała do tych świeczników.

Brenner czytał. W księdze były określone przewidywane zaćmienia księżyca, i po raz pierwszy — a każda rzecz po raz pierwszy uczyniona ma przecież swoją wartość — była tu mowa o Lwowie, Drohobyczu (krzyżowały się u Kotermaka drogi — szlaki ciał niebieskich i szlaki ludzi). Brenner pomyślał, że ta księga to przecież rzadkość, szczególnie dla narodów północnych (przez jego ręce przeszło niemało starych ksiąg — od razu rozpoznałby falsyfikat, podobnie jak biegły jubiler na sam dźwięk wyczuwa obcą domieszkę w szlachetnym kruszcu).

Cztery wieki wędrowała ta księga z rąk do rąk — tak sobie wywróżył Kotermak: miała istnieć, miała wędrować po świecie przez czterysta lat, przez nikogo nie odkryta, nikomu nie znana, może i nie czytana. A jednak żyła, istniała.

I wreszcie trafiła do rąk Brennera.

Wszystko ma swoją cenę — dzieło Kotermaka też ją miało: czterysta osiemdziesiąt niemieckich marek oraz poczesne miejsce w katalogu cymeliów.

Zdarzyło się to gdzieś w roku 1898.

Zacny Niemiec, nazwijmy go Peter Brenner, odkrył Kotermaka, syna mieszczan z Drohobycza.

Popijał owego wieczoru piwo, całował białą szyję zony; bardzo byłby rad, gdyby ktoś nabył Kotermakową księgę za czterysta osiemdziesiąt niemieckich marek — taką właśnie cenę na nią wyznaczył.

Czemuż by nie?

W końcu chyba ktoś ją kupił. I znów wędrowała księga przez świat, czasy i ludzi.

I powrócił Georgij Kotermak, syn Mychajła Donata, do rodzinnego Drohobycza.

Miasteczko w dolinie, jak we wpół rozwartych dłoniach.

W górze — niebo, niżej — rzeka i droga.

Żłociste słupy stały na niebie (właśnie zachodziło słońce), lasy, bezlitośnie odarte z szat, jak ograbieni przez rozbójników podróżni, usiłowały skryć swą nagłość za gęstym oparem mgieł.

Droga wiła się uskakując na boki jak zając, jakby pragnęła zmylić ślady. Ta sama udeptana przez wieki droga. Gdzieś tam, schowane za chmurami, musiały już być góry. Z przydrożnej karczmy, zbrązowiełej ze starości, dolatywały śpiewy.

Biały, bielusieńki. Wąsaty i z brodą. Podłużne jak śliwki oczy patrzą nieruchomo. Brwi zachodzą aż na skronie, czoło żłobi głęboka zmarszczka. Szaty czarne, pod srebrzystą brodą biały kołnierzyk. Kotermak powrócił do domu.

Takiego właśnie zobaczyli go potomni.

Petro Siczkar równie mało miejsca zajmował w życiu, co za stołem. Cichy, z jedną tylko ręką, malutki, niby zbędny przecinek w zdaniu, żył sobie w odrapanym domku na przedmieściu Drohobycza. Razem z Petrem mieszkała starsza, niezamężna siostra, równie

cicha i niepozorna; on przynosił z miasta chleb, ona gotowała proste potrawy, opowiadała rozwlekłe, ale bez złośliwości sąsiedzkie plotki, wieczorami wyszywała na białym płótnie niewymyślne, jak całe jej życie, wzory, to znów je pruća — wyglądało to, jakby wciąż od nowa usiłowała znaleźć coś, czego odnaleźć niepodobna.

Petro leżał na starej otomanie i nakrywszy twarz gazetą marzył o życiu, jakiego zaznać nigdy nie było mu pisane. Były w tych marzeniach oszałamiające sukcesy i piękne kobiety — nieodmiennie w czerwonych kimonach — on sam, Petro Siczkar, jawił się jako znakomity tenor, postawny, z bujną czupryną i zabójczym wąsikiem nad wyrazistymi, znamionującymi nieugiętą wolę, ustami.

Każdego ranka Petro, machnąwszy ręką na przepelniony autobus (to już nie dla niego rozpychać się łokciami, nawet tutaj nie potrafiłby się na to zdobyć), brnął w śniegu czy błocie — zależnie od pory roku — z dalekiego przedmieścia do centrum. Pracował w muzeum.

Pewnego dnia — zupełnie jak w bajce dla dzieci — i do niego uśmiechnęło się szczęście. Nie, nie został znakomitym tenorem, nie obdarzyła go także miłością ognista piękność w czerwonym kimonie. Nawet nie wyrosły mu zabójcze wąsiki.

Petro wyszukiwał dla muzeum gliniane, malowane dzbanki, inkrustowane talerze, i tego dnia wśród zakurzonych szpargałów, nikomu niepotrzebnych rupieci — znalazł skarb.

Nieoczekiwanie zobaczył utkwione w sobie nieruchome spojrzenie podłużnych jak śliwki oczu. Poczerniałe oblicze, jasna plama brody i kołnierza.

Drżącymi palcami jedynej ręki dotykał płótna, odczytywał napis — Georgij Drohobycz z Rusi. Byłżeby to oryginał? Kiedy powstał? Kto jest autorem? Czy rze-

czywiście Drohobycz z Rusi wyglądał tak, jak na tym portrecie?

Wiedział to i owo o Kotermaku, słyszał o nim. A teraz miał przed sobą jego podobiznę.

Gotów był modlić się do portretu jak do cudownej ikony.

W imię Ojca i Syna... na wieki wieków... .

Chciałby, aby cały świat zobaczył to dzieło malowane przez niewiedomego mistrza. On je znalazł, odkrył! Drohobycz, niewielkie miasteczko, rozrastał się w czasie i przestrzeni — przybyło mu aż pięć stuleci, sięgał teraz aż po Kraków i Bolonię. Nawet swój domek z malutkim ogródkiem na przedmieściu, znajome do znudzenia ściany i nieciekawe plotki, mdłe, jednostajne jedzenie, ciche, puste wieczory z dojmującym odczuciem przemijania czasu, bez ratunku pogrążającego się w otchłań niebytu — wszystko to teraz zobaczył inaczej. A nuż jego domek stoi na miejscu, gdzie kiedyś mieszkał Kotermak?

Co mogło oznaczać to nazwisko? Kotermak. Przewisko, charakter, znak szczególny? A może zawód? Zagadka.

Znikły gdzieś kobiety w czerwonych kimonach, nie miał już do nich głowy: całymi dniami pisał i wysyłał listy i czekał na odpowiedź. Ale zanim z Krakowa i Bolonii, ze szlaków Kotermakowych wędrówek zaczęły nadchodzić do Drohobycza króciutkie, skąpe, beznadziejnie skąpe informacje, na własną rękę zaczął wymyślać tym razem już nie swoje, ale Kotermakowe życie.

Pismo z Bolonii było po włosku — omal się nie rozplakał, niczym dziecko, któremu podarowano kalejdoskop i nie powiedziano, jak się z nim obchodzić, szukał tłumacza, niewprawnie, zachłystując się i krztusząc, pił z nim w zbrązowiełej ze starości karczmie. Tłumacz z biedą, nie ukrywając ironii (któż to widział,

żeby dorosły człowiek zajmował się takimi głupstwami?) przetłumaczył, że Jurij z Rusi prowadził wykłady dla studentów uniwersytetu bolońskiego: bezpłatne z medycyny, i każdego ranka normalny kurs astronomii. W zachowanych dokumentach figuruje jako wybitny przedstawiciel nauk filozoficznych i medycznych oraz astronom, jak również — przez czas jakiś — dostojny rektor uniwersytetu. Nic więcej w Bolonii o nim nie wiedzano i nie napisano.

Uczony, biegły w naukach medycznych i filozofii, magnificencja...

To też niemało.

Wystarczy, aby zacząć pojmować sens tego życia, aby go szukać w starych księgach, w zagadce, którą zadał Kotermaak.

Jurij Drohobycz powrócił do domu.

Świat uwierzył w jego istnienie. Postać Kotermaaka zdawała się rosnąć, każdy teraz dodawał to, co o nim wiedział, gmatwając zagadkę coraz bardziej, i zagadka rosła wraz ze swoim twórcą.

Ktoś stwierdzał kategorycznie, że sława Jurija z Drohobycza nie ustępuje sławie Kallimacha, ktoś inny znalazł jakoby świadectwo, że uczniem Kotermaaka był sam Kopernik, ktoś inny zapewniał, że jakieś znakomite dzieło z zakresu medycyny, którego autor był dotychczas nie znany, to niewątpliwie dzieło Drohobycza.

Nikomu nie przyszło do głowy, aby odskrobać z wizerunku Kotermaaka wierzchnią warstwę farby i przekonać się, czy aby pod spodem nie ma czegoś jeszcze. Nikt się tego nie podjął, przeciwnie: wciąż nakładano nowe warstwy, i teraz trudno dojść prawdy, trudno odnaleźć Kotermaaka.

Wszystko dawało się jakoś uzasadnić, a jednocześnie wszystkiemu brakowało podstaw. A bezpodstawnie wy-

rokować o śmierci w zapomnieniu czy o sławie — rzecz w równym stopniu niemożliwa.

Wszystko było prawdą o Kotermaku, i wszystko — bajką.

Mówię wam: jeśli to wszystko prawda, to dlaczego nie miałyby być prawdą także i to, że siedział obok mnie, pił kawę z porcelanowej filiżanki i mówił, o czym miał ochotę opowiedzieć, i wspominał, co mu się akurat przypominało?

Na przykład o Bolonii.

Przejrzysta jak powietrze muzyka lutni i czarne, rozmarzone, jak Madonny Francesca Franci, oczy Włoszki wpatrzone w instrument, i przepiękny fronton kościoła San Sepolcro, i niezrównane pałace Bolonii — strzeliste łuki palazzo Isolani, ciosany, jakby polerowany, graniasty diament kamieni Bevilacqua, łagodnie sklepione łuki nad oknami parteru palazzo Fava.

I jeszcze coś. Pewien późny wieczór, kiedy padał deszcz i doskwierał głód, i cały świat pachniał tylko chlebem, nie dojedzonym kawałkiem chleba, który ongiś mały chłopiec porzucił na grubo ciosanym stole ojcowskiego domu (ileż to razy później wspominał ten kawałek chleba i przygotowane na drogę wypchane biesagi!). I ów dzień, kiedy chcąc zdobyć pieniądze na chleb, sporządził wspaniały horoskop, była tam mowa wyłącznie o bogactwie, sławie i radości, za to płacono szczerze, a naprawdę gwiazdy przepowiadały nieuniknione nieszczęście. Czy aż tak podle postąpił młody, na śmierć zagłodzony magister, dopuszczając się wtedy fałszerstwa — dla chleba?

I jeszcze Mikołaj Wodka z Kwidzyna, kolega po fachu, trochę dziwny, jakiś inny niż wszyscy ze swą szczerością i zaufaniem do ludzi.

I jeszcze ten wieczór, kiedy to dyskutowali z Kalli-

machem o przeznaczeniu — czyż nie sprawdziło się co do joty?

Kotermak ociera długą brodę. Patrzy przed siebie nieruchomym wzrokiem, jakby niczemu się nie dziwił, jakby już wówczas, pięć wieków temu wiedział, że tak, a nie inaczej potoczy się wszystko na tym bożym świecie.

— Sława zdobi nie tylko za życia, ale trwa poprzez wieki, sięga następnych pokoleń. Czas, chociaż wszystko niszczy bezlitośnie, jej tylko dodaje trwałości i blasku...

I znowu wszystko od początku.

Od nowa szukam Kotermaka.

— Dzień dobry. Jak zdrówko? W teatrze opery i baletu idzie *Baron cygański*... Może chciałby pan zobaczyć? Warto skorzystać z okazji...

„Gdzie ja widziałem tę twarz, gdzie?”

Kotermak!

Ale to wcale nie Kotermak. To na wpół szalony stary człowiek, który na lwowskich ulicach rozlepia teatralne afisze. Te same, podłużne jak śliwki, czarne oczy, to samo nieruchome spojrzenie.

Jakby to on pozował do tamtego portretu.

Afisze teatralne i astrologia? Gdzie Rzym, gdzie Krym!

Dziś już nikt nie wierzy w horoskopy. Bzdury — i tyle.

Ponad dachami Lwowa spozieram w gwiazdy. Oślepiająco jasny Saturn otoczony tajemniczym pierścieniem. I księżyc — żółty i coraz mniejszy, cieniutki plasterek cytryny. A w dole czarne dachy miasta, przerażający bezruch czarnych kwadratów, iglic, trój-

kątów — kompletny chaos, kosmiczne nieporozumienie.

I co potem? Co potem?

Potem, za pięćset lat, choćby mimochodem, przypadkiem, między innymi — wywróż mnie, czcigodny Mistrzu astrologii.

Za pięćset lat.

Tłumaczyła Zofia Głowiakowa

Słońce

Czasem zdawało mu się, że ta samotna chata na skraju wsi była jego mieszkaniem od czasu, jak Stary zapalił na niebie pierwszą świeczkę. Później ludzie nazwali ją Zorzą. Teraz takich świeczek-gwiazdeczek już i sam Diabeł nie zliczy.

Dawniej przychodzili do niego co noc. Stukali w okno. Wypukła morda rozplaszczała się na szybie:

„Jutro twoja kolej. Ty słońce podnosisz...”

Czart kulił się w swoim kącie i milczał. Dla pewności goniec jeszcze raz stukał w ramę. Potem szeptał trawę pod jego nogami cichł stopniowo, wreszcie zamierał w oddali.

Z czasem wezwania przestały nadchodzić. Pewnie o nim zapomniano. Ścieżka pod oknem zarosła sporzyszem i lebiodą. Na przyzbie każdego lata bujał piołun. Zimą, chcąc się przypodobać Diabłu, wiatry wznosiły wokół chaty śnieżne zasy, ledwie komin było widać. Dokoła robiło się zupełnie cicho, tylko myszy nieśmiało skrobały w norkach, a czasem, o północy, przez komin wlatywała tutejsza Wiedźma — stare, szpetne babsko. Diabeł nie lubił jej. Robiła dużo hałasu, terkotała jak nakręcona, sypiąc zasłyszonymi na Łysej Górze obcymi wyrazami, miotała się po izbie, dziurawiąc pajęczyny. Cały ten harmider i terkotanie miały zagłuszyć czarny lęk przed śmiercią. Stara bała się umierać.

Ale zagrać z Wiedźmą w karty lubił — czas szybciej mijał. Na dany znak Zamiecie przylatywały pod okno trzymając w sinych dłoniach iskierki-kaganki.

Izbę wypełniały zimne błękitne ogniki. Rozdając karty Wiedźma szachrowała bezwstydnie, byle tylko ograć gospodarza. Niezdarne usiłowania bawiły Diabła — wszystkie karty widział na wskroś.

A słońce wschodziło i bez niego — młode, różowe.

Co prawda oglądał je tylko, kiedy męczyła go bezsenność. Odkąd zamieszkał w chatce, polubił ciemności. Kładł się spać nad ranem, kiedy niebem niósł się przeciągły świst: wszystkie diabły ziemi leciały na wschód podnosić słońce. Pod wieczór budziły go świerszcze. Powoli otwierał oczy: ze strzechy ulatywały czerwonopióre ptaki. Ściany przygasały, chałupa robiła się smutna, piec nadymał się i naburmuszał. Diabeł patrzył w okno — na zachodzie tliło się jeszcze palenisko, lecz już nie było komu w nie dmuchać, żar stygł, otulał się siwym popiołem. Czerwone ptaki wzlatywały hen, pod niebo, skrzydła blakły i roztopiały się z wolna w szaroniebieskiej bezkresności. Po chwili z mglistego błękitu zaczynały się wyłaniać blade twarzyczki gwiazd. Spóźnione wozy omijając Diabłowe obejście wracały z pola — baby ściszały głosy żegnając się skwapliwie. „Ćwir! Ćwir!” ćwierkały płaczkliwie wróble na uschniętej wierzbie. Świerszcze bez żenady sławiły nadejście Nocy.

„Precz!” — krzyczał Diabeł. Wróble stado z furkotem podrywało się z krzaków i leciało do wsi. „Cicho!” — nakazywał świerszczom. Wystraszone świerszcze milkły.

Wokół zalegała cisza. Szeroko otwartymi oczami Diabeł patrzył, jak od pól toczą się lekkie szare fale mroku. Serce kołatało mu słodko i smutno. Fale powoli wypełniały izbę, piec i ściany rozpływały się. Diabeł pozostawał sam. Skrzypiały drzwi: szurając bosymi piętami Maruchy wносиły blade księżycowe ogarki. Diabeł niecierpliwie machał ręką — Maruchy gasiły świeczki i znikwały. Cichusko przemykał obok chaty

Sen odziany w białe powłóczyście gieżło. Śpieszył do wsi. Chata rozkwitała jak stulony pąk, ściany odsłaniały rosochatą wierzbę, przez powałę widać było bledziutkie gwiazdy. Czas ledwie poruszał skrzydłami, wreszcie zamierał bez ruchu.

„Żyję...” przeciągając się rozkosznie mruzczał Diabeł. Łzy radości stanęły mu w oczach. Dwie stoczyły się aż na ziemię: z trawy natychmiast wychynęły dwie gałązki bzu, przemaszerowały na przyzbę i zaciągnęły straż pod oknem. „Żyję...” wzdychał. To były jego najpiękniejsze chwile — owo pogranicze dnia i nocy.

Sadowił się wygodnie pod wierzbą i gwizdał, zagłuszając dolatujące ze wsi śpiewy i piski dziewcząt. Pączki gwiazd ledwie zaczynały się rozwijać, lubił je właśnie takie, o wczesnym zmierzchu. Później, gdy jasno rozbłysły, nawet wzroku nie podnosił. Nietoperze śmigają nisko nad ziemią, ale poczuwszy Diabła, lotem strzały wzbijały się w niebo. Diabeł uśmiechał się spokojny, szczęśliwy.

Okolo północy maszerował do młyna zemleć tytoniu. Przywoływał Sen. Sen kładł młynarzowi dłoń na czole. Czart podnosił zastawki. Z szumem, płosząc ryby, woda spadała na młyńskie koło. W środku pachniało mąką i myszami, skrzypiały obracające się żarna. Diabeł podstawiał złożone dłonie pod drewniany zsyp i czekał, aż napełniły się po brzegi roztartym tytoniem. Potem siadał na grobli i zanurzwszy w wodzie pozbawione pięt stopy, wysypywał tyton na ścieżkę. Wciągał szczyptę do nosa i głośno, z przyjemnością, kichał. Księżyc w pełni, krągły i biały jak młyński kamień, kołysał się nad nieruchomą ziemią. Nad rzeką czerniały mogilne krzyże; wznoszącą się stromo księżycową steczką jakaś grzeszna dusza, ślizgając się i potykając, wlokła ogromny wóz.

„Koniec końców Słońce to tylko złuda. Później tak czy owak przychodzi Mrok — myślał Czart. — Co za sens narażać życie, podnosić na niebo to rozżarzone straszdyło? Po paru godzinach i tak stoczy się w dół. Powiedzcie, jeśli łaska, czy to ma sens? A te głuptasy wciąż jeszcze mają nadzieję, że stworzą świat na nowo. Zaprawdę, ni na ziemi, ni w niebie nie znajdziesz krzty mądrości.”

Otumanione diabelską tabaką szczupaki wyskakiwały z toni; srebrzyste łuski błyskały w księżycowej poświacie jak obnażone szable wojowników, otwarte pyszczki chwytaly odbite w wodzie mętne robaczki gwiazd. Zielonoszare raki pośpiesznie gramoliły się na biały piasek.

Raz obudziło go coś w środku dnia. Jasne światło chlusnęło w oczy, aż zakłuło pod powiekami. W progu stał chudy zabiedzony człeczyna obracając w rękę słomiany kapeluszek.

— Czego? — burknął Czart, z trudem hamując złość.

— Upraszam wielmożnego Diabła przyjąć nas na komorne. My pogorzelnicy. Caluśki chutor z dymem poszedł, nie ma gdzie się podziać. Kobieta u mnie ciężarna, tylko patrzeć, jak zlegnie. Przyjdzie żywcem do grobu się kłaść.

— A ja tobie co, gazda? — wyszczerzył się Czart, zasłaniając oczy kosmatą łapą. — Dobrze ci radzę, do ludzi idź, diabłów nie zaczepiaj, bo i to, co masz, możesz stracić.

— Kiej już nic nie mam, wielmożny Diabło — powiedział człeczyna kładąc rękę na klamce. — Tylko kobieta mi została. Ale wasi nad nią nijakiej władzy nie mają — to czysta dusza.

— Zabieraj się, skądżeś przyszedł — nieprzyjaźnie

powiedział Czart. Ostatnie słowa przybłądy zasługiwały na to, żeby rzucić na niego jakiś urok, ale za bardzo chciało mu się spać. Przewrócił się na drugi bok i natychmiast zachrapał.

Obudził go trzask piorunów. Niebo nad chatą huczało, trzeszczało, jakby przewalały się po nim ciężkie głazy. „Znow się Stary rozszalał — pomyślał Czart. — Musieli mu nasi zależeć za skórę i teraz im daję bobu. A może sobie podchmielił..”

Za oknem lało jak z cebra. W szarej mgłę majaczyły skulone pod wierzbą dwie postacie: jedna miała na głowie słomiany kapelusz, druga, okutana w chustkę, tuliła się do drzewa obejmując rękami wystający brzuch.

Diabeł zacisnął powieki, ale widok kobiety ochraniającej noszony pod sercem skarb stał mu wciąż przed oczyma. Opuścił rękę, dotknął palcami ziemi, krąglej jak brzuch kobiety. Ziemia pulsowała, coś się w niej przewracało, przebijało ku światłu. „Ta też ciężarna — pomyślał. — Ziemia zawsze w ciąży. Płodzi się toto bez ustanku, a ty, Diabło, słońce im na niebo wytaiczaj, choćbyś płonął przy tym jak wiecheć słomy... Ale jaki matoł staje w burzę pod suchym drzewem? Stary żadnej suszce nie przepuści, trafi jak nic...” Sam się sobie dziwił, ale otworzył okno i przekrzykując huk piorunów i szum deszczu, zawołał na cały głos:

— Hej tam, człowieku! Tak cię uczyli? W burzę pod suchą wierzbę się chować?

— A gdzie mam się podziać? — odparł ponuro człeczyna, odwracając głowę.

— No, to już wejdźcie do chaty — powiedział po chwili Czart wpatrując się jak zaczarowany w brzuch kobiety. — Chociaż burzę przeczekacie..

Mężczyzna zarzucił na plecy tobołek, kobieta schyliła się po stojący pod wierzbą garnek. Weszli do sionki. Jeszcze nie zdążyli zamknąć drzwi, gdy niebo

z trzaskiem pękło na dwoje i rozżarzona strzała ugodziła w wierzbę. Goście przeżegnali się.

— Musicie tak rękami machać? — skrzywił się Czart. — Tu nie cerkiew.

Nagle garnek wysunął się z rąk kobiety, uderzył o polepę i potoczył się pod piec. Kobieta złapała się za krzyże i z jękiem osunęła się na próg. Ładną twarz wykrzywił skurcz bólu.

— Zaczęło się! — jęknął człeczyna, podtrzymując ją oburącz. — Wybaczcie, wielmożny Diabie, ale się zaczęło! Katarzyno! Katarzyno!

Wyciągnął z tobołka świtkę, rozpostarł na wyrku i ułożył żonę. Potem zaczął bezradnie biegać po izbie. Kobieta jęczała cicho. „Jacy ci ludzie hałaśliwi!” — pomyślał Czart. Zaczynał żałować, że się zlitował nad pogorzalcami.

— Czego się miotasz, człowieku?

— Rodzić będzie — odparł wystraszony człeczyna. — A gdzież teraz baby-znachorki szukać? Wody by trza zagrzać. A tu wszystko mokre, dysc taki...

— Na strychu był kiedyś snopek słomy...

— Niech wam Bóg da zdrowie, wielmożny Diabie — zawołał człeczyna i wybiegł z izby.

— Oj, da, da — wargi Czarta wykrzywił nikły uśmiech.

Gość postawił na piecu garnek deszczówki, wsunął w ciemną czeluść wiecheć słomy. Wyjął z kieszeni krzesiwo i wiśniową hubkę. Uderzył w kamień. Sypnęły się iskry, ale wilgotna hubka ani rusz nie chciała się zatlić. „Jacy oni bezradni, ci ludzie” — pomyślał Czart i krzyknął w stronę sieni:

— Marucha, ogień!

— W mgnieniu oka wiecheć zapłonął. W palenisku zaczęły czerwone płomyki. Kobieta wciąż jęczała. Niech sobie robią, co chcą. — Diabeł zwinął się w

kłębek w swoim kącie i udał, że zasypia. — W końcu co mi do tego?”

Nie wiedział, ile czasu minęło. Może rzeczywiście się zdrzemnął. Ni stąd, ni zowąd w bezbarwną ciszę izby wkradł się jakiś nieuchwytny niepokój, jakby ktoś zostawił otwarte drzwi do sieni i na dwór. Utkane z wiatru wrzecionka wirowały po polepie, wciskały się w każdy kąt, kłuły jak szpileczki. Było ich dużo, coraz więcej. Ciało Diabła przeniknął ból. Najpierw tylko dokuczliwy, potem coraz ostrzejszy, jakby z jego skóry skręcano powróż. Przetarł oczy. W izbie było ciemno, za kominem grały świerszcze: dziś jakoś nikt ich nie uciszał. Nagle znajome nocne dźwięki zagłuszył krzyk. Czegoś takiego nie słyszał, jak żyje. Tak nie wrzeszczeli nawet najgorsi grzesznicy na dnie piekła. Wstrząsnął nim dreszcz. Niewidzialne wrzeciona znów wpiły się w ciało, wypruwając wnętrzności. Drąc pazurami polepę Czart wytoczył się ze swego kąta.

— Marucha, świeczki... — wydyszał z trudem.

Parapet, komin i półki rozjarzyły się chybotliwymi płomyczkami. Czart spojrział na wyrko. Twarz kobiety ociekała potem, cerę miała żółtą, wargi pogryzione, wytrzeszczone oczy zachodziły bielmem, skurczone palce wpijały się we włosy. Człeczyna miętosił kapelusz i żałośnie patrzył na gospodarza:

— Nie znam się na tym, wielmożny Diabie. Przeciem nigdy nie odbierał. A to jej pierwsze...

W tej chwili dłonie kobiety popęzły wzdłuż ciała aż do półkolistego brzucha. W tym powolnym ruchu było coś przerażającego, co nakazywało czujność. Twarz napięła się, ciało się wyprężyło, a potem skoczyło w górę jak ryba w więcierzu, krzyk smagnął po granatowych oknach. „Jak oni ciężko rodzą, biedne ludziki... — Czart zwijał się z bólu; bliskość cierpiącej kobiety była nie do zniesienia. — Głupstwom zrobił. Nie trza było ich wołać ani na próg. Wpuścisz w dom,

wpuścisz w siebie. A ja czy moja chata — toć przecie jedno. I na co to wszystko? Czyż te biedaki nie wiedzą, że tak czy owak umrą, że tej, co rodzi, i temu, co się rodzi, jedno pisane?”

Kobieta zaczęła się rzucać na rękach męża, aż na kominie zakolebały się świeczki. Czart znów zwinął się z bólu — coś rozdzierało go od środka, dławiło, jakby on sam za chwilę miał rodzić. Podczołgał się do pieca, ukląkł. W tej chwili świeczki zgasły. W izbie zrobiło się ciemno i cicho, jakby Mrok we własnej osobie stanął na progu. Nawet rodząca umilkła. Słychać było tylko skapujące ze strzechy krople. Czart wypowiedział w czeluść kilka słów. Za chwilę okna rozbłysły czerwienią. W kominie trzasnęło coś i pośrodku izby zamajaczyła postać starej znajomej — Wiedźmy.

— Dziecko kiedy odbierałaś? — wyszeptał suchymi wargami Czart.

— Odbierałam, odbierałam, ale za młodu, jasnie wielmożny — zatrajkotała Wiedźma. — Myślisz, że zawsze byłam takie próchno? Calutka wieś kiedyś...

— Zrób, co trzeba — przerwał Diabeł wskazując na wyrko. — Tylko bez przesady...

— Słucham, jasnie wielmożny...

W izbie znów pojaśniało od świec. Przedziwnie odmłodzona, z łagodnym uśmiechem na twarzy Wiedźma podeszła do rodzącej. Czart zaszył się w swoim kącie. Przepędzony przez Wiedźmę człeczyna bezradnie tkwił w progu. Baba położyła wychudłą dłoń na brzuchu kobiety; jęki ucichły. Zakasała rękawy. Czart z ulgą zerknął w okno. Księżyc już wisiał nad młynem. Pora tytoń mleć. Nie nacieszył się dzisiaj zmierzchem. Wszystko przez tę przybłędę. Niech by wreszcie urodziła — i fora ze dwora. Powróci dawny spokój. Niech się płodzą i rodzą, biorą za łby i umierają. Jego chata skraja.

Nagle przenikliwy, straszniejszy niż poprzednie, krzyk bólu wstrząsnął chałupą. Czartowi zdawało się, że ściany się wałą, ziemia drży, a jego samego wywracają na nice. Jakby tępa piła sunęła po krzyżach. U kresu wytrzymałości, czując, że zaraz zaczną krzyzczeć głośniejsze niż rodząca, zawołał niecierpliwie: „Sen! Sen!”, i jak podcięty padł w życzliwie otwarte ramiona.

Obudziło go zimno. Jakby ktoś ściągnął z niego ciepły kożuch. Przy nim stał Sen.

— Ramię mi zdrętwiało — szepnął. — Jakaś bezdenna ta noc. Na mnie już dawno czas. Ale zaraz cię znów uśpię.

— Nie trzeba. — W całym ciele Diabeł czuł rozkoszne zmęczenie, a zarazem lekkość, jak po zaciętym, ale zwycięskim pojedynku. W izbie było cicho i spokojnie. Leżąca w kącie kobieta oddychała miarowo. Na podwieszanej u powały niecce spoczywała biała dłoń Księżyca. Czart wstał, podszedł bliżej. Spowite w białe szmatki w korytku leżało coś bardzo kruche, z podłużną, podobną do dzbanka, główką, śmieszne przez swą małość. Nawet oddychało bezgłośnie, jak płomień świeczki.

„Tyle męki gwoli tej okruszyny? Głupie te ludziska...” — chciał jak zwykle pomyśleć Diabeł, ale tym razem myśli nie chciały iść utartym torem. „Ulotne mgnienie, zmarszczka na morzu, a jaki ciepły — wyszczerzył zęby. — Kiełek...”

Wyciągnął ręce do niecki, grzał się. Maleńkie, dopiero co zrodzone ciało promieniowało żywym, czystym jak płomień róży ciepłem. Delikatną pieśczętą ciepło wnikało w dłonie Diabła, rozchodziło się po całym ciele, topiło lodową skorupę, która od niepamiętnych cza-

sów ugniatała duszę: jakieś nowe, nieznanne i dziwne uczucie odbierało spokój.

Wyszedł na dwór. Od niechcenia zerknął w górę. Niebo było czyste, gwiazdy wspaniałe jak nenufary. Opłynęła go fala cudownych zapachów: młodej pokrzywy, lebiody, nieba, wody, oczeretów, bzu... Otwierała się przed nim cała ziemia, rozbudzona wiosną, tętniąca sokami, jeszcze uspiona i cicha jak księżycowa poświata... Pierwszy raz nie miał ochoty usiąść pod wierzbą i gwizdać przekomarzając się z wiatrem. Rozchylił krzaki bzu i znalazł się w polu. Brnął przez rozmiękle po ciepłej ulewie bruzdy. Czuł, jak z głębi ziemskiej skorupy przebijają się do światła tysiące, miliony kielków, takuśkich jak tamten, co wisi teraz u powały w jego chacie.

„Ileż ich, a wszystkie dążą do słońca — zachnął się w duchu. — I wszystkie czekają, że jednak rano ktoś wytoczy słońce na niebo”. — Kłujące mrowienie pełzło po nogach, w zakamarkach ciała znowu odżywał ból. „Ziemia też cierpi, gdy rodzi — pomyślał. — Nawet wyobrazić sobie trudno, co to za męka. A przecież rodzi...”

Przeżyty ból sprawił, że teraz wiedział, czym jest radość rodzącej ziemi, radość przebijającego się na powierzchnię kielka. Łagodna zazdrość smutkiem spowiła serce.

Zawrócił do chaty. Na przyzbie, owinięty w worek, dygotał z zimna człeczyna.

— Zgoda, przyjmuję na komorne — powiedział Diabeł zerkając na wierzbę. Ona jedna stała sucha i martwa pośród tej wiosennej nocy. — Dasz mi za to co tydzień garść zmielonego tytoniu. Kobiecie tylko przykaż, żeby mojego kąta nie bielila...

— Bóg ci zapłać, wielmożny Diable — powiedział człeczyna i nisko mu się pokłonił.

— Jaki tam Bóg... — westchnął Czart wchodząc do sionki.

Chodził po izbie na palcach, nie chcąc obudzić niemowlęcia i matki. Mimo to w niecce coś się poruszyło. Czart usiadł na podłodze i leciutko popchnął kołyskę. Skrzypnął przerzucony przez belkę sznur. Niemowlę umilkło, zadrzemało. Zmordowany robotą zamajaczył w pobliżu Sen.

— Długa ta noc — powtórzył żałośnie. — Sił już nie staje. Żeby już prędzej był ranek.

I pobiegł. Znow go gdzieś wzywano. Podkuliwszy nogi Diabeł siedział na polepie i huśtał kołyskę. Już dawno nie było mu tak dobrze. Nagle za oknem rozległ się ciężki, pośpieszny tupot. Diabeł poczuł w pierśsi nieprzyjemny chłód, przygarbił się, zmałał. Na przyzbie rozległ się głos:

— Za mało dziś diabłów. Siedzą gdzieś po kątach, a już dawno czas słońce podnosić!

Przybysz odczekał chwilę, potem westchnął i począpał dalej. Czart skulił się jeszcze bardziej. Nagły strach ścisnął mu gardło. Jak gdyby na własne oczy ujrzał ognistą strzałę, którą Stary celował w jego wierzbę. Niemowlę zakwiliło głośno.

— Pst! Pst! — sztywnymi, jakby nie swoimi rękami Diabeł zaczął znowu popychać kołyskę. W tej samej chwili kobieta zerwała się, spojrziała na niego szeroko otwartymi oczami i chwyciła dziecko w objęcia. Czart wyszedł przed chatę. Nagle zachciało mu się powąchać tytoniu. Zaczął iść przez pobrużdżone pole, kierując się w stronę młyna. Ziemia też wyraźnie martwiała i robiła się twarda jak kamień. Blady, wątły księżyc tułał się tuż nad widnokregiem. Przez szare, chłodne niebo włókł się w stronę cmentarza zaprzęgnięty do wozu cień.

A na wschodzie nawet nie różowiało. Młynarz dreptał po chacie. Snu przecież w pobliżu nie było. Diabeł

poszedł wzdłuż rzeki. Za oczeretem, w brzezince, pluskały się rusalki. Wybiegły mu na spotkanie, długowłose, w wiankach z osoki, zawirowały zielonkawą mgielką:

— Cetno czy lichy?

— Licho — ponuro odpowiedział Diabeł siadając na trawie. Spłoszone rusalki wskakiwały do rzeki. Rozczesywały długie sploty, igrały z rybami, pryskały na siebie wodą. Ale z każdą chwilą wesoły gwar przygaszał, jak gasną nad ranem gwiazdy.

— Czas do domu, dziewczęta — rozległo się nad wodą.

— Słońce pewnie nigdy się nie pokaże.

— Szybciej na dno, koleżanki.

— Zimno, och, jak zimno!

Zaszeleściło — ucichło. Tylko na rzece rozchodziły się czarne zmarszczki. Kwiląc żałościwie, z nieba spadały białopióre ptaki i zastygały na łące jak śniegowe zasy. Zwarzone młode pędy osoki kładły się na wodzie. W brzezynie już podzwaniały drobne igiełki szronu. Diabeł powoli ruszył do chaty. Obumierająca ziemia smutno dudniła pod nogami.

„Nawet jeśli jeszcze dziś podniesiemy słońce... — mamrotał do siebie — na ile to starczy? Na jeden dzień. Chwila życia dłużej. Drobne ziarenko piasku w oceanie czasu. A skąd pewność, że jutro też ktoś je podniesie? Diabłów teraz ledwie garstka. Dziś padnie nas połowa, jak nie więcej. Zresztą, co mi tam. Mogę umrzeć, ale niech wprzód usłyszę, że Stary mówi: chłopcy, trzeba podnieść słońce, ale to już ostatni raz, z nocą koniec, teraz już wiecznie będzie słoneczny dzień. Ale przecież on tego nie powie. Niebo będzie nadal milczało, jak zawsze dotychczas. A ja muszę porzucić zaciszny kącik i ryzykować życie, jakby ono nie było nic warte, jakbym mógł mieć następne...”

Żal nad sobą ścisnął mu piersi.

W gęstym mroku okna chaty mrugały czerwonawym

blaskiem. Diabeł stanął w drzwiach. Na kominie pełgały resztki ognia. Obok siedziała kobieta karmiąc niemowlę. Po białej piersi kobiety tańczyły ciepłe odblaski. Mężczyzna okrywał jej plecy świtką. Diabeł zaszył się w swój kąć. Chata także powoli zamierała. Wilgotna strzecha pokrywała się lodową skorupą, ściany kurczyły się, stękał stygnący piec, sztywniały świerszcze. Duszę Czarta wypełniał głuchy, przejmujący ból. Pod oknem znów rozległ się tupot, trwoźny głos kolejnego gońca uderzył w szyby:

— Za mało nas, nie mamy siły wytoczyć słońca. Chcesz, żeby noc się skończyła, to leć na pomoc. Więcej po ciebie nie przyjdę...

— Odsuń dziecko od ognia — odezwał się człowiek.

— Biedactwo nigdy nie zobaczy słońca — zapłakała kobieta. Różowe kropelki łez stoczyły się na polepę. — Niech choć krztynę ciepła poczuje...

— Tak czy owak kiedyś musi umrzeć — melancholijnie odparł mężczyzna z trudem poruszając wargami. — Jak my wszyscy...

— Ale my mamy szczęście: wiemy, jak wygląda słońce. Żeby moje dzieciątko mogło zobaczyć choć jeden jasny dzionek... W nocy się urodzić i w nocy umrzeć... Na co tyle mojej męki?

Czart podniósł się. Nieznośny ucisk ustępował z piersi, ciało zdawało się lekkie jak wiatr. Przechodząc obok kobiety, rzucił oschle:

— Jeśli nie wrócę, zapisuję chatę twojemu malcowi.

Kobieta spojrzała na niego mokrymi od łez oczyma, w których mignęła nadzieja. Chata zadrzała, jakby dobywając się z niemocy przedśmiertelnego snu. Czart pogłaskał delikatnie czerwoną pomarszczoną buźkę dziecka, westchnął cicho i wyszedł. Na dworze nie widać już było ani księżycy, ani gwiazd, ani nieba: wszędzie był tylko Mrok. Diabeł podniósł w górę ramiona, gwizdnał i poszybował w ciemną pustkę.

Zdawało mu się, że leci już całą wieczność, a nigdzie nie widać żadnego prześwietu: „Czyżbym zabłądził?” — pomyślał ze strachem; dobre tysiąc lat nie zrobił kroku dalej niż do młyna. Nagle na horyzoncie zamajaczyło coś jakby dojrzały owoc granatu: jutrzienka. Czerwonoperłowy owoc wydłużał się, rósł, aż przemienił się w promień, który wyłaniał się zza krańca ziemi, zalewając czerwoną poświatą szmat nieba. O brzeg odwiecznego oceanu biły niewidoczne fale. Szum wody ginął w gwarze i hałasie ogromnego tłumu. Tu było o wiele cieplej. Po chwili zrobiło się gorąco, jakby gdzieś niedaleko szalał ogień. Wokół Diabła skręciła się rozżarzona spirala. Czart chwycił ją i wirując jak wrzecziono ześliznął się na ziemię. Przepaść nad brzegiem oceanu dyszała żarem. Gdzieś tam, na dnie tej otchłani, było słońce.

Wokół kłębiło się niezliczone mrowie diabłów. Drugie tyle leżało martwych. Czerwonawe błyski wydobywały z mroku osmalone, pokryte zakrzepłą krwią ciała. Brzegi przepaści były nimi usłane. Bezładny tłum piekielników, czartów, kusych, diabłów wodnych i domowych, leśnych i błotnych kręcił się wokół długachnych bosaków i zwojów lin.

— Wszystkie czarty już są? — rozległ się nagle nad tłumem władczy głos.

— Wszystkie, wszystkie! — odkrzyknęli stojący z boku posłańcy.

— Do roboty, bracia!

Na równinie zaległa cisza. Tylko fale szumiały, bijąc białymi piersiami o skalisty brzeg. Czarty bez słowa ujęły bosaki i zaczęły zbliżać się ku przepaści. Pierwsi od razu padli pod nogi innym, ale ogromna ława nie zważała na nic: szła szturmem.

Dziwne, Diabłu ani trochę nie było straszno. Nie przerażała go nawet myśl, że za chwilę ci na przedzie padną, a on stanie oko w oko z rozżarzoną czeluścią.

Jakaś tajemna siła niosła go na potężnych skrzydłach coraz wyżej i wyżej. Roztaczał się przed nim widok tak rozległy, że Diabeł czuł, jak mu dech w piersi zapiera. W oczach stanęły mu łzy radości; czegoś takiego nigdy dotychczas nie zaznał. Nie zastanawiał się, czy jego poświęcenie ma sens, i czy ktoś podniesie słońce jutro. Wiedział tylko, że on musi je podnieść dziś — niech zrodzone w ciemności dzieciątko zobaczy światło. A potem niech będzie, co ma być.

Wreszcie bosaki zgrzytnęły o coś twardego. Zwarte szeregi tłoczyły się nad samą przepaścią: gorąc był taki, że skóra na pyskach skwierczała.

— Razem, bracia! — zahuczało znów nad równiną. Czarty zdwoiły wysiłek.

Ale ogromna kula nawet nie drgnęła.

— Jeszcze raz, bracia! — potoczyło się górą zagłuszając szum oceanu.

Diabeł oburącz chwycił bosak i napał nań z całej siły czując, że to samo robią miliony pobratymców. Krok za krokiem wtapiał się w ten wspólny wysiłek: do końca, do ostatniego tchu. Nie miał już czasu na wątpliwości ani na przedwieczorną radość, nawet on sam, taki jak kiedyś, już nie istniał. Zamiast niego była zupełnie nowa istota: potężna tysiącramienna gromada.

Poczuł, że bosak przeważa: w czeluściach ziemi rozległ się najpierw huk, potem przeciągły syk i klekot. Z otchłani wynurzył się rąbek czerwonomalinowej kuli z błękitną obwódką. Wylękły ocean sapnął obłokiem pary i cofnął się, obnażając dno; szeregi czartów padły pokotem skoszone jęzorami płomieni. Słońce zakolebało się nad krawędzią ziemi: każdej chwili mogło stoczyć się z powrotem w przepaść.

— Trzymać je! Spadnie! — ryknął Diabeł. Nie poznawał własnego głosu, tak był potężny i pełen zapachu.

Mocniej ścisnął bosak. Na równinie zaczerniało, wszystkie czarty, które trzymały się jeszcze na nogach, zerwały się i chwyciły za drągi. Diabeł zobaczył, że idzie w pierwszym szeregu. Z każdym krokiem fala ognia stawiała się bardziej paląca. Zaciśnięte na bosaku dłonie słabły, nogi ugiwały się w kolanach. Ale obraz kobiety i jej nocnych męczarni dodawał mu sił. „Jest w tym jednak jakiś sens: rodzić, podnosić słońce... Mimo waśni i bójek, mimo brudu codzienności, jest w tym jakiś sens. Życie...”

Ciało powoli zwęglało się; ból stawał się nie do zniesienia.

Tysiące wzniesionych bosaków podparło rozżarzoną kulę i pchnęło ją do góry. Rozszalałe słońce siejąc dokoła ogniste strzepy lekko wtoczyło się na nieboskłon.

Ziemia zadrżała ze szczęścia jak kochanka wstrząsana miłosnym dreszczem.

Diabeł leżał na wpółzwęglonych ciałach braci. Umierał. Wiedział, że to koniec, czuł, jak ziemia kropla po kropli wysysa z niego siły. Pozostałe przy życiu czarty kuśtykały do morza. Czerpały wodę całymi garściami, bryzgały za siebie. Z każdej kropli rodził się młody bies. Na brzegu już się od nich roiło. „A ja, głupi, bałem się, że jutro nie będzie komu podnieść słońca — pomyślał Diabeł. — Stary znał się na swojej robocie, gdy stwarzał świat.”

I powłókł się dalej. Czarne, dogorywające cielsko żłobiło w pomarańczowym piasku długą, ginącą w oceanie bruzdę...

Tłumaczyła Tatiana Hołwińska

Wasyłynka

Zobaczywszy Wasyłynkę stara zastukała w szybę: pomóż skrzynię odsunąć, ściany trza bielić. Odsunęły skrzynię, powiało stęchlizną, Wasyłynka schyliła się, żeby zobaczyć, czy aby ściana nie butwieje. W szparze leżała cytryna, skórkę pokrywał szary nalot pleśni. Chciała zmilczeć, ale nie wytrzymała:

— A wy, mamó — rzuciła od progu — o mało co żeście przez tę cytrynę chłopaka żywcem ze skóry nie obdarli.

Nawet nie słuchała, co odpowie teściowa, bo i po co? Kiedy na nią wypadnie dyżur w oborze, nie ma nawet czasu pod blachą rozpalić, chłopaczyna wraca ze szkoły, zjadłby coś ciepłego, no, to leci do babci. Marynkę toby babka jeszcze teraz na rękach nosiła, wiano swoje dla niej chowa, chociaż po co dziewczynie jakieś płachty i ręczniki, niedługo technikiem będzie, ale wnukowi potrafi odburknąć ze złością: „Garnek zupy nagotuję, sama dwa dni bym jadła, ale z takim nienazartym co dzień nowa robota”. W zeszłym tygodniu poskarżyła się Wasyłynce, że chłopiec zwędził cytrynę, co ją dla wnuczki chowała. Wasyłynka nawtykała synowi, że mało się nie popłakał, chociaż już przez szczerbate zęby spluwać próbuje i za dziewczętami na ulicy się ogląda. Wyszło na to, że chłopakowi za nic się dostało, i po co jej to było?

Podeszła do domu — zamknięte, w drzwiach — gazeta, w gazecie — list od Marynki. Nawet nie list, ale karteluszek: kupiłam sandaalki, akurat okazja się trafiła, więc przywieź, mamó, jakąś wałówkę, bo do sty-

pendium daleko. Otworzyła drzwi, zapaliła światło na werandzie i zaczęła czytać jeszcze raz. Jutro ma wolne, trzeba jechać, choć tyle miała zaplanowane na ten dzień: ogród niedługo trzeba orać, chciała rozrzucić obornik, cebulę też już najwyższy czas siać, prania się nazbierało; okien na werandzie jak nie było, tak nie ma, do majstra trzeba zająć, przypomnieć. Po śmierci Andrija wszystko na jej głowie, i chłopska i babska robota, chłopaka też coraz trudniej w ryzach utrzymać, w szkole na godzinie wychowawczej dla rodziców dyrektor jej łobuza także wyczytał. Wiadomo, już trzeci rok bez ojca się chowa; teraz też: zamiast lekcje odrabiać, pewnie gdzieś pod klubem się wałęsa.

Wąska weranda biegnąca wzdłuż całej przedniej ściany domu — dokładnie tak, jak sobie Andrij życzył — na razie obita czarną papą, drażniła ją niepomierne. Zapaliła światło w korytarzu i licząc pstryknięcia jak paciorki obeszyła pokoje — było ich cztery, tak Andrij zaplanował. Jasno oświetlony dom wydał się jej jeszcze bardziej pusty niż zwykle, nawet zegar w kuchni milczał; żeliwna szyszka ciężarka zieleniała na podłodze. Podciągnęła ciężarek, popchnęła wahadło; lubiła ten zegar, krzątając się w kuchni przyzwyczaiła się traktować go jak żywą istotę — i nagle jak stała, w waciaku i gumiakach, padła na podłogę i rozszlochała się po kobiecemu, rozpaczliwie. Nie wiedziała i sama sobie nie umiała wyjaśnić, dlaczego płacze: zgniła cytryna, lakoniczna karteczka od córki, czarna papa zamiast okien na werandzie, pusty dom — wszystko splątało się razem i stanęło w gardle jak czerstwy kęs albo jak kamień, który tylko lzy mogą zmiękczyć. Popłakała sobie, aż w duszy zrobiło się jaśniej. Nagle uniosła głowę: na werandzie szurało coś jakby kroki. Zerwała się na równe nogi, pchnęła drzwi — to trzeszczała poruszana wiatrem papa. Miało się na deszcz; powietrze pachniało ziemią, gnojem, młodymi wierzba-

mi i dymem; w ogrodach palono chwasty. Żwawo krzątała się po kuchni — chciała wyjechać o świcie, żeby wcześniej wrócić — i wspomniała, jak kiedyś wieczorem wróżyła sobie z dziewczętami; liczyło się sztachety w płocie: jeden tobie, jeden mnie, ześle los, kogo chce, potem do rana nie wolno było do nikogo słowa powiedzieć; zastukała w szybę, matka podeszła do okna, a ona nic, ani mru-mru, matka pyta i pyta, wreszcie w krzyk, sąsiedzi się pobudzili. Aż się roześmiała na wspomnienie tego nocnego rejuwachu; syn zerkał od progu na jej mokre od niedawnych łez oczy; nie mógł opanować zdziwienia: śmieje się matka czy płacze.

Zdażyła na pierwszy autobus. Zdyszana taszczyła tobołki do przystanku; myślała, że chyba serce jej z piersi wyskoczy. Za to miejsce miała siedzące i to przy oknie; kiedy autobus ruszył, zdawało jej się, że siedzi w kinie. Lubiła jeździć, ale jakoś nigdy się nie składało: najpierw dzieci były małe, potem się budowali. Za kołchozowym sądem autobus zakręcił; to tu, na tym zakręcie, Andrija śmierć dopadła. Postawiła tam ogrodzenie z metalowych prętów, w środku posadziła wierzbę.

Uganiał Andrij na tym motorze jak wściekły, no i doigrał się. Uparł się w pluchę jechać do powiatu po gwoździe; ze znajomym szoferem założył się, że go wyprzedzi; wywinał kozła jak w cyrku. We wszystkim taki był: za grosz umiaru. Przyjechała kiedyś z kursów, akurat miała wolny dzień, wieczorem pobiegła do klubu na telewizję. Andrij tylko co z wojska wrócił. Odprowadził ją do domu; na podwórku wziął jej dłonie w swoje ręce, ścisnął jak w kleszczach i nawet nie zapytał, ale rozkazał: „Wyjdiesz za mnie...” „Chłopca mam w Kijowie”. „Kochasz go?” „Może i kocham...” — powiedziała spuszczać oczy. „I mnie pokochasz. A z tamtym cię rozswatam...” Tylko że An-

drija nie pokochała, choć dobry był dla niej, złego słowa nie można powiedzieć. Na pogrzebie strasznie płakała (felczerka nie odstępowała jej ani na krok), ale nie tyle za Andrijem, choć i jego było jej żal — przez te wszystkie lata zdążyła się przyzwyczaić — ile ogarniała ją rozpacz: dzieci jeszcze nie odchowane, budowa rozpaprana, dom bez okien, bez drzwi, ledwie otynkować zdążyli. Czy miłość w ogóle istnieje, myślała. Ot, ludzie żyją, aby żyć, a tę miłość to chyba do filmu wymyślili, żeby naród chętniej za bilety płacił.

Tylko raz Andrij skrzywdził ją i to bardzo, ale mu darowała — nie takie rzeczy kobiety przebaczą. Z małym wtedy w ciąży była. Wracała na wozie z pola, przy kołchozowym sadzie zachciało się jej czegoś kwaśnego. Zeskoczyła, stanęła pod akacjami, woźnica poszedł do sadu. Baby jechały na rowerach; pośmiały się, ale we wsi naplotły Andrijowi niestworzonych rzeczy. Ledwie stanęła na progu, a on: „Małoś się w Kijowie z chłopakami nawłóczyła?” I uderzył. Długo nie mógł jej Jurasia wybaczyć. Może i domyślał się, że Marynka nie jego, nie Andrija. Nikt na świecie nie wie i wiedzieć nie będzie, ale Andrij coś przeczuwał, z oczu mu to patrzyło. Jednak nigdy ani słówkiem o tym nie wspomniał.

Wysiadła przy moście, stąd bliżej do Swiatoszyna, gdzie jest internat Marynki. Akurat nadjechał tramwaj. Jak kula toczyła się do przystanku: toból na plecach, z przodu siatka, w ręku torba. Na stopniu aż się zatoczyła; tobolek do tyłu ciągnie, pasażerowie wymyślają. Dopiero jakiś człowiek, niech mu Bóg da zdrowie, podtrzymał ją za ramię, wolne miejsce znalazł, sam obok usiadł. Bąknęła jakieś podziękowanie licząc oczyma pakunki, czy aby nic nie zginęło. Siedzący obok mężczyzna zagadywał coś; udawała, że nie słyszy, nie odwracała oczu od okna, nie chcąc przegapić stacji metra.

— Pani do metra? Pomogę...

Mężczyzna zarzucił tobolek na ramię i skierował się do wyjścia. Złapała siatkę i torbę i zaczęła przepychać się za nim. Tam pod ziemią ruch jak w mrowisku, zgubić się łatwo, dobrze, że przynajmniej zauważyła, że mężczyzna ma kapelusz i stary czarny płaszcz, w jakich zwykle wysiadują nad wodą wędkarze gapiąc się w dniewrową toń. Dogoniła go dopiero na peronie; akurat podjechał pociąg i ludzka fala wniosła ich do wagonu. W środku ścisk; obie nogi można podkulić i człowiek nie upadnie; naród do pracy spieszy.

— Naprawdę nie poznajesz mnie, Wasyłynko? — zapytał mężczyzna.

Spojrzała. Przecie to on, Jurasek. W przelocie, na ulicy, pewnie by i nie poznała, ale jak się tak z bliska przyjrzeć... Przymknęła oczy, spod powiek potoczyły się łzy; na wargach poczuła słoność. Żeby nie ludzie i te tobołki, wyskoczyłaby na pierwszym przystanku.

Tamtego dnia Andrij faktycznie przyjechał rozswatać ją z Jurasiem. Bała się, żeby nie doszło do bójki, ale oni zostawili ją w domu i poszli do restauracji na męską rozmowę. Wrócili pijaniuteńcy, jeszcze Andrij trzymał się jakoś, głowę miał mocną, ale Jurasia całkiem rozebrało. Młodziutkie to wtedy było, brwi — niech się dziewczyny schowają, usta też dziewczęce, pulchne — lubiła wiązać mu pod brodą swoją chustkę: nikt by nie powiedział, że to chłopak. Wytarł pięścią oczy, potem wziął ich ręce i połączył: „Żegnaj, Wasyłynko, Andrij człek stateczny, kocha ciebie i żenić się chce, a ja co, tylko gadać potrafię...” I zaczął chwiejnie wspinać się na swoje piéterko. A jej jakby kto kamień na piersi położył; ani odetchnąć nie mogła. Ochłonnawszy odprowadziła Andrija do autobusu, pamięta, że rozmawiali o weselu, zupełnie jakby chciała zrobić na złość Jurasiowi. A wieczorem wdrapała się do „go-

łębnika”, który Juraś wynajmował, i sama położyła się obok niego. Rano Juraś zmartwił się: „Nauki jeszcze mam dwa lata, potem wojsko — nie pora na żeniączkę”. A ona ubrała się i w śmiech: „I tak bym za ciebie nie poszła. Po co mi taki... A przyszedł, żebyś pamiętał, zem cię kochała...” Tego samego dnia zabrała z kursów swoje dokumenty — na księgową się uczyła — i wróciła na wieś, za męża się wydawać...

— Co tam u ciebie, Wasyłynko?

— Żyję jak wszyscy — odpowiedziała wesoło. — Raz na wozie, raz pod wozem, jak to w życiu, wszystkiego trzeba zakosztować.

— Zmieniłaś się... Pomyśleć tylko, tyle lat...

— A wy, jakbyśmy się wczoraj widzieli, stale tak samo młody — spuściła wzrok, żeby czy nie zdradziły: u siebie to wieku nie widzisz, a co z dawnego Jurasia zostało? Twarz obrzękła, worki pod oczami, wargi jak dwa sznurki.

— Jak Andrij?

— Nie ma Andrija, poszedł do ziemi. Już trzy lata sama jestem, jak ta trawka przy drodze. A wam jak się żyje?

— Nawet nieźle. Wojsko odsłużyłem, nawet chcieli na dłużej zostawić, dobrą funkcję dawali, ale się nie zgodziłem. Ożeniłem się — żona tak samo po średniej szkole zawodowej jak ja — cóż, kiedy dzieci los poskąpił, a bez dzieci jakoś się nie kleiło, to i rozeszliśmy się po dobremu. Mieszkanie zamieniliśmy na dwie kawalerki. Łódkę kupiłem, nie aluminiową — cichą, z kabiną. Robotę mam dobrą: dobę pracuję, następne dwie — wolny Kozak, na wodzie od śniegu do śniegu...

Jadąc ruchomymi schodami pierwszy raz poczuła coś jakby współczucie. Juraś stał o stopień niżej, wyglądał drobno, niepozornie. Postarzał się — myślała — ale i ja nie młódka. Co człowiek winien, że mu się tak

ułożyło ni w pięć, ni w dziewięć; jakby były dzieci, byłby i szacunek, i miłość, w ogóle inne życie. Jakby mu tak powiedzieć o Marynce? Nie, nie powie, po prawdzie to i nie trzeba...

Doszli do internatu.

— Dziękuję za pomoc — powiedziała biorąc od niego tobolek. — Tu mieszka moja Marynka.

— Może zanieść na górę?

— Przepisy surowe. Obcych się nie wpuszcza.

— Proszę choć czasem mnie wspomnieć.

Juraś stał z kapeluszem w ręku (włosy miał rzadkie, zaczesane w kółko, pełno w nich było srebrnych nitek; po łysince skakał słoneczny zajaczek odbity od otwartego gdzieś na górze okna, jakby ktoś głaskał go po głowie), po czym nagle pochylił się i pocałował ją w rękę. Wyrwała się spłoszona — w życiu nikt jej w rękę nie całował — i z trudem precisnąwszy się przez wąską połówkę drzwi niemal biegiem puściła się po schodach. W końcu zabrakło jej tchu. Na ciemnym, przesyconym dymem zakręcie między drugim a trzecim piętrem zastygła bez ruchu przytuliwszy policzek do chłodnej ściany. Dawne, teraz wręcz nieprawdopodobne obrazy przesuwały się przed oczyma: głębokie jak studnia podwórze, podobny do piwnicy pokój, w którym oprócz niej mieszkało jeszcze pięć dziewcząt; łóżka stały w dwóch rzędach, jak w szpitalu. Kiedy czarne, wyasfaltowane dno studni jeszcze ociekało topniejącym pod ścianami, brudnym śniegiem, drewniane schody do Jurasiowego „gołębnika” już były ciepłe od słońca. Często siadywali na tych schodach, położywszy na kolanach książki. Oboje byli młodzi i jakoś do siebie podobni; wołali na nich brat i siostra. Przez pierwsze dni po stypendium Juraś kupował czerwone kogu-ciki-lizaki, sosnowe patyczki pachniały żywicą; schody, które wiodły do „gołębnika”, jeszcze teraz pachną dla niej żywicą. Wiosenne słońce morzyło, sklejało po-

wieki, zasnuwało stronice książki słodkim oparem; głowa powoli opadała na ramię Jurasia, przelatowały przez nią sny, krótkie i jasne, jak trzepot gołębi na nieprawdopodobnie błękitnym niebie...

Marynki nie było w mieście: pojechała ze studentami do kołchozu pomagać w polu. Wyłożyła zapasy obok szafki, napisała karteczkę i zeszła na dół. Na zalanym słońcem chodniku stał Juraś i patrzył w okna internatu. Skoczyła jak oparzona do bramy, połówkę drzwi przyparła do ściany, przejrzała się w szybie. Szkoda mówić: z dawnej Wasyłynki tylko oczy zostały. Gdyby wiedziała, że coś takiego się zdarzy, ubrałaby się jak człowiek, a tak — w czym do pracy, w tym i przyjechała. Pośliniła różek chustki, wytarła kąciaki oczu i roześmiała się: zachciało się starej babie odmładzać... Uśmiechnięta wyszła z bramy. Juraś podszedł bliżej.

— Pomyślałem sobie, może idziemy w jedną stronę...

— Ja na Podół, do tego sklepu z nasionami — skłamała sama przed sobą.

Jak w dzieciństwie: lekcje nie odrobione, a tylko by się chciało hasać po ulicy.

Wsiedli do autobusu i pojechali na Podół. Nie umawiając się wysiedli nie koło targu, ale tam, gdzie kiedyś stał ich dom. Domu nie było, znikła też uliczka, którą co rano biegli do tramwaju. Wszędzie białe wielopiętrowe bloki. Między budynkami młode kasztany rozpościerały seledynowe liście, na betonowych chodnikach dzieci grały w klasy. Postali chwilę, a potem poszli przed siebie. Wiosenne słońce grzało, ludzie spacerowali lekko ubrani. Miasto jarmarcznie pyszniło się wystawami sklepów, warczały samochody, dzwoniły tramwaje. Lubiła miasto, jego gwar i ruch. Juraś wszedł do sklepu, kupił kogutków; nie były już odświętnie różowe, jak niegdyś, ale szare, jakby codzienne, za to patyczek tak samo jak wtedy pachniał

żywicą; przyjemnie było trzymać go w ustach; sama słodycz i miły chłód. Juraś zaproponował restaurację, ale odpowiedziała, że nie warto wyrzucać pieniędzy na głupstwa, więc zjedli obiad w barze, a potem wypili szampana: Juraś — pełną szklanekę, ona — tylko odrobinę; nigdy nie lubiła szampana. Mimo to, kiedy wyszli z kawiarni, w głowie jej się kręciło; własna twarz odbijająca się w szybach wystawowych zdawała się obca, a równocześnie jakby znajoma; taka twarz patrzyła na nią z dawnych zdjęć jeszcze z panięńskich lat. Poszli do parku; za ich czasów były tam huśtawki. Były i teraz, tylko jakieś inne, bardziej cywilizowane. Jurasiowi wiatr porwał kapelusz, a ona śmiała się i usiłowała go doścignąć, potem trochę ją zemdliło. W gabinecie luster długo chichotali na widok swoich okropnie powykrzywianych twarzy, potem poszli na strzelnicę; ani razu nie trafiła: naciskając spust zawsze zamykała oczy. Juraś chciał jeszcze zabrać ją do kina, ale nagle przypomniała sobie o czekającej w domu robocie i zaczęła się spieszyć. W drodze do autobusu Juraś kupił trzy tulipany zawinięte w celofan; kosztowały, bo kosztowały, ale nie powiedziała ani słowa: jeszcze nigdy nie dostała od nikogo kwiatów — to było interesujące. Już miała wsiadać, gdy Juraś powiedział:

— Wiesz? Czasem bywam łódką w waszych stronach. Zaprosiłabyś w gości...

— Co to, to nie. Co sobie ludzie pomyślą? A już z teściową całkiem życia bym nie miała. Dzieci dorosłe. Pobiegaliliśmy sobie dzisiaj jak dwa cielaki, i dość, nie co dzień jest niedziela, żyć trzeba. Żegnajcie...

Jechała do domu i z każdym kilometrem coraz głębiej chowała w pamięci dzisiejszy dzień. Pograżała się w codzienne kłopoty jak w uzdrawiającą kąpiel: synowi potrzebne jakieś lepsze ubranko, a ona nawet nie zajrzała do domu towarowego, cały dzień zeszedł na

tym wałęsaniu się po ulicach; dwie pierwiastki w jej stadzie ciężko się doją, niedługo krowy wyjdą na pastwisko, a tam trzeba doić ręcznie, ciężko będzie nadążyć; ciekawe, czy majster zrobił okna, trzeba oszklić werandę, zanim wygoni się krowy, bo potem człowiek nie będzie miał głowy do tego. Zostawiła tulipany w autobusie, pewnie ktoś się ucieszy, nie będzie przecież z kwiatami do domu wracać, co by powiedziała synowi... Po kilku dniach jakby całkiem zapomniała o tej wyprawie; po co głupstwami sobie głowę zawracać.

Przeprowadzili krowy na letnie pastwisko; dojarki zaczęły trzy razy dziennie przepływać na lewy brzeg. Lubiła patrzeć z promu na Dniepr. Inne kobiety drzemia, okrywwszy się płaszczami, albo wyszywają, a ona każdy kuter wzrokiem odprowadza, każdej pyrkawce, co prom wyprzedza, się przypatruje. Dojarki dogadują:

— Wasyłynka przyrodę podziwia!

— Słowików słucha!

— Co, Wasyłynko, krew nie woda!

Słowiki rzeczywiście coś takiego wyczyniały pod oknami, że jak się człowiek nie umordował, to i do północy oka zmrużyć nie mógł. Ale wkrótce słowiki ucichły, tylko te, co sobie pary nie znalazły, kląskwały płaczkliwie. Na dniewowych wyspach zaczęły się sianokosy; siano woziło się łodziami, brzeg koło przystani wyglądał jak zielony dywan i słodko pachniał herbatą. Którejś soboty wracając z porannego udoju — prom ledwie wypłynął na środek Dniepru — dojrzała przy drugim brzegu nieznaną łódź z pomalowaną na niebiesko kabiną. Nagle zrobiło się jej gorąco, aż kufajkę zrzuciła. Ostatnia zbiegła z promu, omal nie pośliznęła się na mokrym stopniu, dojarki już siedziały w ciężarówce. Obeszła auto dokoła, jakby coś zgubiła, chwyciła za klapę, postawiła nogę na koło i nagle ujrzała

jego. Ubrany zupełnie nie jak do drogi, w jasny garnitur i krawat, z włosami elegancko przylizanymi wokół łysinki, Juraś szedł po mokrym twardym piasku w stronę auta. Poczula, że noga ześlizguje się z koła, dłonie drętwieją. Z wolna osunęła się na przysypany sianem piasek. Auto ruszyło. Dopiero gdy już było koło przystani, wrzasnęła przenikliwie, aż poniosło się wzdłuż brzegu:

— A dokąd to, dranie, beze mnie!

Wygramoliła się z siana, dogoniła hamującą ciężarówkę, niczym bezwładny wór przewaliła się przez burzę i zanosząc się od śmiechu padła na wznak na przyprószone śrutą deski. Ciężarówka wpełzła na wzgórze i zagłębiła się w wiejską ulicę. Na dachu szoferki zatańczyły przepuszczone przez liście osokorów słoneczne zajęczki. Śmiała się jak szalona, sama nie wiedząc, z czego. Nagle zerwała się i nad plecami do-jarek zabębniła po kabinie:

— Zatrzymaj! Kufajkę na promie zapomniałam! Nie czekajcie na mnie, wróćę brzegiem!

Zeskoczyła i lekko, jakby jej połowę lat ubyło, pobiegła do przystani.

Tłumaczyła Tatiana Hołyńska

Behape

Szanowna redakcjo.

W krótkich słowach mojej korespondencji donoszę, że w naszej wsi Jadłówka miało miejsce naruszenie przepisów bhp.

Traktorzysta Babij Onysym i traktorzysta Szykota Anton wyjechali w pole robić podorywki. O ich osiągnięciach produkcyjnych gazeta rejonowa „Naprzód” pisała pod tytułem *Komsomolcy lat siedemdziesiątych!*

Ale najpierw nieco o Jadłówce, aby odosobniony wypadek nie przyciemnił rzeczywistego obrazu:

W bieżącej pięciolatce masy pracujące kołchozu osiągnęły sukcesy w rolnictwie i hodowli, a także podnoszą swój poziom moralno-polityczny. Jak wiadomo, niedawno oddano we wsi do użytku nowy pawilon usługowy. Chorzy naszego kołchozu mają do dyspozycji szpital rejonowy, w którym ordynatorem jest pochodzący z byłych biedniaków Chylko Petro Ilicz. Przed siedzibą zarządu kołchozu ustawiono honorową tablicę z podobiznami przodowników pracy, gdzie wiszą najlepsi: dojarka Petrunec M. I., świniarka Dzban K. O., opiekunka cielętnika Witruk Ł. D., kombajnista Łychoszerst W. S., kierowca Onyśko P. R. oraz umysłowi: pracownik rachuby Kijaszko B. N. i dyrektor szkoły Dykyj K. J.

W miejscowym klubie systematycznie wyświetla się filmy. Przykładowo: w ostatnim okresie czasu mieszkańcy Jadłówki oglądali *Cichy Don*, *Iwana Groźnego*, *Świat się śmieje* jak również zagraniczne: *Pojedynek*

w słońcu, *Tylko dla orłów, Czyż nie dobiega się koni?* i szereg innych. W klubie wiszą gabloty, a także zostały wygłoszone odczyty na temat: *Sytuacja na Bliskim Wschodzie, Perspektywiczne założenia rozwoju Jadłówki, Wychowanie w rodzinie i w szkole, O honor młodego pokolenia* i inne. W klubowej bibliotece są utwory klasyków, a także pisarzy współczesnych: Ołesia Honczara, Pawła Zahrebelnego, Hryhira Tiutiunyka, Jurija Jaczejkina. Aktyw czytelnicy stanowią najlepsi mieszkańcy wsi: przewodniczący kołchozu Tonkoszkur P. P., jego małżonka Tonkoszkur O. K.; uczniowie: Tonkoszkur Z. P., Tonkoszkur H. P., Tonkoszkur N. P. i inni.

Ze wsi Jadłówka wyszło wielu wybitnych ludzi, którzy dziś zamieszkują różne zakątki kraju. Tak na przykład w Moskwie mieszka uczestnik Wielkiej Wojny Narodowej podpułkownik Zajączkowski W. R., w Białej Cerkwi — jego brat, przodownik pracy w dużej fabryce, Zajac M. P. Szeroko poza granice naszego rejonu i wsi Jadłówka sięga sława zasłużonego nauczyciela Szweda S. T., którego wychowankowie pracują na licznych budowach pięciolatki, a także na polach i farmach hodowlanych naszego kołchozu.

Na czele organizacji komsomolskiej stoi kierownik klubu Szkuratiuk H. N., który przygrywa też na harmonii na wieczorynkach w klubie i na weselach.

W ubiegłym roku nasz kołchoz zajął szóste miejsce wśród rolniczych spółdzielni produkcyjnych całego rejonu, w roku bieżącym także nie wlecze się w ogonie.

Niestety, traktorzyści Babij Onysym i Szykota Anton nigdy nie widnieli obok najlepszych na tablicy honorowej, jak również nie notowano ich wśród aktywu czytelniczego biblioteki (kierowniczką — niedawna absolwentką szkoły Pidhajeć W. D.). Absentowali się z wykładów, nigdy nie brali udziału w akcjach maso-

wopolitycznych, nie chcieli być przykładem dla młodego pokolenia.

Wychodząc z wyżej ukazanych powodów miało miejsce rażące naruszenie przepisów bhp.

Dwa tygodnie temu Babij O. i Szykota A. robili podorywkę na Długim Gródku. Nie da się ukryć, że praca traktorzysty jest trudna i wymaga nie tylko zdrowia, lecz także wysokiego poziomu moralno-politycznego. Wymienieni nie uganiali się specjalnie za rekordami — aby tylko plan wykonać. Jakoś tak się przyjęło, że do obiadu trzeba chlapnąć kielicha — każdy miał na traktorze butelkę. Wieczorem znów wypili, bo, jak się to mówi, na kość przemarzli. Ale bez rozeznania pili, bo miarkę przebrali. Babij O. zasnął w zielsku, a zalany Szykota A. dosiadł potężnego stalowego rumaka, najechał na śpiącego Babija O., zgniótł gąsienicami i przeciął pługiem, jednym słowem wykończył, choć nieboszczyk był mu przyjacielem, a także kumem.

Po nieboszczyku Babiju O. zostało dwoje sierot — jednoroczny Taras i dwuletnia Maryna, jak również wdowa — członek komsomołu Babijowa M. K.

Traktorzysta Szykota A. po uśmierceniu Babija O. przez resztę nocy orał kołchozowe pole, bo myślał, że wyżej wymieniony udał się spać do wsi do żony.

Pragnę postawić pytanie: kto jest sprawcą tego rażącego naruszenia przepisów bhp? Odpowiedzi nie trzeba szukać daleko: rzadko zwołuje się zebrania komsomołu, na których z całą stanowczością potępiano by podobne odosobnione wypadki — a, niestety, odosobnionych wypadków jest dużo. W klubie opracowuje się satyryczną gazetkę „Reflektor”, ale ostatni numer ukazał się z okazji Dnia Kobiet. Tamże nie odbył się ani jeden wykład na temat: *Alkohol — twój wróg*, co byłoby okazją do przytoczenia licznych lokalnych przykładów. Zarząd kołchozu też ma, niestety, za krót-

kie ręce, aby dosięgnąć tych, co bez przerwy chleją, rujnąjąc rodzinę i nie chcą pewnym krokiem kroczyć ku.

Zaniedbywanie przepisów bhp nie jest jedyną bołączką naszej wsi. Na przykład łaźnia do dziś stoi nie wykończona, ktoś nawet powybił szyby w oknach.

Mimo to Jadłówka zmienia się nie do poznania! Nasi kołchoźnicy mają regularne połączenie autobusowe nie tylko z miastem rejonowym, ale i ze stolicą okręgu. Wieczorem w każdym domu widać błękitne lśnienie ekranów, przodownicy pracy oglądają różne programy: koncerty, filmy, piłkę nożną i hokej. W planie perspektywicznym ujęto budowę stadionu, gdzie młodzież będzie mogła zajmować się kulturą fizyczną, a emeryci — hartować zdrowie. Wzrośnie pogłowie bydła, dojarki podjęły zobowiązanie, że będą walczyć o wyższy udój od każdej krowy, wzrośnie wydajność pracy, wzrośnie dobrobyt. Wszystkie hasła zostaną wcielone w życie.

Szanowna redakcjo.

Gazeta „Naprzód” drukowała następujące moje korespondencje: *Iwan kiwnął na Petra, Jak rak świśnie, Rycerze „zielonego smoka”, Siewcy wychodzą w pole, Kwadratowo-gniazdowy sposób na królową naszych pól* oraz wiele innych. Stale prenumeruję waszą gazetę, którą upowszechniam również wśród mieszkańców wsi. Najbardziej podobają mi się artykuły, w których piętnujecie nierobów, łapówkarzy, biurokratów i inne przeżytki przeszłości. Błędy i wypaczenia trzeba wypalać rozpalonym żelazem! Musicie dawać bobu \trafiającym się jeszcze trutniom i niebieskim ptakom, facetom, którzy nie lubią płacić alimentów, a także niektórym takim, co chętnie sięgają do kołchozowej komory czy państwowej kieszeni.

Myślę, że moja korespondencja najlepiej pasuje do waszej ostrej rubryki: *Z frontu walki z alkoholizmem.*

Zawsze oczekuję jej z niecierpliwością i studiuję od deski do deski, a niektóre miejsca nawet czytam głośno żonie.

Korespondencję niniejszą przygotował Jakymach P. J., były kolchozowy woźnica i weteran pracy, stały terenowy korespondent gazety „Naprzód”.

Tłumaczyła Tatiana Hołyńska

Kanapa na skraju łąki

Na skraju łąki stała stara kanapa. W górze śmigały jaskółki, niżej brzęczały pszczoły i latały motyle; po ciepłym błękitnie dostojnie żeglowały białe obłoczki.

Kanapa miała nogi zakończone sporymi metalowymi kółkami, które ugrzęzły w wilgotnej ziemi. Fale soczystej trawy podływały do wałków, obciążniętych bardzo już wytartym brązowym pluszem. Na oparciu pyszniło się podłużne lustro, częściowo złuszczone, ozdobione żółtawymi zaciekami. Lustro puszczało słoneczne zajączki, które przysiadają hen, na wierzchołku wierzby. Z obu boków kanapa miała wpasowane drewniane półeczki, na jednej leżała paczka papierosów i zapalki, przez drugą przewieszono były męskie spodnie i koszula.

O świcie kołchozowy emeryt Onysym Harkusza wyprowadził swoją prywatną krowinę karmicielkę na pastwisko. Niech sobie bydłatko po rosie pochodzi, człowiekowi też nie zawadzi zdrowym powietrzem odechnąć. Ujrzawszy stojącą na skraju łąki kanapę pomyślał zrazu, że mu się w oczach troi. Zdumiony przetarł oczy. Kanapa dalej stała w trawie, unosiła się nad nią lekka poranna mgiełka.

Ciągnąc za sobą postronek z krową Onysym Harkusza ostrożnie podszedł bliżej. Ziemiste, poorane zmarszczkami oblicze zastygło w sztywną maskę.

Skulony w kłębek, na kanapie ktoś spał.

Krowa ani zdziwiona, ani przestraszona, flegmatycznie zaczęła obwąchiwać bosa stopy śpiącego. Stopy poruszyły się, pociągnęły za sobą tułów i po chwili

z uspiętego kłębka wynurzyła się głowa. Na kołchozowego emeryta Onysyma Harkuszę spojrzęła para osowiałych zaspanych oczu... Wyżej widać było załamane w trójkącik brewki, niżej — na wpół rozchyłone usta, z lewej — wilgotny zaróżowiony od snu policzek, z prawej — drugi, blady, z pełznącą po nim małą czerwoną mrówką.

— Dzień dobry — powiedział emeryt. Kto to może być? Co się tu dzieje? — tłukło mu się po głowie. — Jak się spało?

— Jak po kąpieli... Jakbym się maku objadł... — ręka leżącego zaczęła czochrać podobną do paździerzy, wypłowiła czuprynę. Druga leniwie uniosła wałek i wydobyla z bocznego schowka butelkę piwa. Pod zadartą w górę brodą zagrała grdyka. Zaspane oczy poweselały. — Oto jak się żyje! Nieźle, prawda?

— Nie wiem, nie próbowałem — wymijająco odparł Onysym Harkusza.

— A to spróbujcie, nigdy nie jest za późno!

— To tak tu spałeś... Całą noc?

— Ano! — zaśmiał się. Pod wpływem śmiechu krągłe oblicze o wystających kościach policzkowych jakby nieco wyprzystojniało. — Nie w domu, zamknięty na klucz w czterech ścianach, ale na łące, pod gołym niebem. A tutaj — żadnych ścian, prawda? Jeden sufit nad głową — ręka uniosła się ku niebu — a i to wysoko, nie doskoczysz. I pchły nie gryzą. Myślicie, ojczulku, że Petro Zełeniuk nie umie się urządzić? Nie gorzej niż wy, a może i lepiej.

Petro Zełeniuk? To przecie ten, co towar do sklepu dowozi! To znaczy dowoził, póki go nie przepędzili... Teraz jest nikim, nigdzie nie pracuje...

— Od dawna tu jesteś?

— Dopiero pierwszą noc... Może chcecie miejsce koło mnie? Bierzcie łóżko, choćby i rozkładane, stawiajcie, gdzie wola. Można pod tamtą wierzba, można w

wiklinie. Chcecie — to w polu, chcecie — na łące. Piękno, swoboda! Człowiek mieszka sobie z ptaszkami i żadna baba głupią gadką mózgu mu nie suszy.

— Pokłóciłeś się z żoną?

— Właśnie! A tutaj spokój, nie ma się z kim kłócić. Z żukami ani z jaskólkami nie będę się przecież zreć, no nie?

— Co prawda to prawda... A ta kanapa jak się tu znalazła?

— Zabrałem od żony... Poprosiłem kumpla i nieśmy do mojej matki. Ale stara zastawiła sobą wrota — wracaj do żony, mówi, pogodzić się trza. Nawet na podwórze nie wpuściła. Tośmy z tej złości przytaszczyli kanapę tutaj. Ani u matki nie mieszkam, ani u żony.

— Chlapnąłeś sobie wczoraj trochę, nie?

— A wy byście nie chlapnęli z takiej okazji? — Zełeniuk wyciągnął się na wznak i przebierając krzywymi paluchami nóg zaśpiewał:

*Ty pójdiesz górą,
Ty pójdiesz górą,
A ja doliną...*

Przerażona tym spontanicznym występem krowa szarpnęła postronek i odciągnęła swego chlebobawcę, choć ten miał wyraźną ochotę jeszcze sobie trochę pogadać... A były szef transportu zaopatrującego sklepik z towarami przemysłowymi leżał na kanapie i śpiewał. Śpiewał dalekiemu, pełnemu słońca niebu nad głową, muszkom, których frasobliwe brzęczenie unosiło się nad łąką, śpiewał świeżemu zefirkowi łagodnie muskającemu nagą pierś...

Czas już chyba przynajmniej pokrótce nadmienić, kim jest Petro Zełeniuk. Nie było we wsi pracy, któ-

rej by się nie imał. Był kierowcą i mechanikiem, magazynierem i bibliotekarzem, zadawał bydłu paszę i doił. Nigdzie dłużej miejsca nie zagrzał. Żonę miał kłótniwą i wyszczekaną, ale dzieci jakoś nie było. Dusia nieraz wykrzykiwała: „Chcielibyście, żeby o dzieci się postarał? A gdzież on o dzieci się postara, kiedy do domu zawsze z pustymi rękami wraca i jeszcze patrzy, co by wynieść!” Faktycznie, nie tylko o potomstwo się nie zatroszczył, ale i statków nijakich, w gospodarstwie potrzebnych, nie kupił ani własnymi rękami nie zrobił. Wszystko, co miał, to starą kanapę, którą dostał od matki jako prezent ślubny. Zawsze, jak się pokłócił z Dusią, zabierał kanapę i tarabanił ją z powrotem do matki. Ale tym razem stara nawet na podwórze go nie wpuściła, a że wracać do Dusii i zgoty robić nie chciał, razem z kanapą wylądował na pobliskiej łące.

Leżał teraz na swoim ślubnym wianie i śpiewał:

*Jak szybko mija życie,
Jak szybko płynie czas.
Za rok, za dzień, za chwilę
Razem nie będzie nas.*

Danyło, wsiowy elektryk i przyjaciel od serca („wszystko bym oddał Danyle, ostatnią koszulę bym z grzbietu ściągnął”), wjechał na miękki dywan łąki i nie zsiadając z roweru oparł się o kanapę. Twarz Danyły żywcem przypominała zleżale jabłuszko: miękkie, rozdziamdżiane wargi, pulchne policzki, nawet czoło jakby nieco opuchłe. Oczy przypominały dwa chomiki, tyle że całkiem niebieskie, wyglądające z głębokich norek.

— Masz, trzymaj! — podał przez oparcie siatkę z chlebem i kiełbasą. — Zajrzę jeszcze wieczorem.

— Czegoś mocniejszego nie ma?

— Jest flaszka owocaka...

— Co tam we wsi? — spytał Petro, jakby chodziło o odległą planetę.

— Wszyscy ryczą ze śmiechu.

— Śmiech to zdrowie. Im więcej człowiek się śmieje, tym więcej sił mu przybywa. W każdej wsi zamiast szpitala powinno się otwierać pensjonaty śmiechu. Kliniki rozweselania pod wezwaniem słynnego Pacana z Pacanowa, gdzie kozy kuja.

Danyło ruszył.

— Bądź ze mną w kontakcie! — pobiegło za nim i nad uśmiechniętą w porannym słońcu łąką rozległo się rześkie:

*Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rosła potokiem...*

Niebawem do stojącej na skraju łąki kanapy miarowym wojskowym krokiem podszedł nauczyciel wuefu. Bliżej nie wiadomo czemu, ale nauczyciel zawsze tak chodził: wyprostowany jak trzcina, pierś wypięta, głowa do góry i dokładnie odmierzony krok. Gdziekolwiek by to było — w szkole czy na jarmarku, nawet w lesie, gdzie oprócz drzew, ptaków i kwiatów nikt nie mógł go przecież podziwiać.

— Co ty tu robisz? — spytał wcale nie zdziwiony.

— Mieszkam — padła odpowiedź.

— Dlaczego?

— Bo się urodziłem i żyję.

— Idę sobie drogą i patrzę: może pomóc trzeba? Samochód, myślę, z meblami się przewrócił? Katastrofa jaka?

— Mieszkam tu sobie.

— Na łące?

— A co?

— Nic nie rozumiem — powiedział nauczyciel. — Wytłumacz jaśniej.

Ubrany tylko w gimnastyczne majteczki, Petro Zełeniuk usiadł na kanapie i zaczął tłumaczyć:

— Jestem człowiek wolny? Jestem. Mam prawo mieszkać, gdzie mi się podoba? Mam. Mogę na ten przykład pojechać do Workuty do kopalni? Albo do Tunguzów? Albo na karakumskie piaski? Czy choćby do sławnej Odessy? Mogę. Wolno mi tam zamieszkać? Nikt mi nie zabroni?

— Możesz... Nikt ci nie zabroni...

— To czemu nie mogę mieszkać na łące, dwa kroki od własnej wsi?

— Widzisz...

— A jakby, znaczy się, przyjechał do nas jakiś obcy turysta, postawił namiot — jemu, znaczy się, wolno?

— Wolno... w namiocie...

— To czemu mnie nie wolno na kanapie?

— Masz swój dom we wsi.

— Guzik mam, nie dom. Z żoną się pokłóciłem, rodzona matka nawet na podwórze mnie nie wpuściła. Ze sklepem się rozliczyłem, lepszej pracy nie znalazłem. Przecież muszę gdzieś mieszkać, nie?!

— Mimo wszystko nie rozumiem — powtarzał z uporem nauczyciel wuefu.

— Szkoda. Znaczy się, nigdy nie zrozumiesz.

Miarowy, wojskowy krok oddalił się. Petro Zełeniuk siedział na kanapie i śpiewał. Śpiewał na cześć pogodnego dnia, tonącej w kwiatach łąki, drzew, chat na wzgórzach, sadów i ogrodów, które rozciągały się, jak okiem sięgnąć.

A on do wojska był przynależnie...

A ona jego płaka...

Wyraźnie oczekiwał gości. No, może nie gości, ale jakiejś publiki, widowni. A co! Niech by go zobaczyła matka rodzona, co nawet na podwórze nie chciała go

wpuścić. Najbardziej jednak wyglądał Duśki. Uważnie wpatrywał się w krzaki, spoglądał w stronę wsi, patrzył na wysadzaną topolami drogę — nigdzie ani śladu Duśki. A przecież Duśka pierwsza powinna skwapliwie przybiec, namawiać do powrotu, prosić, żeby jej nie wystawiał na pośmiewisko. Ale Duśki nie było. Zawzięła się, czy co? Czuł, że zaczyna w nim wzbierać gniew — jakby kto ostry, wesoły ogień rozpałał. Ani kołchozowy emeryt Onysym Harkusza, ani nauczyciel wuefu — to nie ta ranga. Ale kaktus mu na dłoni wyrośnie, jeśli nie doczeka się właściwej rangi — Duśki!

Warczący gazik jak wodolot przeciął tonącą w czerwonym kwieciu łąkę, przednie koła omal nie przewróciły kanapy. W szoferce tkwił kołchozowy brygadziśta podobny do zamkniętego w akwarium tłustego suma, ze smutno opadającymi cienkimi wąsami.

Wojsko idzie, wojsko śpiewa...

Warkot gazika nie mógł zagłuszyć dziarskiej melodii. Brygadziśta powoli wygramolił się z auta. Baloniste nogi ugiwały się pod nim, niczym słabo napompowane opony. Odczekał, aż piosenka dobiegnie końca, klasnął w pulchne jak pączki dłonie i krzyknął:

— Bis!

— Bisów nie wykonuję — były kierownik transportu towarów przemysłowych oblizał spierzchnięte wargi.

— Spokój naruszasz — powiedział brygadziśta. — Przeszkadzasz. Tu, na łące.

— Przeszkadzam? Na łące? — Zełeniuk ochoczo podjął rzuconą rękawicę. — Można wiedzieć, komu?

— Bydłu — stwierdził brygadziśta. — Bydłu przeszkadzasz. Tu powinny paść się krowy i nabierać mleka. Łąka to nie sypialnia. Ani bufet. Spać można w sypialni, a ryczeć głupawe piosenki — w bufecie.

— Kto mi zabroni? Zechcę — w lesie sobie kanapę postawię!

— Łąka kołchozowa, las państwowy. Też nie można. Na łące — bydło, w lesie — ptaszki, sarenki, leśna cisza... (A wiesz, poziomeczki dojrzały.) Wszystko na wyznaczonym miejscu zameldowane. Krowa — na pastwisku, wiewiórka — w dziupli, trzmiel — na bo-
diaku, sroka — w olszynie... Wadzą ci one?

— Kto? Trzmiel i sroki? — zaśmiał się Petro. — Też coś!

— Widzisz. A ty im przeszkadzasz. W oczy leziesz. Wśród nich żadnego anarchisty nie uświadczysz, prawda? Bierz sobie z nich przykład. Przyjrzyj się tym pszczołkom i trzmielom, tym żuczkom i mrówkom.

— No?

— Co no? Widziałeś, żeby jaki dzik wylazł ze swego legowiska i wmeldował ci się do chaty? Albo żeby kraska na twoim piecu się osiedliła? Widziałeś?

— Wy poważnie?

— Żebyś wiedział. Nie pora na żarty. Jak się nie wyniesiesz razem z tą kanapą z łąki, ormowców po ciebie przyślę. Nie teraz, wieczorem. Nie chcę ściągać chłopaków z pola... Zobaczysz, jeszcze rada gminna grzywnę ci wlepi.

— Grzywnę? Za co?

— Dowiesz się, jak ci pokwitowanie wystawią.

— Nawet ślimak swoją chatkę na plecach nosi. A mnie nie wolno?

— Myślisz, że ślimaków żadne prawa nie obowiązują? Mają i one swoje prawa i według nich żyją.

Brygadzysta wdrapał się do szoferki, łypnął oczyma niczym sum w akwarium spod zielonkawej wody i odcumował od kanapy. Gazik popłynął przez falujące trawy wlokąc za sobą ogon spalin. Zełeniuk wykończył ze złości różowego owocaka i zaśpiewał na cały głos:

Dobry humor ulotnił się bez śladu, śpiew zamierał w gardle. Najbardziej wkurzało go to, że delegacja najwyższej rangi — własna ślubna żona — wcale nie kwapiła się odwiedzić jego królestwa swobody. Pewnie nie może zapomnieć, że wykopali go z pracy w towarach przemysłowych jak pustą beczkę z górki. Jeszcze się zdąży zaprząć — byle szyja była, chomąto zawsze się znajdzie. Jeszcze żeby dzieci ich obsiadły, jak gąsienice kapustę, może by i nie siedział z założonymi rękami, ale tak... Starczy tego, co Duśka zarobi.

Zmorzony upałem i zawartością butelki zasnął. Zbudziło go gwałtowne kołysanie kanapy. Ki diabeł? Otworzył oczy i z przerażeniem zobaczył tuż nad sobą podłużną mordę na pomarszczonej szyi, która miarowo ocierała się o oparcie kanapy.

— Tfu, ty parszywcu! — zaklął ze złością.

W kołchozie ostało się zaledwie kilka koni, wśród niedobitków znajdował się także stary, chudy jak szczapa Gniadosz, na wpół ślepy, z wyskubaną grzywą. Gospodarstwo nie miało już z niego nijakiej korzyści, bezpańskie stworzenie włóczyło się tu i tam — koło obory, pod klubem, na wygonie i na łące. Gniadosz sam wychodził ze stajni, sam wracał i pewnie już dawno prosił w duchu końskiego boga, żeby się nad nim zlitował i zabrał go do swego królestwa, choćby i przez bramę rzeźni.

Na razie stał i ocierał wyleniałą szyję o stojącą na skraju łąki kanapę.

— No, dosyć już, dosyć! — burknął nie wiadomo czemu rozdrażniony Żeleniuk.

Koń spokojnie ocierał się jak nie przymierzając o dyszel albo drabinkę na siano w stajni.

— Skórę przetrzesz! — spróbował go postraszyć były pracownik geesu. Ale koń wparł się piersią i przed-

nimi nogami w oparcie kanapy i szorował bez opamiętania. — Uważaj, przewrócisz! — krzyknął Zełeniuk. — A może ty chcesz mnie z łąki przepędzić? Przecież to twoja łąka, nie? — Po czym domyślnie uderzył się ręką w czoło i dodał: — Z brygadzystą trzymasz? Pewnie on cię tu nasłał! Pełnomocnika sobie znalazł...

Zeskoczył z kanapy i dopiero wtedy ogłuchły i na wpół ślepy koń zauważył, że ktoś przed nim stoi i bezładnie wymachuje rękami. Zadarł pysk w górę, z piersi dobyło się gorzkie i jakieś starcze rżenie.

— Emeryt nie rozumiał, nauczyciel wuefu też się nie połapał, brygadzysta niczego nie skapował — temu pewnie sam diabeł zabronił cokolwiek kapować — ale ty, stare konisko!

Wieczorne jaskółki ze skwirem latały tuż nad łąką, niemal muskając skrzydłami końskie boki i rozkudłaną, podobną do kłującego bodiaka, głowę Zełeniuka.

— Jaskółki też się chyba na mnie uwzięły. Może faktycznie wyganiają? Można powiedzieć, prostą drogą do Duśki prowadzą! — Zdumiony niespodziewanym odkryciem głośno rozważał: — Sam bym za nic do niej nie poszedł, ale skoro wszystkie nieczyste siły sprzysięgły się przeciwko mnie...

Z nadzieją spojrział w stronę wsi. Gdzie tam! Ta wściekła Duśka ani myśli się spieszyć. Co to, to nie. Otrzeźwiał i zaczął wciągać na siebie ubranie. Potem spróbował posunąć kanapę po trawie. Kółka ani drgnęły.

— Pomógłbys — zwrócił się do Gniadosza. — Tacy jak ty mają w kolchozie złote życie: do roboty nie chodzą, a jeść dostają... Żeby choć jakieś lejce, kawałek postronka, zaprząglbym cię do kanapy jak do wozu i hajda do wsi... Wiesz co, parszywcu, może ta cholerna Duśka ma rację, że mi tak dożera? Ty też byś zgłupiał, jakbyś był babą i dzieci nie miał. A ona przecie

baba. To straszna siła! I cała ta siła, jak grom, tylko we mnie uderza. Diabli nadali! Jednak trzeba o dzieci się postarać, zaraz by mi lżej było. Świata by za nimi nie widziała, nie tylko mnie! Sam bym za nic nie zszedł z łąki, mieszkałbym sobie na kanapie pod gołym niebem, ale widać wszyscy się przeciw mnie zmówili... Nawet ty jesteś przeciwko mnie, prawda?

Pod wieczór przyjechał elektryk Danyło. Taki nigdy człowieka nie porzuci, nie zdradzi, w najgorszej biedzie poratuje — pomyślał Petro, głośno przełykając ślinę ze wzruszenia. Jeszcze chwila i byłby się rozpląkał.

— Jesteś wreszcie! Doczekać się nie mogę! — wymachiwał bezładnie rękami jak wzywający ratunku topielec. A kiedy tamten się zbliżył, zakomenderował: — Kładź pojazd na kanapę, zaprzęgamy się i jazda!

— Kolację ci przywiozłem... Miałeś przecie nocować...

— E-e-e. Żebyś ty widział, co tu się wyprawiało. Mówię ci, ziemia była tam gdzie niebo, a niebo na dole — mówił z przejęciem nie odrywając oczu od trawy. — Brygadzysta przylatywał... Wiesz, Duśka doniosła... Już na milicję dali znać. Przecie nie chce trać takiego chłopca jak ja. Znajdzie to lepszego?

Ślepowy Gniadosz patrzył dobrodusznie, jak oba chłopcy wprzegają się do dziwaczного wozu. Czegoś takiego w życiu nie ciągnął! Dziwo zaczęło z wolna sunąć przez łąkę. Chłopcy pchały, aż im się plecy w łuk wygięły. Złuszczone lustro odbijało ostatnie promienie słońca: złociste zajaczki bezmyślnie skakały po krzewach, drzewach i pagórkach.

— Sam bym za nic do domu nie wracał — sapał czerwony z wysiłku Petro — ale baba wściekła, oj wściekła... Na łące dobrze, nie to, co w domu. Jutro może bym się przeniósł do lasu czy w pole i tak bym

mieszkał.. Kto mi zabroni? Ale złożyła formalne oświadczenie brygadziście... Słyszał to kto, żeby coś takiego mówić naczalstwu? Oświadczyła, że jest ze mną w ciąży, niedługo będzie rodzic, ona chce, żeby to był chłopczyk, a ja przed całą wsią na pośmiewisko ją podaję. Bo przecie i z dzieciaka będą się śmiać, niby że ojciec w domu nie mieszka, tylko gdzieś na łące czy w polu... No i masz — bachorem mi dosoliła, z bachorem człowiek nie wygra!

Koło pierwszych chałup kołchozowy emeryt Onysym Harkusza paś na postronku swoją prywatną krowinę. Baczenie przyjrzał się przechodzącym.

— Szczęśliwego powrotu, Petro!

Kanapa sunęła powoli wyboistą ulicą, w złuszczo-
nym lustrze raz po raz odbijało się niskie czerwcowe słońce. Płochliwe, wesołe i beztroskie zajączki skakały, rozbiegały się w popłochu i znów zaczynały hasać po jabłoniach i wiśniach, wrotach i ogrodzeniach. Z najeżonych telewizyjnymi antenami dachów przeskakiwały na słupy telefoniczne, stamtąd na krowy i samochody zatrzymując się niekiedy na zaciekawionych ludzkich twarzach. Złośliwie uśmiechnięte oblicza majaczyły w oknach, snuły się po podwórkach, pochylały się nad grządkami, tkwiły na przyzbach.

Wszyscy wiedzieli, że Petro Zeleniuk wraca do domu przeproszać żonę.

Do następnego razu.

Tłumaczyła Tatiana Hołyńska

„Odjazd na Cyterę”

Już po raz trzeci znalazłem się w tym pokoju z oknem zasłoniętym ciężką kotarą, z meblami w stylu barokowym. Dziewczyna, która mnie tu wprowadziła, zniknęła w ciemnym bocznym korytarzyku, przystanąłem więc na środku pokoju i czekałem z ręką w kieszeni marynarki, przesuwając w palcach dukata z wyobrażeniem austriackiej cesarzowej Marii Teresy. Opuszki palców rozpoznawały znany od dzieciństwa relief monety. Tego dukata dostałem ongiś „na szczęście” od babuni, a teraz miałem go dać znanemu w naszym mieście Kolekcjonerowi za to, że wskazał mi ten dom. Nie zbierałem staroci, interesowały mnie wyłącznie książki, toteż bez szczególnego żalu winienem się był rozstać z tym rarytatem. A jednak dziś także ucieszyłem się widząc, że nie zastałem tu Kolekcjonera: talizman babuni był czymś na kształt pomostu łączącego mój dzień dzisiejszy z odległą przeszłością, i ta właśnie wąta więź miała być teraz bezpowrotnie zerwana.

Na wprost mnie jaśniała framuga drzwi zawieszonych portierą. W pewnym momencie portiera poruszyła się i na progu stanęła stara kobieta.

— Aaa, pan filmowiec... — powitała mnie tak samo jak za mojej pierwszej i drugiej bytności u niej.

Jedną ręką wsparła się o łóżko, drugą trzymała za plecami, jakby przytrzymując portierę, żebym przypadkiem nie zechciał wśliznąć się do sąsiedniego pokoju, skąd wynosiła przeznaczone na sprzedaż rzeczy: stare książki i obrazy.

Chwilę stała w milczeniu, po czym wyciągnęła ukrytą za plecami rękę i podała mi nieduży obraz w ciężkiej złoconej ramie.

Aż się zjeżyłem w środku — interesowały mnie wyłącznie stare książki, zwłaszcza historyczne, a ta już trzeci raz usiłuje mi wtrzytnąć to Biblię, którą już mam od dawna, to jakieś brukowe francuskie romansidła przetłumaczone na polski pod koniec zeszłego stulecia. A przecież dobrze wiedziałem, że za tą portierą, tam gdzie ani razu nie chciano mnie wpuścić, mimo grzecznych i usilnych prośb — mieści się zasobna i cenna biblioteka, którą stara dostała w spadku, podobnie jak obrazy i meble, nie wiadomo po kim.

Najchętniej wyszedłbym stąd i więcej nie wracał, nawet uśmiechało mi się takie rozwiązanie — w kieszeni pozostałby mi dukat babuni, do którego przy całym swoim realizmie miałem dziwny sentyment. Jednakże dobre wychowanie nie pozwoliło mi na to — wziąłem od starej obraz i z grzecznym uśmiechem wskazałem na okno. Zrozumiała i odsunęła kątąkę dokładnie tyle, by światło padło na obraz.

Na tle bladoliliowych fal, zwrócony twarzą do morza, stał młodzieniec odziany w krótką delię, z gołymi łydkami i kijem w ręce. Drugą ręką obejmował w pół damę o pięknych, bujnych włosach, w strojnej sukni — wyglądało, że wzywa ją dokądś; dama odchyła głowę, jakby broniąc się przed pokusą.

Oparłem obraz o wezglowie łóżka i przyjrzałem mu się. Było w nim coś z elegii i wesołej pasterskiej zabawy, zarazem jednak aura dziwnego smutku otaczała stojącą parę. Nie potrafiłbym określić wartości obrazu ani odgadnąć autora — mógł to być zwyczajny tani oleodruk — a jednak rzecz podobała mi się. Nie umiałbym nawet powiedzieć, co mi się podobało — nie jestem znawcą sztuki — być może, owa wewnętrzna rozterka widoczna w twarzy kobiety. Patrzyłem na

obraz i naraz ni stąd, ni zowąd przypomniał mi się zagadkowy, jakby kryjący w sobie zazdrość o cudze szczęście, a zarazem sceptyczny uśmiech Sabaudczyka z obrazu Watteau *Sabaudczyk ze świstakiem*, znajdującego się w Ermitażu, i w uszach zabrzmiała mi Beethovenowska pieśń o Sabaudczyk; przez chwilę zdawało mi się, że to ja sam jestem tym wędrownym grajkiem, który z katarynką i świstakiem wędruje przez wsie i miasteczka, obserwując ludzkie życie, czy — jak tu, w tym pokoju — brak jakichkolwiek jego oznak.

*Od wsi do wsi wędruję,
Mój świstak zawsze ze mną...*

Spytałem o cenę obrazu. Stara zaśpiewała pięćdziesiąt — bez namysłu zapłaciłem. W tym momencie odezwał się dzwonek — ktoś musiał pociągnąć za sznurek przy drzwiach wejściowych — i kobieta znikła za portierą.

Znów usłyszałem ciche stąpanie w bocznym korytarzyku, skrzypnięcie drzwi, lekki stuk zdejmowanych butów; rozległo się grzeczne, aż nazbyt ugrzecznione, „dzień dobry”, ostrożnym, jakby skradającym się krokiem ktoś wszedł do pokoju. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Kolekcjonera.

Szybko ruszyłem mu naprzeciw, jakbym się bał, żeby przypadkiem nie zobaczył obrazu, który tak mi się spodobał. Kolekcjoner poufale, nieco konspiracyjnie ścisnął mnie za ramię i skinął głową. Znów poczułem ciężar dukata, który spoczywał głęboko w lewej kieszeni marynarki.

Przyglądałem się Kolekcjonerowi, jak gdybym widział go pierwszy raz w życiu: inteligentna twarz obramowana bródką, jaką w zeszłym stuleciu nosili w Rosji postępowi inteligenci. Miał na sobie huculski serdak

z czerwonymi chwaścikami; nigdy nie byłem purytaninem czy konserwatystą, sam podczas dalekich podróży nieraz zapuszczałem brodę i mojej Niłoczce kupiłem stylizowany na huculszczyznę kożuszek, a jednak w wyglądzie Kolekcjonera było coś drażniącego: strzyżona bródka miała podkreślać przynależność do inteligencji, ludowy serdak — związek z ludem. Choć — może mi się tylko tak zdawało. I znów nie wiadomo dlaczego w mojej pamięci ożył Sabaudczyk Watteau, ze swoim sceptycznym uśmieszkiem: katarzyniarz zdawał się bacznie taksować wzrokiem przybyłego, i raptem jego uśmiech zbladł...

— No, jak? — spytał szeptem Kolekcjoner skinąwszy głową w stronę portierny. — Znalazł pan coś ciekawego?

W pytaniu wyczułem aluzję do mego dukata; sięgnąłem ręką do kieszeni, pomacałem i nagle uświadomiłem sobie, że bardzo nie chciałbym się z nim rozstać.

— Przyniósł pan to, co mi pan obiecał do mego muzeum? — ciągnął Kolekcjoner nie czekając na moją odpowiedź.

— Och, na śmierć zapomniałem... innym razem... — bąknąłem. Uratowało mnie to muzeum. Ależ pompatycznie nazwał swoją kolekcję! — Jak pan powiedział? Muzeum? — Ironia pomogła mi opanować zmieszanie.

— Czemu nie? Żeby pan zobaczył!...

— W tym sęk, że pańskich skarbów nikt nie ogląda... Pewno jakiś lamus...

— Co pana dziś ugryzło! — inteligentną twarz Kolekcjonera wykrzywił grymas, był wyraźnie dotknięty. — Niech pan tylko pomyśli, ile skarbów byłoby bezpowrotnie straconych, gdyby nie prywatne kolekcje, gdyby nie miłośnicy sztuki i mecenas! A tutaj to wszystko przepadnie — stara już na księżą oborę patrzy, pieniądze ciuła i grobowiec sobie buduje...

Ogarnęło mnie zniechęcenie: tamta — grobowiec,

ten — lamus. Przypomniałem sobie, że o Kolekcjonerze różnie mówiono, dotychczas nie przywiązywałem do tego wagi, i teraz też nie bardzo dawałem wiarę, gdy wtem przyszły mi na myśl słowa znanego w naszym mieście Kustosza: „Kto szuka czystych śladów historii, sam musi być czysty” — i zapragnąłem natychmiast stąd wyjść.

Skierowałem się w stronę łóżka, na którym — oparty o wezglowie — stał mój najnowszy nabytek. Kolekcjoner zobaczył obraz i usiłując mnie wyprzedzić, także rzucił się ku niemu, lecz nagle zatrzymał się w pół kroku: w drzwiach ukazała się pani domu.

— Dzień dobry, dzień dobry — podszedł na paluszkach do starej i szarmancko pochylił się do jej ręki, nie odrywając jednocześnie oczu od obrazu.

Znów przypomniało mi się, co kiedyś opowiadał Kustosz: w jakiejś zabitej deskami góralskiej wsi Kolekcjoner, choć sam niewierzący, na kolanach bił pokłony przed starą ikoną, żeby tym łatwiej wyłudzić ją potem od łatwowiernych, pobożnych wieśniaków — nie wiem, prawda to, czy nie, ale coś podobnie błazeńskiego i fałszywego było w tym pochyleniu nad ręką starej; znów wyłonił się z mej pamięci wszystkowiedzący uśmiech kataryniarza — tylko dlaczego właśnie tu, w tym zatęchłym pokoju?

*Przytulęk na noc gdzieś tam znajde,
Mój świstak zawsze ze mną...*

Przywitawszy się ze starą Kolekcjoner cofnął się parę kroków i stanął przed moim obrazem; po prostu przywarł do niego spojrzeniem. Natrętny kataryniarz mrugnawszy porozumiewawczo przypomniał mi jeszcze jedną plotkę o Kolekcjonerze — jak to go pobili gawareccy garncarze, gdy udając, że-modli się żarliwie w wiejskiej kapliczce, ukradł stare lichtarze. Jeśli to

prawda, a ja stoję tu obok niego, zbratany tą samą namiętnością, w przybytku, gdzie odchodzi handel skarbami narodowymi... Znów ogarnęło mnie przemożne pragnienie: wyjść, wyjść stąd jak najprędzej, ale on odcinał mi drogę do obrazu i zagryzając wargi dosłownie pożerał go oczami.

Odsunąłem go i uważniej przyjrzałem się obrazowi. Skąd ja znam ten elegijny temat? Przebiegałem w pamięci to, co zapamiętałem z galerii Ermitażu, Luwru, hawańskiego Kapitolu, ale nie mogłem skojarzyć żadnego z oglądanych tam obrazów z tym tutaj — uparty Sabaudczyk patrzył teraz ze smutkiem, odrobiną zazdrości, ale i sceptycyzmu na ucieczkę dwojga zakochanych z tego łoża padołu w krainę marzeń i złudnego szczęścia.

*Minęła noc na trwoźnych snach
Mój świstak zawsze ze mną...*

Kolekcjoner, który w swych zazdrośnie ukrywanych zbiorach miał podobno cenne obrazy, ikony, sukienki na święte obrazy, świeczniki, naszyjniki, kafle, krzyże, stare monety, złote dukaty — był niezłym znawcą sztuki i na pewno mógłby mi przypomnieć, skąd znam tę parę na obrazie; z tajoną nadzieją — a nuż kupiłem za bezcen rzecz wartościową! — i z lękiem, by jej nie utracić, czekałem w napięciu, co powie, ale w głębi duszy czułem się winny, że w ogóle się z nim zadaję.

Pochyliłem się niżej nad obrazem i aż odskoczyłem usłyszawszy głośny okrzyk Kolekcjonera:

— Przecież to Watteau! *Odjazd na Cyterę.*

Szlachetne oblicze starej damy raptem obwisło, pokryły je sine, prawie fioletowe plamy, cera przypominała powierzchnię mebla stoczoną przez korniki. Oczy jej błysnęły, nie zrozumiała wprawdzie znacze-

nia tego, co wykrzyknął Kolekcjoner, ale jego podniecenie kazało się domyślać, iż owo dzieło warte jest znacznie więcej, niż otrzymała. Sięgnęła po obraz wołając „sprzedany, sprzedany!”, lecz powstrzymały ją ugrzecznione słowa:

— Sprzedany? To pan, panie scenarzysto, jest taki szybki?... Boże, taki taniutki falsyfikat! — Kolekcjoner zachichotał. — Ile pani dobrodziejka za to wzięła? Pięćdziesiąt?... Cóż, dla znanego filmowca pięćdziesiąt rubelków to pestka, ramy przynajmniej solidne, będzie miał z nich pożytek... Czy zechciałaby pani przynieść coś, co ja mógłbym obejrzeć?

Stara zakręciła się w miejscu, wyraźnie nie miała ochoty teraz nas opuszczać, ale twarz Kolekcjonera była chłodna i obojętna, więc znikła wreszcie za portierą. Wtedy mój znajomek przypadł do obrazu.

Dyszząc z podniecenia suwał palcami wzdłuż ramy, ich opuszki, zapewne czułe, jak u chirurga, obmacywały każde wgłębienie, każdą wypukłość i wreszcie coś znalazły. Poślinił palec, ale zreflektowawszy się, że to obraz olejny, wyjął z kieszeni jakąś buteleczkę, odkorkował, umoczył palec w rozpuszczalniku i zaczął pocierać małe poziome zgrubienie w lewym rogu obrazu. Patrzył długo, po czym odwracając się do mnie z chciwym błyskiem w oczach, pobladły, z nagle obwisłymi policzkami, wychrypiał:

— Odkupię go od pana... Pan przecież zbiera książki... Dam sto... dwieście...

Wyglądał tak jakoś żałośnie, że zrobiło mi się go żal.

— Niech pan nie będzie śmieszny... — powiedziałem. — *Odjazd na Cyterę* wisi w Luwrze.

— Oczywiście, oczywiście — bełkotał. — Ale ja uwielbiam Watteau, nawet nieudolne kopie... Dam trzysta... — rozkrzyżowanymi rękami usiłował zasłonić obraz.

Co on tam mazał tym rozpuszczalnikiem? — przypomniałem sobie. Z całej siły odepchnąłem go i nachyliwszy się nad obrazem, w świeżej jaśniejszej smużce przeczytałem: „Wateo”.

Fragment. Szkic. Szkic do obrazu... Oryginał!

Chwyciłem obraz za ramę. Kolekcjoner złapał z drugiej strony i zaczęliśmy wyrywać go sobie nawzajem. Nie wiedziałem jeszcze, co z nim zrobić, ale skarb to skarb. Byłem rozjuszony podobnie jak on, mój rywal, palił mnie wstyd, że teraz już całkiem upodobniłem się do niego — już nie wątpiłem w to wszystko, co o nim mówiono, ale było za późno, by się wycofać, obaj byliśmy gotowi skoczyć sobie do gardła, gdy wtem portiera się poruszyła i Kolekcjoner puścił obraz.

Stara przyniosła teraz dwa obrazy dla Kolekcjonera. Rzucił na nie okiem i cmokając z zachwytu poprosił:

— Proszę nas zostawić samych, dobrodziejko. Muszę im się przyrzec. To trochę potrwa...

Gdy stara znikła, podsunął mi krzesło, sam także usiadł i zaczął pojednawczym tonem, ocierając pot z czoła:

— Dojdziemy do porozumienia... Dam, co tylko pan zechce. Pieniądze... Coś z mego muzeum. Ale co panu z tego przyjdzie... Pan przecież książki... Mogę zrezygnować z tego dukata, którego mi pan obiecał...

Po raz drugi przypomniał mi, że ja też jestem zbieraczem, usiłował zrobić ze mnie swego współnika, proponował nieczysty interes. Czułem, jak oblepia mnie jakiś niewidoczny brud, od którego trudno się uwolnić: w duchu oceniłem już nawet wartość dukata, która wydała mi się niczym w porównaniu z prawdopodobną ceną obrazu. Ni stąd, ni zowąd stanęło mi w pamięci zdarzenie w Neapolu podczas mojej ostatniej podróży za granicę... Pewien inteligentny, sympatyczny z wyglądu inżynier nie wrócił na statek, pół dnia na niego czekaliśmy: poprosił o azyl. Pamiętam, że

wtedy i nieraz później zastanawiałem się nad tym — przecież on nie od razu stał się zdrajcą, ta sprawa musiała skądś wziąć początek; może kiedyś nie zdobył się na to, żeby strząsnąć z siebie pierwszą warstwę brudu, zupełnie jak teraz ja... Stoi oto przede mną bezcenny obraz, który dostał mi się za psi grosz, a ja nie mogę go zostawić, ale zabrać też nie potrafię: błagania Kolekcjonera opłatywały mnie jak macki polipa.

Stałem z opuszczoną głową, tamten szept wpelzał w moje uszy jak robactwo, wypełniał mózg, wymieniane sumy rosły i rosły, wyobraźnia podsuwała coraz to więcej rzeczy, które mógłbym sobie za to kupić...

— Tysiąc... półtora... dwa... Pięć tysięcy... Dziesięć!

Najpierw wzbogaciłem się o perski dywan, potem o meble z importu, dalej — samochód, i wreszcie — domek na wsi. Nie posiadałem tego wszystkiego, honoraria za scenariusze poszły na podróże zagraniczne, te pieniądze dałyby mi niezależność, nie musiałbym co dzień chodzić do pracy — pisałbym w mojej wiejskiej posiadłości lub w domach pracy twórczej: fragment obrazu Watteau, bez którego w końcu mogę się obejść, pozwoliłyby mi odpłynąć na moją własną Cyterę, ale ta ucieczka opłaciłaby się: powstałyby nowe utwory, ludzie ich potrzebują...

Nie mogłem się zdecydować. Zdawałem sobie sprawę, że właśnie to wahanie już jest przestępstwem... Pomyślałem o Kustoszu, który mieszkał bardzo skromnie, choć władał pałacami nie gorszymi, niż kiedyś książę Konstanty Ostrogski, ale Kustosz ratował przed nieuchronną zagładą niezliczone skarby i wszystko oddawał ludziom, tym, którzy żyją dziś, i tym, którzy przyjdą po nas, a ten tutaj, z którym nieopatrznie wdąłem się w jakieś konszachty, zamyka podobne skarby w więzieniu. Kto może zaręczyć, czy jakiś jego wnuk, przez niego właśnie z tych skarbów okradziony, zamiast stać się obrońcą rodzinnej ziemi, nie zo-

stanie renegatem, bo nie będzie miał na czym uczyć się szacunku i dumy z duchowego bogactwa przodków... A ten inżynier z Neapolu — może on także został w ten sposób okradziony, jeszcze zanim przyszedł na świat, albo sam pozbył się kiedyś talizmanu babuni, oddał go, jak coś niepotrzebnego, za drobną korzyść, i tak właśnie oderwał się od własnych korzeni?... Zdawałem sobie z tego sprawę, a jednak siedziałem tu i słuchałem, jak sypią się na mnie pieniądze, stosy pieniędzy.

Jeszcze raz spojrzałem na obraz i przypomniałem sobie tamten z Luwru: małe figurki zmierzają na stojący przy brzegu statek, wzburzone morze napawa trwogą, a tam gdzieś czeka spokój i radość, i bogactwo: tylko jedna kobieta — nie ta, co na „moim” fragmencie — inna — siedzi na uboczu, stropiona, miotana wątpliwościami, podobnie jak ja w tej chwili: siedzę i wsłuchuję się w piosenkę sabaudzkiego kataryniarza:

*Dadzą kawałek chleba nam,
Mój świstak zawsze ze mną...*

Kawałek chleba już jest tak wielki, że trudno mi go ogarnąć: rzeczy, które mogłem nabyć za proponowaną sumę, przemieniły się nagle w gruby plik banknotów; plik rósł, pęczniał — „piętnaście tysięcy... dwadzieścia!” — lada chwila stos banknotów runie i przygniecie mnie... Ocknąłem się jak z koszmarnego snu i zobaczyłem przed sobą rozpalone oczy Kolekcjonera. Przez na wpół odsłonięte okno padała na niego wąska smuga dziennego światła — inteligencka bródka Kolekcjonera była siwa, czarny huculski serdak jakby wyblakł od gorączki trawiącej jego właściciela. Chciałem zmierzyć go wzrokiem od stóp do głów z miną, jakbym zastanawiał się nad ostateczną ceną, ale stopy były niewidoczne: Kolekcjoner klęczał przede mną, jak ongiś przed ikoną w huculskiej chacie.

— Pan ma aż tyle pieniędzy? Skąd? — spytałem stłumionym głosem.

— Moja kolekcja warta jest o wiele więcej!

— I gotów pan oddać ją całą za ten jeden obraz?!

— Tak, tak, uwielbiam Watteau! — czołgał się przede mną na kolanach, a mnie przypomniła się jeszcze jedna plotka: miał jakoby do krwi pobić własnego syna, gdy ten z ciekawości otworzył wytrychem drzwi do pomieszczenia, w którym przechowywana była kolekcja... A teraz chce ją oddać?

— W jaki sposób będę mógł wejść w jej posiadanie? — spytałem.

— Przekażę ją panu razem z domem. Żona mnie porzuciła, syn też poszedł w świat... Spiszemy notarialny akt kupna-sprzedaży, wszystko będzie w porządku...

— No, a pan?

Milczał patrząc na mnie błagalnie, jakby czekał na wyrok. Sabaudczyk nucił:

*Jutro znów w dalszą drogę,
Mój świstak zawsze ze mną...*

W drogę? Z obrazem Watteau? W imię czego? Z wolna wydobywałem się z grzędawiska, w które usiłował zepchnąć mnie Kolekcjoner, cofnąłem nogę z chwiejnego trapu, na którym już prawie stałem, aby odplynąć na swoją Cyterę; przepaść była tuż, tuż; góra pieniędzy przybrała z powrotem swój pierwotny kształt — skarbów zrabowanych historii i zamkniętych w więzieniu. Błysnęła mi nawet myśl, że zdołam uratować te skarby, przekazując je Kustoszowi. Jednakże cała ta scena była jak z kiepskiej komedii — cóż pocznie Kolekcjoner z obrazem Watteau? Będzie mu się przyglądał? Sprzeda? Ale gdzie znajdzie kupca? Nawet Ermitaż nie zapłaci za obraz tyle, ile on proponuje mnie. Gdzie sens, gdzie logika?

Naraz wszystko stało się dla mnie jasne; znów przypomniał mi się inteligentny wygląd inżyniera, który poprosił o azyl w Neapolu. Oczami wyobraźni zobaczyłem pustą ramę, obraz — wycięty i ukryty w walizie o podwójnym dnie, Kolekcjoner turysta wyjeżdża na zagraniczną wycieczkę, prosi o azyl gdzieś w Atenach, Paryżu czy choćby w tymże samym Neapolu, staje się milionerem... W pierwszej chwili nawet mnie ucieszyła taka perspektywa, a niech ucieka na tę swoją Cyterę, moje miasto pozbędzie się łajdaka, jego kolekcja trafi do Kustosza... Ale zaraz przyszło mi na myśl, że w ten sposób stanę się współuczestnikiem przestępstwa. Nie, powinienem zrezygnować z tego obrazu, to własność ogólnoludzka...

W tym momencie wzrok mój padł na autograf wielkiego malarza — a znam trochę francuski — i aż się wzdrygnąłem... od głośnego śmiechu sabaudzkiego katarzyniarza... a może to śmiał się sam mistrz Watteau. Zasłoniłem dłonią usta — to był mój własny śmiech!

Kolekcjoner patrzył na mnie wyblakłymi, nie rozumiejącymi oczami. Na progu stanęła stara.

— Co się tu dzieje? — wymamrotała.

— Proszę mi powiedzieć, czy oprócz pani ktoś jeszcze miał ten obraz w ręku? — spytałem.

— Tak, tak, był u mnie kiedyś konserwator, może pan go zna... — Zwiotczałe oblicze starej wydłużyło się, łypała podejrzliwie to na mnie, to na Kolekcjonera, i znowu na mnie. — Taki, wie pan... Długo nad nim siedział, miał ze sobą farby, różne buteleczki... Ale nie kupił...

— On nie zna francuskiej pisowni. Żart się nie udał. Artysta podpisywał się Watteau, a nie Wateo.

— Więc to falsyfikat?! — jęknął Kolekcjoner.

— Wszystko tu to jeden falsyfikat. Pan także...

Kolekcjoner tarł dłonią policzek. Po chwili patrząc na mnie z obawą wyszeptał:

— Pan... nikomu nie wspomni o naszej rozmowie.

— Cóż by to dało? Nie mam dowodów... Chyba że-
bym napisał scenariusz. Ale tak, żeby pana bez pudła
zidentyfikowano...

— Zabiję!... — zasyczał Kolekcjoner.

— Na to pana nie stać — rzuciłem i nie spojrzawszy
nawet na obraz, wyrwałem się z tego domu, jak z peł-
nej czadu pułapki. Już za drzwiami z radością nama-
całem w kieszeni bezcenny talizman — krągły dukat
babuni.

Tłumaczyła Zofia Głowiakowa

Odwet

Gdy zaczął się sezon polowania na kaczki, przypomniałem sobie o starym przyjacielu, zapalonym myśliwym — kiedyś niejedną noc przesiedzieliśmy na czatach nad jeziorami — i pojechałem do niego, by go zaprosić na nocną wyprawę.

Ku memu zdziwieniu przyjaciel odmówił.

— Czyżbyś już zarzucił ten sport?

— To nie sport, ale zwyczajne morderstwo — z jakąś niepojętą dla mnie goryczą odpowiedział mi przyjaciel. Ale zaraz, jak gdyby w obawie, bym go nie pomsądził o sentymentalizm, dodał: — Sport, powiadasz... Mój drogi, sportem to dziś nazywa się także zwykłe mordobicie... Ale à propos polowania coś mi się przypomniało. Chcesz, to ci opowiem — nikomu jeszcze o tym nie mówiłem. Może, jak tego wysłuchasz, także zrezygnujesz z kaczek, a od jutra będziesz strzelał tylko do tarczy z kartonu. To właśnie jest prawdziwy sport.

Zdarzyło się to owego najgorętszego w moim życiu lata, kiedy wszędzie, jak okiem sięgnąć, jakby za jakąś straszną karę — trawa była do szczętu wypalona. Znalazłem się samiuteńki pośród pustyni, jak scytyjski bożek na stepowych bezdrożach.

A właściwie to jeszcze nie tak. Trawa nie rosła tu już od tysięcy lat, ludzie nigdy tu nie mieszkali, ale z początku nie odczuwałem samotności, przeciwnie — zachwycało mnie egzotyczne piękno karakumskich stepów, po których w rozpalone nieznane wędrowały wydmy, niby karawany strudzonych wielbłądów. Su-

che cierniste krzaki z rzadka rozrzucone po piaskach były dla mnie nieomal palmami, a mój namiot — miastem.

Połączyłem się krótkofalówką z Nebit-Dag — niedługo mieli tu przybyć robotnicy turkmeńscy, ażeby zacząć przygotowania do przyjęcia ekipy nafcjarzy. Póki co — zabijałem czas polowaniem.

Mówiąc prawdę, w głębi duszy nienawidziłem tego, jak ty to nazywasz, sportu, chociaż w sezonie nie opuściłem ani jednego polowania na kaczki. I zawsze, gdy podnosiłem z błota zabitego ptaka lub w zimie — jeszcze ciepłego zająca, czyniłem to z głuchym poczuciem żalu. Zacierałem nogą plamkę krwi pozostałą na śniegu czy błocie, jak gdybym chciał ukryć ją przed własnym sumieniem; naiwnie jak dziecko myślałem wtedy o opuszczonych zajączkach, o samotnym kaczorze, który wracając do gniazda nie znajduje już w nim swej towarzyszki. Jak każdy myśliwy, nie żałowałem zabijanych — żał mi było tylko osieroconych.

Polowanie na pustyni było jak gdyby moralnie łatwiejsze. Może to nie najwłaściwsze słowo — ale stwierdzałem tu jakieś stępienie instynktu rodzinnego u różnych stworzeń. Nie spotykałem ptasich gniazd, z rzadka tylko przemknął pojedynczy suhak — nigdy nie widziałem całego stada — nie dbały o potomstwo jaszczurki, żmije pożerały swoje młode, ba, nawet wędrownie kaczki niedbale zagrzebywały jaja w piasku i leciały dalej, a ich pisklęta wygrzewała pustynia.

Ze współczuciem patrzyłem na ptasie czy zwierzęce sieroty, ale wcale mi nie było żal dorosłych stworzeń — moja broń spokojnie składała się do strzału.

Pewnego dnia spostrzegłem nową zdobycz — orła stepowego. Siedział na niewysokiej sopce, czujnie wyciągając szyję i wpatrując się z uporem w moje obozowisko. Nagle machnął skrzydłami, gwałtownie wzbił się w górę i zawisł w zenicie nad moją głową. Nie by-

ło sensu go zabijać, gdy naraz przypomniałem sobie o prośbie żony, która chciała mieć jakąś pamiątkę z pustyni.

Oto była najlepsza pamiątka — wypchany król ptaków, choćby nawet tylko skrzydło. Orzeł krążył nade mną, miałem nieodparte wrażenie, że przygląda mi się złymi oczami. Te oczy przypominały mi nienawistne spojrzenie węża-dusiciela, którego zabiłem parę dni temu za sopką. Jakże silny drapieżny instynkt dała ta dzika pustynia swym mieszkańcom, a jak słaby macierzyński! — pomyślałem, uniosłem broń i wypaliłem.

Orzeł spadał z uniesionymi w górę skrzydłami, jakby żegnał się z niebem na zawsze. Spadł nie opodal mego namiotu i zakrzyczał. Nie był to zwykły, normalny skwir orła — tak krzyczy tylko błagający o pomoc człowiek. Wzdrygnąłem się. Długo nie miałem odwagi podejść do miejsca, gdzie konał orzeł z głową uniesioną ku niebu.

To wszystko działo się rano. Przed obiadem, gdy w dusznym jak łaźnia namiocie zaczął mnie morzyć niespokojny sen, usłyszałem w górze narastający szum. Zerwałem się — może to samolot, który miał mi zrzucić wodę i żywność. Wybiegłem na zewnątrz i aż się cofnąłem: potężny orzeł, chyba dwukrotnie większy od tego, który leżał martwy na piasku, krążył nisko nad namiotem. Na mój widok gwałtownie wzbił się w górę i na nieruchomych skrzydłach począł zataczać ciasne kręgi, jakby zawieszony na powoli odkręcającym się sznurze.

Zrozumiałem, że rano zastrzeliłem orlicę. Zabiłem matkę, żonę, a oto teraz zjawił się wdowiec, by ją pomścić. Trzeba się było bronić i tym samym popełnić jeszcze jedną zbrodnię. Orzeł mógł zniszczyć mój namiot, zresztą tak czy owak nasz pojedynek był nieunikniony. Wpadłem do namiotu, chwyciłem broń i wybiegłem. W tej chwili ptak jak kamień spadł na

ziemię, pochwycił w szpony martwe ciało swej towarzyski i ciężko uniósł się w powietrze. Leciał nisko nad pustynią, a potem usiadł na sopce — tam, gdzie parę godzin temu siedziała orlica. Za późno się zjawił. Może akurat karmił orlęta, a może poleciał upolować coś dla swojej wybranki.

Teraz nad rozpostartym trupem orlicy szarzała niby garbaty cień na tle rozpalonego nieba — nieruchoma i tchnąca bólem sylwetka.

Wróciłem do namiotu, wziąłem jakąś książkę, ale nie potrafiłem czytać: poła namiotu była uchylona, wciąż go widziałem. Wyszedłem i strzeliłem w powietrze, żeby go spłoszyć, lecz on nawet się nie poruszył.

I wtedy po raz pierwszy odczułem martwość pustyni. Pewnie i we własnej duszy musiałem zabić coś jasnego i żywego, bo dopiero teraz zobaczyłem, że wokół mnie nie rośnie ani jedno zielone źdźbło, wszędzie tylko martwe ciernie, wszędzie martwe, piaszczyste wydmy sunące ku rozpalonemu horyzontowi. To ja zabiłem życie pustyni.

Orzeł tkwił na sopce także nazajutrz, i trzeciego, i czwartego dnia, niby żywy wyrzut sumienia. Podszedłem ku niemu — nie mogłem dłużej patrzeć na jego mękę, mimo iż nie wierzyłem, że zechce jeść konserwę, którą wziąłem ze sobą.

Strzelba parzyła mi dłoń. Podszedłem blisko, machnąłem ręką — orzeł nawet nie drgnął.

Był martwy.

Rzuciłem strzelbę u podnóża sopki i ruszyłem z powrotem — nie do zniesienia samotny.

Po roku, gdy już w pustyni wyrosły pierwsze szyby naftowe, wróciłem do domu. Żyjemy z żoną tak, że można pozazdrościć. A jednak od tamtej pory cień dziwnej trwogi pada niekiedy pomiędzy nas. Czasem budzi mnie w nocy jakiś straszny lęk — biegnę do łóżeczka dziecka i nasłuchuję jego oddechu, potem w

ciemności usiłuję dojrzeć twarz śpiącej żony i przyglądam się jej długo. I wtedy przychodzi mi na pamięć zgarbiona sylwetka orła nad rozpostartym trupem orlicy.

Budzę żonę, chcę się przekonać, że jest...

A z polowaniem dałem sobie spokój. Raz na zawsze.

Tłumaczyła Zofia Głowiakowa

W jesiennej mgle

Gdy Wala rankiem się obudziła, wszyscy inni już wyszli do pracy. Wyjrzała przez okno — świat był pogrążony we mgle. W białej toni niewyraźnie rysowały się nieruchome jak słupy sylwetki topoli. Z sąsiedniego domu sączyły się podłużne smugi światła. Po chwili okna, jedno po drugim, zaczęły gasnąć — ludzie spieszyli do pracy. Wala przeciągnęła się rozkosznie i bez pośpiechu zakrzętnęła się koło śniadania...

Mgła zaczęła się przerzedzać dopiero po dziewiątej. Autobus był prawie pusty, kierowca co chwila włączał i wyłączał reflektory. Od czasu do czasu Wala otwierała oczy, za szybą, przesuwają się jak widma stacje metra, potem złote i czerwone jabłonie w parku wytwórni filmowej. Ledwo znów się zdrzemnęła, gdy ktoś powiedział nad samym jej uchem:

— Wala! Ano, obudź się!

Zamrugła powiekami, raz, drugi, i uśmiechnęła się radośnie — obok niej siedziała jej szkolna koleżanka. Na rękach trzymała dziecko w niebieskim kombinezonie.

— Luda! To ty?! Masz już takiego dzieciaka? Co porabiasz? Dokąd jedziesz?

— Wiozę małego do babci.

— To nie mieszkanie razem z rodziną?

— Nie. W spółdzielczym, sami budowaliśmy.

— Już zdążyliście, tak szybko?

— To mój taki szybki. Sama się dziwię... A co u ciebie? Dokąd jedziesz?

— Do pracy.

— Masz dobrą robotę?

— Dla mnie — cudowna! Zaczynam o dziesiątej. Przecież wiesz, jak bardzo nie lubię wstawać.

Dziecko coś zaszczębiotało i wyciągnęło rączki do Wali.

— Co? Chcesz do cioci? No, idź, idź, niech cię ciocia pobawi, bo już mamę ręce bołą.

Wala ostrożnie wzięła małego na ręce, a on od razu począł gładzić ją po twarzy, a potem dobrał się do jej fryzury, przebierając paluszkami pasma złocistych włosów.

— Ładną masz torebkę. Gdzie kupiłaś?

— W „Syntetyce”. Mam tam koleżankę... Ku-ku, ku-ku — Wala odwracała głowę to w jedną, to w drugą stronę, a malec koniecznie usiłował zajrzeć jej w oczy.

— Spodobało ci się? Wychodź za męża i spraw sobie taką lalkę — będzie weselej... No, chodź do mamy, bo całą fryzurę cioci zepsujesz... Zaraz wysiadamy... Słuchaj, mogłabyś mi załatwić taką torebkę? Tylko gdzie ciebie szukać?

— To całkiem proste — w zakładzie fotograficznym w parku.

— Dobrze się urządziłaś — wszystkie sklepy w pobliżu. I na bazar dwa kroki. Gdybym to ja tak miała! Spróbuję podpuścić mego, żeby się zamienił na centrum. No, bywaj zdrowa!

Luda wysiadła, wskazała małemu na okno autobusu. Dziecko popatrzyło, matka coś do niego powiedziała, i mały pomachał rączką: „Pa! Pa!” Luda też pomachała ręką. W odpowiedzi Wala skinęła głową...

Mgła rozwiewała się, na wilgotny asfalt spadały krople z drzew.

Wala szła do swego zakładu aleją pośród dwóch zwartych ścian wysokich klonów, pnie miały kolor czarnego aksamitu, palczaste liście były intensywnie pomarańczowe lub wręcz purpurowe.

Na chodniku przed zakładem stała ubrana po wiejsku kobieta — buty z cholewami, szara kraciasta chustka z frędzlami, długi żakiet z czarnego welwetu. Usłużnie ustąpiła Wali z drogi. Dziewczyna szybko przeszła obok — tylko kątem oka spostrzegła twarz, z której trudno byłoby określić wiek tej kobiety — mogła mieć trzydziestkę — a mogła i pięćdziesiątkę.

Wyglądało, jak gdyby chciała o coś zapytać, ale widać zabrakło jej śmiałości, a może nie zdążyła.

W zakładzie wszyscy byli już na swoich miejscach.

— Coś nasza panienka się spóźnia — ni to spytała, ni to stwierdziła z uśmiechem siwa kobieta.

— Pani zegarek się śpieszy. Jestem co do minuty — Wala potrząsnęła długimi jasnymi włosami i zabrała się do porządkowania na swoim stoliku.

Drugi fotograf pstryknął palcami.

— Walusia! Kiedyś wezmę na odwagę i zrobię pani ta-a-aki portret. I dam na wystawę na najlepszym miejscu. A-a-ach! Tylko niech pani nie ufarbuje się na inny kolor i nie zmieni fryzury! — Raz jeszcze pstryknął palcami, poprawił grube okulary i znikł za czarną kotarą.

Wala usadowiła się przy stoliku i rozłożywszy książki i koperty ze zdjęciami czekała na klientów. Najpierw zjawilo się dwóch długowłosych w kombinezonach i umazanych gliną gumiakach. Sfotografowali się w całej okazałości i wyszli śmiejąc się i poszturchując.

Siwa kierowniczką skrzywiła umalowane wargi:

— No, możecie być pewni, teraz już na okrągło będą sami kudłaci studenci. Zawsze tak jest, gdy wracają z pracy w kołchozach.

I rzeczywiście, przez cały czas, pojedynczo lub całymi stadami wchodzili zarośnięci i brodaci młodzi ludzie. Niektórzy wracali po pewnym czasie ostrzyżeni i ogoleni i znów stawali przed obiektywem. Zjawiała się też jakaś młoda para wprost z Pałacu Ślubów.

— Fotografowałem się tu kiedyś jako družba. Teraz proszę o własne ślubne zdjęcie — wygłosił z powagą gruby i całkiem łysy pan młody obejmując czarną jak kruk i chudą pannę młodą.

Ta dziwaczna para fotografowała się tuż przed samą przerwą obiadową i Wala zaraz potem wyszła do parku. Z uśmiechem patrzyła, jak łysy grubas wziął pannę młodą na ręce, jak dziecko, i poniósł do auta.

„Dla mnie trzeba by chyba atlety — pomyślała Wala. — Takam wielka urosła!”

Słońce całkiem już przepędziło mgłę. Na tle niebieskiego jak emalia nieba liście klonów pały złotem i czerwienią.

Wala spieszyła do kawiarni, szybko wyminęła grupkę ludzi karmiących ptaki i wiewiórki. Znów zobaczyła kobietę w czarnym welwetowym żakiecie. „Dlaczego ona tu stoi cały czas?” — przemknęło przez głowę dziewczynie, ale już w głębi alei zobaczyła swoją przyjaciółkę z „Syntetyki”. Wypiły po dwie kawy, zjadły serdelki i nagadały się do syta.

Przez to gadanie Wala o mało nie spóźniła się do zakładu. A po przerwie nie brakowało pracy. Robiło się zdjęcia do legitymacji, do dowodów osobistych, przychodzili klienci po odbiór zdjęć ślubnych, po portrety, to znów po zdjęcia rodzinne.

Wciąż wchodzili nowi interesanci. Zrobiło się duszno. Wali wydało się, że w kącie przy drzwiach stoi kobieta w czarnym welwetowym żakiecie. Ale i tym razem nie zdążyła jej się przyjrzeć — trafiła się niezbyt sympatyczna klientka. Zezowata, ufarbowana na

siwo. Zażądała przerobienia portretu, bo wyszła jakaś zezowata.

— Chcę posłać to zdjęcie przyjaciółce! I co ja jej pošlę? Żeby jej mąż pękł ze śmiechu? Cóż to, czy ja naprawdę mam zeza? Proszę zawołać kierownika!

Przyszedł zastępca i zaczął uważnie studiować zdjęcie.

— Dobrze, przerobię, negatyw jest w porządku i każdy retusz wytrzyma. Tylko musi mi pani powiedzieć, na które oko mam się orientować? Bo jeśli na lewe, to wyjdzie, że pani odwraca się od przyjaciółki, a jeśli na prawe, to będzie wyglądało, że pani patrzy w niebo, jakby się pani modliła...

Srebrnowłosa klientka wyrwała mu z rąk zdjęcie i rzuciła się ku wyjściu...

Zapadał zmierzch. A ludzi wciąż przybywało i przybywało. Wala włączyła światło: szklane ściany odsunęły mrok, a same napełniły się ruchliwymi odbiciami postaci. Kątem oka dziewczyna zauważyła wśród nich, na tym samym miejscu przy drzwiach, kobietę w welwetowym żakiecie. „A może to jedna z naszych klientek? Nie, takie się u nas nie fotografują...”

Potem Wala stemplowała rachunki i przekazywała utarg inkasentowi — i zapomniała o kobiecie.

Przypomniała sobie o niej dopiero wtedy, gdy drugi fotograf, pożegnawszy się z kierowniczką, stanął przed lustrem wiszącym na wyłożonej błękitnymi kafelkami ścianie i usiłował wtłoczyć kapelusz na swą wielką jak bania głowę.

Kobieta postąpiła dwa kroki naprzód, ale przystanąła, nie chcąc przeszkadzać szefowi, który właśnie żegnał się z Walą. Wreszcie zbliżyła się do stolika.

— Słucham panią.

— Mam taką prośbę... — powiedziała kobieta sięgając ręką do wewnętrznej kieszeni żakietu. Długo tam grzebała i wreszcie wyjęła z zanadru coś jakby nie-

dużą książeczkę, zawiniętą w chustkę do nosa. Rozwinięła chustkę, rozłożyła zgięty na pół kawałek kartonu i wyjęła starą fotografię, już trochę pożółkłą, z obszarpanymi brzegami i ukośnym załamaniem przez całą długość.

Bez słowa położyła ją przed dziewczyną.

Wala przyjrzała się.

Fotografia była stara, ale wyraźna, kontrastowa, z dobrze uchwyconymi szczegółami.

Pośrodku, akurat na załamaniu, stał wysoki, barczysty, młody chłopiec. Gęste ciemne brwi, wyraźny wykrój ust, dołek w brodzie, żylasta szyja, mocne, muskularne ramiona. To wszystko robiło wrażenie surowości, pewnej pochmurności i nie było jakiej siły fizycznej. Ale oczy były wesołe, łagodne, całkiem jak u dziecka.

Stał pod rozłożystym krzakiem bzu. W dużej, nawykłej do pracy dłoni trzymał rozkwitającą ciężką kiść.

— Zrobić powiększenie?

— Aha. Żeby można było oprawić i powiesić na ścianie.

— Najlepiej byłoby pójść na ulicę Swierdłowa. Tam, obok redakcji „Wieczoru Kijowa” jest zakład, gdzie to lepiej zrobią.

— Nie, ja chcę u was...

— Dobrze, tylko spytam kierowniczkę — i głośno zawołała: — Hanno Semeniwno! Proszę tu przyjść, trzeba to przezfotografować i powiększyć!

— Zobacz — odezwał się głos z laboratorium — jak tam u nas z reprodukcjami.

— Mało!

— To przyjmij — doleciała przygłuszona kotarą odpowiedź.

Wala jeszcze raz spojrzała na starą fotografię, podniosła oczy na kobietę.

— To będzie sporo kosztować...

— A czy ja pytam o cenę?

— Hm... A może ma pani jeszcze jakieś inne zdjęcie?... No, kiedy on był młodszy...

— Nie, mam tylko to jedno.

— Zaraz wypiszę kwit, a fotografię proszę zostawić...

Wala wypisała kwit, jeszcze raz sprawdziła cenę, po czym chowając zdjęcie spytała:

— To syn?

— Nie, mąż. Mieliśmy oboje po osiemnaście lat, gdyśmy się pobrali. A w tydzień później — wojna. Pierwszego dnia go wzięli. I od razu przepadł bez wieści... To kiedy mam się zgłosić po odbiór?

— Wszystko ma pani wypisane na kwicie.

Mrużąc oczy kobieta popatrzyła na papierek, pokiwała głową.

— A wcześniej nie można?

— Nie da rady...

— Szkoda... Taka była owego roku piękna jesień. Sucha, ciepła. A teraz wciąż te mgły... Żeby tylko zdążyć na autobus... Dziękuję pani! Do widzenia.

— Do widzenia! — rzuciła Wala i zaczęła czesać bujne jasne włosy.

Nie było co się śpieszyć. Koleżanka miała przyjść dopiero po siódmej. A potem spotkają się z jej chłopcem i jego kolegą. Obiecała, że zapozna z nim Walę. „Taki wysoki przystojny brunet” — mówiła.

Tłumaczyła Zofia Głowiakowa

Leciała gaska, leciała...

Podczas obławy na bazarze złapali trzy jej koleżanki i wywieźli do Rzeszy na przymusowe roboty. A ją, Hanusię, zwolniono, chociaż miała już piętnaście lat. Takie z niej było chuchro.

Kto wie, może właśnie dlatego, że była taka drobniutka, myślała tylko o zamążpójściu. Szczególnie nocą, kiedy wraz z matką pozamykały drzwi i pozatykały wszystkie szpary, aby izdebka nie wyziębła, marzyła o nim. Będzie wysoki, ciemnowłosy, z niebieskimi oczami. I nawet jak wojna się skończy, będzie chodził w mundurze. A ona urodzi mu dwóch chłopczyków i dwie dziewczynki...

Hanusia nie mogła się dość napatrzeć na małe dzieci i zawsze chętnie pomagała matkom.

— Dobra z ciebie dziewczynka — dziękowały. — Nieduża, a jaka zręczna, prawdziwa niańka. Zupełnie jak dorosła!

A ona sznurowała usta, rozpiniała żakiet i obciągała na sobie stary ojcowski sweter, żeby nie wyglądać na taką chudzinę.

— Bo i jestem dorosła! Mogę nawet iść za mąż, jak zechcę.

Odpowiedzią na to były, rzecz prosta, pobłażliwe uśmiechy.

W robocie rzeczywiście nie pozostawała w tyle za starszymi. Pracowała w zieleni miejskiej — na równi z dorosłymi pchała ciężkie taczki z ziemią, kopała doły pod młode drzewka, piłowała i rąbała martwe drzewa, które pozostały wśród ruin po całym mieście.

Matka Hanusi prała bieliznę w szpitalu. Z początku obie tam pracowały. Ale Hanusia miała takie miękkie serce, że nie mogła patrzeć ani na chorych, ani na ich bieliznę. „Nie szkodzi — mówiły kobiety — przywykniesz”. Jednak matka postanowiła: niech idzie do pracy gdzie indziej. Może dlatego jest taka mała, że od czterdziestego pierwszego, kiedy ojciec zaginął gdzieś nad Prypecią, co dzień po nim płacze.

Nie miała Hanusia szczęścia dostać się do piekarni. Sąsiadka pomogła jej zaczepić się w zieleni miejskiej.

Całe miasto to sterty gruzu, a one mieszkają w nie tkniętym wojną domu, niedaleko wieży ciśnień. Co prawda dostała się im najmniejsza i najgorsza izdebka. Przed drzwiami nasadziły różnych pachnących ziół — lubczyku, mięty, ruty, majeranku.

Tego upalnego wieczora zrywała lubczyk, by umyć w nim głowę, gdy nagle usłyszała:

— Hanuś!

Podniosła się — i świat zawirował jej w oczach — przed nią stał jej wymarzony. Czarnowłosa, niebieskooki, wysoki. Na plecach jeden worek, w prawej ręce drugi, wypchany jakby jakimiś cegiełkami.

— To mydło — podał jej. — Twoja mama by nie przyjęła. I mnie jakoś głupio, bo wygląda, jakbym chciał zapłacić za aloes.

— To pan jest sierżant Iwan? Już pan całkiem wyzdrowiał!

— Całkiem nie całkiem, ale mogę już wracać do pracy.

— Do jakiej pracy? Pan przecież służy w wojsku.

— Jestem fachowcem od mostów. Dla mnie wojna to też praca.

— To znaczy, że nigdy nie był pan w boju?

— A jak myślisz, gdzie mnie tak poranili i osmalili? Miotacze ognia! Przed esesowcami naszego własnego mostu broniliśmy. Bierz, Hanuś, to mydło — długo

mam tak stać? Za trzy godziny odchodzi mój pociąg.

Wzięła od niego woreczek z mydłem i zaprosiła do domu. -

— Wejdźmy, zrobię kolację. Może w tym czasie mama nadejdzie.

— Nie, twoja mama pracuje dziś jeszcze dodatkowo za chorą koleżankę.

Hanusia całkiem już przyszła do siebie, minęło chwilowe zamroczenie. Zakrzętnęła się po izdebce — wyjęła ze schowka buteleczkę bezcennego spirytusu, nałożyła do miski gotowanych ziemniaków, nakroiła ogórków. Iwan powolnymi ruchami otworzył puszkę i wygarnął do glinianej miski pachnącą mięsną konserwę. Potem nalał sobie pół kieliszka spirytusu i rozcieńczył wodą.

— Czystego nie piję. Wojna wojną, a upijać się nie ma powodu... No, Hanuś, za zdrowie twojej mamy! Gdyby nie jej aloes, pewnie bym już...

Wybierał plasterki ogórka, odgarniał tłuszcz z konserwy i nabijał na widelec kawałeczki galarety.

Hanusia nie czuła smaku jedzenia — oczu nie mogła oderwać od Iwana. Tak, to on, jej wymarzony! Wprawdzie tamten, który się jej śnił, miał naramienniki lejtenanta, a ten — tylko sierżanta. I jeszcze temu, gdy wypił kieliszek, na twarzy, szyi i na rękach wystąpiły czerwone plamy: cała skóra była pokryta świeżymi bliznami.

— Ale bym, Hanuś, wrębał teraz kawałek pieczonej gęsi. Takiej ze śliwkami i jabłkami. I ze smażonymi ziemniaczkami.

— A któż to jada gęs z jabłkami? Przecież jabłka słodkie — unosi brwi Hanusia.

— Jada się, jeszcze jak się jada! Jabłka muszą być nie słodkie, ale kwaśne. Moja matka była kiedyś kucharką u Belgów, nauczyła się... No, Hanuś, jeszcze

pół kieliszeczka i odrobinę zimnej wody. Strzemienne-
go, jak mówią u nas, na Kubaniu. Czas na mnie!

— Więc na dodatek pan jest Kozakiem?

— Ojciec Kozak, matka pochodzi z Mariampola. No,
za nasze spotkanie po wojnie.

Zarzucił na kark zrolowaną pelerynę, worek prze-
wiesił przez ramię.

— Odprowadzę pana.

— Mowy nie ma! Nie możesz potem sama wracać
po nocy, i to przez takie pustkowie. Jak wojna się
skończy, to sobie pospacerujemy.

— Pójdę z panem. A potem wstąpię do mamy. Wy-
starczy przejść przez tory i jeszcze dwie ulice. Tam
akurat komendantura — bezpiecznie. I mamie pomo-
gę. Ona już stara, a ma całą noc pracować.

— Mama mówiła, że nie możesz prac szpitalnej bie-
lizny.

— Teraz już będę mogła.

— Skąd taka zmiana?

— Bo pan do nas... do mnie w gościnę przyszedł.
Pójdę z panem.

Iwan nie wytrzymał jej spojrzenia i odwrócił oczy.

— Jeśli dasz słowo, że prosto do mamy, to zgoda.

— Słowo!

Szli przez zarosłe wysokim zielskiem pustkowie. Tu
było ciepło. Potem zeszli w dół, gdzie zieleniły się kło-
ny i gdzie było wilgotno i chłodno. W zaciszu pod wy-
sokimi topolami tajemniczo szeleściło gdzieś w górze
listowie. Zza horyzontu wyłonił się księżyc, coraz
jaśniejszy, i oświetlił ścieżkę wijącą się pośród kuku-
rydzy i słoneczników.

Na stacji długo kręcili się między wagonami, nim
znaleźli właściwy. Gdy stanęli przed nim, Hanusia po-
wiedziała:

— Wiem, że pan wróci z wojny. Do nas...

— Na pewno wrócę... A ty mi wtedy upieczesz gęś z jabłkami.

Pochylił się, chciał jej coś jeszcze powiedzieć, a ona przymknęła oczy, objęła go za szyję i pocałowała w usta. I zaraz zasłoniła twarz rękami.

— Co ci jest, Hanuś?

— A bo mi wstyd, że tak... że pierwsza pcham się do całowania...

— To nic, to nic... Ale teraz idź już, Hanuś, nim pociąg ruszy. Bardzo cię proszę, idź!

Podniósł ją w górę, ucałował i szybko opuścił na ziemię. A ona od razu pobiegła przed siebie.

Matka akurat płukała bieliznę, gdy Hanusia wpadła do pralni.

— Córku? Sama szłaś przez pole po nocy?

— Nie sama, z Iwanem.

— Czekał, czekał... Z jakim Iwanem?

— Z jakim, z jakim? Z tym, któremuście nosili aloes...

Matka zmieszana się i jakby w obawie, że Hanusia może jeszcze coś dodać, kazała jej zalać wodą bieliznę.

Kiedy w domu Hanusia pokazała woreczek z mydłem, matka pokręciła głową:

— Jakoś nieładnie wyszło. Jakby zapłata za aloes.

— Żeby nie było zapłaty, wymienimy to na gęś... On bardzo lubi pieczoną gęś. Z jabłkami.

— Na pięć gęsi tego starczy.

W niedzielę za kilka kawałków ciemnego mydła do prania dostały wielkiego, szarego gąsiora. Był największy na bazarze, właścicielka przysięgała, że jest jeszcze młody. Wszystkie sąsiadki zebrały się, żeby na niego popatrzeć: ważyły go w rękach, mówiły, że coś bardzo lekki, i że Hanusie i jej matkę oszukano. Ale to przez zazdrość — żadna nawet kurcząt nie miała, a tu taki gąsior! Żeby nie uciekł, matka podcięła mu nożycami skrzydła. Gąsior widać obraził się za tę znie-

wagę i nie przyjmował pokarmu. Ale wkrótce bieda go nauczyła — już po kilku dniach zaglądał Hanusi w ręce, potem i skubał za spódnice, kiedy był głodny. A gdy dziewczyna robiła coś szydełkiem przy lampie z łuski niemieckiego pocisku, mościł się na jej nogach.

Wiosną gęgał jak oszalały, machał skrzydłami, ale nie próbował latać i nie uciekał z podwórza. Dlatego tym razem nie podcięto mu skrzydeł.

Hanusia brała go ze sobą do pracy. W domu nie sposób go było zostawić — podnosił taki gwałt, że słychać było aż pod wieżą ciśnień. Kiedy szła z kobietami do miasta, gąsior biegł za nią jak pies. Nikomu nie dał się schwytać, gdy ktoś obcy usiłował zbliżyć się do niego, darł się wniebogłosy.

Pewnego dnia radio ogłosiło, że wojna się skończyła.

— Teraz tylko patrzeć, jak Iwan wróci — powiedziała Hanusia.

Matka odwróciła się, by ukryć łzy. „Jakżeż ona, głupie dziecko, może wierzyć, że Iwan wróci? Przecież nawet listu do niej nie napisał!”

Hanusia, radosna i wesola, czekała. Czekala cały maj, całe lato i jesień. Im mniej, zdawało się, było nadziei, że Iwan sobie o niej przypomni, tym była weselsza. Matka już zaczynała obawiać się o nią. Nie wiedziała, do kogo ma pójść — do lekarki czy do wróżki. Ale, chwała Bogu, nie trzeba było biegać ani do jednej, ani do drugiej. Objawił się Iwan. Hanusia przyjęła to zwyczajnie, jako coś, co się jej dawno należało, ale matce aż słabo się zrobiło. Były właśnie nad rzeką, tam gdzie gorąca woda wypływa z elektrowni i gdzie można wyprać bieliznę. Tam też podjechał kulawy Myron Szwaczka swoim okazałym Siwkim. Często tu przyjeżdżał z wielką dzieżą po gorącą wodę. Wstrzymał konia i niegłówno, ale bardzo wyraźnie spytał:

— Czy jest tu Hanusia Iwanenkowa?

— O, tam ich gąsior pływa — rzuciła któraś z kobiet.

— To powiedzcie jej, żeby jeszcze w tym tygodniu swojego Iwana wyglądała! — zaciągnął się papierosem i zaczął swą jedyną ręką nabierać i wlewać do dzieży gorącą wodę.

Gdy powtórzono jej wiadomość, Hanusia przybiegła do Myrona i zasypała go pytaniami: a skąd wie, kto i kiedy mu to powiedział. Matka stała jak ogluszona.

Już zima. Gdyby tak zarznąć gąsiora i powiesić u sąsiada kolejarza w komorze, to i tydzień może wisieć, nie zepsuje się. Matka naostrzyła nóż, wzięła miskę i przywabiła gąsiora. Ale nie miała serca go zarznąć.

— Nie mogę, córeczko.

— Ja też nie.

— Może by poprosić sąsiada?

— Mamo, chodźmy jutro na bazar i sprzedajmy go. Kupimy sobie nowego. Wtedy nie będzie nam żal.

— Myślisz?

Znalazło się prostsze wyjście. Zamieniły się z pewnym czarnobrodym dziadkiem: dały mu swego gąsiora, a wzięły gęś.

Wracają do domu, śnieżek prószy, skrzypi pod nogami. Gęś wysunęła długą szyję, rozgląda się na wszystkie strony, pogęguje. Wspinają się pod górę do swego domu i widzą, że od przeciwnej strony zmierza również ku niemu jakiś wysoki mężczyzna, prowadząc rower za kierownicę.

— Mamo! — woła Hanusia. — Przecież to nasz Iwan! — I zaczyna biec na przelaj, grzęznąc aż po cholewki w kopnym śniegu.

Iwan ostrożnie położył rower i objął Hanusię.

— No, i wróciłem do domu. Wojna się skończyła.

— Mamo, nie czekajcie na nas. Trzeba szybko zarznąć gęś.

— Szkoda, lepiej zostawić, na wiosnę małe wywie-
dzie. Można wykupić gąsiora.

— Chciałbym postawić rower u was. Będzie tu
z pięć pudów...

— Czego?

— Gwoździ. Na nasz dom.

Iwan i Hanusia złapali po kawałku kartoflanego
chleba, kęs poźółkłej słoniny i na przełaj przez pola
pobiegli na bazar. I dopiero gdy pod białym sklepie-
niem topoli Iwan objął ją i pocałował, spostrzegła, że
u obu rąk zostało mu wszystkiego pięć palców.

— To nic, Hanuś. Ja wszystko mogę robić. Już po-
stawiłem dom koledze. Takem sobie pomyślał: jak po-
trafię jemu postawić, potrafię i sobie.

— A ja sobie wtedy pomyślałam: jak pójdziemy na
stację, to będziesz mój i wtedy cię pocałuję.

Na bazarze nikt nie widział czarnobrodego dziadka.
Gąsior był stracony na zawsze. Gdy wrócili do do-
mu, matka już wyszła. Sąsiedzi przekazali, że przysła-
no po nią ze szpitala. A pod wieczór coś z impetem
uderzyło w okno, aż szyba poleciała. Osłupieli. To był
ich gąsior!

Chodzili jeszcze potem nieraz na bazar, szukali tam-
tego dziadka, rozpytywali ludzi — na próżno. Nikt go
już nigdy więcej nie widział.

Tłumaczyła Zofia Głowiakowa

Nie ten sam człowiek

Kazysowi Sai, litewskiemu pisarzowi,
który ceni i szanuje sztukę ludową

— Mówię panu, jak jest, senior. Wszystko, co stworzył, znajduje się tutaj, w tym muzeum. Nic więcej nie ma. Nie ma i nie będzie, bo i skąd by się miało wziąć. Może pan pojechać, zobaczyć, to niedaleko stąd, w Salwadorze. Adres mam, oczywiście. Ale po prostu nie warto, zepsuje pan sobie wrażenie. Jeśli chce pan pisać, to niech pan pisze o tym, co pan tu widzi. Sztuka bywa różna... Ja, zwyczajny nauczyciel, może tego czy owego nie rozumiem, tu, w tym muzeum, pracuję niedługo, właściwie odkąd je otworzyli, a to przecież niedawno. Przedtem jeszcze w szkole trochę, ale tu lżej. I jeszcze panu powiem: lubię patrzeć na to... Jest w tym jakiś czar, coś, co sprawia, że życie staje się znośniejsze. A więc, co to chciałem powiedzieć... Czasem sztuka jest jak olśnienie, jak błysk czy huk gromu, coś, co zdarza się tylko raz. Jak choroba, z której człowiek wychodzi albo i nie. Chociaż nie, chyba nie jak choroba! Ale niech pan najpierw obejrzy! Najpierw niech pan obejrzy!...

Przyłóżą tu i tylko mi przeszkadzają. Ich wścibstwo, nieustanna obecność za plecami nie pozwalają mi pracować... Na szczęście, nie są w stanie zobaczyć istoty mojej pracy. Wszystko, co widzą, to tych kilka drewnianych klocków wyobrażających Oguna i Chrysta,

Oszallę i Jemanżę i innych. Ale zrozumieć... Co oni mogą zrozumieć? Mnie cały las prosi, każde drzewo zwraca się do mnie z błaganiem, słyszy pan, z błaganiem, żeby je wziąć. A ja — najwyższy kapłan i rządcą lasu, ja — władca nad żywymi i martwymi biorę łaskawie to drewno i nadaję mu rysy tamtego. Wszyscy bogowie przybyli do mego lasu i bez słowa proszą o to samo, wszyscy pokornie chylą czoło przed jego zapoznanym życiem. A ja go nie upilnowałem... Skąd miałem wiedzieć? Myślałem: wszystko będzie dobrze, bogowie okażą nam swoją łaskę, jakoś będziemy żyli. Nie wchodziłem nikomu w drogę. A jego kochałem... Polubiłem także jego żonę, chciałem żyć spokojnie, w zgodzie ze wszystkimi, spokojnie i cicho... Widocznie bogowie nie okazali mu swej łaski. Dlaczego? Może przeze mnie — przez nas — przez nią? Któż może wiedzieć? Ale dlaczego? Czego chcieli? Komu przeszkadzaliśmy, komu to było potrzebne? No i zostałem sam. Teraz przychodzą i chcą, żeby im przebaczyć — bogowie zakłęci w drzewa. Są wszyscy: Ogun przyszedł razem z Chrystem, stoją jeden obok drugiego, od którego zacząć — myślę, i nagle widzę — a oni łączą się w jedno, jakby drzewo o dwóch pniach, to przecież my, oni to my — pomyślałem, muszę ich zrobić na nasze podobieństwo, dlatego Chryst jest podobny do Oguna, a Ogun do Chrysta, i obaj to Mulaci, jak my, obaj przekłeci, obaj ukrzyżowani. Od tamtego ranka, kiedy to rozumiałem, ja też jestem ukrzyżowany, mnie już nie ma, tak jak i jego nie ma, ale muszę jeszcze dokończyć robotę! Bo ta praca jest dla niego. Winienem mu ten pomnik... Wszyscy bogowie mnie proszą, wreszcie to rozumiałem, proszą, żeby im przebaczyć, ofiarowują siebie za niego, żeby on stał się wielki i sławny i żeby moje życie nie poszło na marne. Zrobię ich wszystkich, całe dwie setki bogów znanych i nieznanych, sami tu przyjdą, każdy przemówi do

mnie z pnia swojego drzewa, wtedy go zobaczę i jak będę miał ochotę, to go wezmę... Las wielki... Tylko ci ludzie... Nie pamiętam, kiedy zaczęli przychodzić. Chciałem ich przepędzić, ale dają mi jeść. Ta stara przynosiła mi jedzenie, kiedy jeszcze tu nic nie było. Nie wyganiałem jej, bo muszę czymś żyć, przynajmniej dopóki nie skończę mojej pracy. Ale potem ona zobaczyła Chrysta-Oguna i zaczęła się do niego modlić, potem zjawili się inni i też się modlą. I dają mi jeść. Nie zwracam na nich uwagi. Muszę żyć i robić swoje. Muszę...

Dokładnie nie pamiętam, kiedy zjawili się tutaj, w San Raphael. To długa historia. Wiem tylko, że mieli tu babkę. Nie można powiedzieć, żeby była bogata, ale miała splotek ziemi i chałupkę na przedmieściu, sprzedawała w mieście jarzyny i z tego żyła. Nikt nie wiedział, ile ma lat, ale też nikt się tym nie interesował, stara stroniła od ludzi. Któregoś dnia w chacie zjawiała się druga kobieta z dwójką dzieci. To była córka starej. Jeden chłopiec miał ze czternaście lat, drugi dopiero zaczynał chodzić. Mówią, że córka była prawie biała, widocznie po ojcu, i piękna jak obrazek, obaj chłopcy, Mulaci, byli podobni do matki, szczególnie młodszy. Starszy był ciemniejszy i — co rzadko zdarza się u Murzynów — miał błękitne oczy. Może właśnie te oczy tak oczarowały wszystkich, a może naprawdę chłopak miał w sobie coś, trudno powiedzieć... Ludzie różnie o nich gadali, jedni mówili, że chłopcy są z różnych ojców, inni, że jeden to w ogóle nie jej, ale tylko pasierb (jej mąż jakoby właśnie umarł i dlatego ona wróciła do matki). Nieważne. Chłopaki rosły; ludzie w miasteczku przyzwyczaili się do nich i przestali się nimi zajmować. Do szkoły chodził tylko młodszy; starszy nauczył się od niego pisać

i czytać. Zawsze bardzo opiekował się młodszym braciszkiem. Kiedy zabrakło babki — niedługo potem matka dostała tyfusu i także umarła — starszy, wtedy już prawie dwudziestoletni, wynajął się jako tragarz w młynie seniora Alveza i zarabiał na nich obu, tak że brat mógł jeszcze przez jakiś czas kontynuować naukę. Żyli w wielkiej przyjaźni, nikt nie słyszał, żeby się kiedy o co kłócili. Mały wyrósł na niezwykle ładnego chłopca o jasnej skórze; dziewczyny zaczęły wodzić za nim oczami; starszy też był niczego sobie, ale na niego już machnęły ręką — nigdy nie spojrzął na żadną, zagadnięty — odpowiadał półsłówkami, istny odludek. Wszystkie wolne od pracy chwile poświęcał bratu. Mały był weselszy; nie unikał ludzi, zwłaszcza dziewcząt. W szkole szło mu bardzo dobrze, mówił nawet niezłe po angielsku, pracować zaczął, jak brat, u seniora Alveza, ale od razu w kantorze. Senior Alvez musiał chyba coś czuć do niego, bo sam zaproponował mu pracę i mały od razu zaczął zarabiać prawie dwa razy tyle, co brat. Ale żyli dalej tak samo; wieczorem mały czasem szedł do jakiejś dziewczyny, ale i to nie za często. Tak minęło sporo czasu. Młodszy zbliżał się już do trzydziestki i nagle... zakochał się. Wie pan, jak to jest: zadurzyć się a pokochać to dwie zupełnie inne sprawy; bywa, że człowiek całe życie przeżyje, ożeni się (i to nie raz), dzieci napłodzi, a prawdziwej miłości nie zazna. Bo ona rzadko się trafia i nie każdemu. Ale jak już przyjdzie, to człowiek od zmysłów odchodzi, o bożym świecie nie pamięta. I właśnie coś takiego stało się z młodszym bratem, a przecież był to już dojrzały, jakby nie było, chłop. Jego wybranką została młodziutka pokojówka seniora Alveza. Piękna była, że trudno opisać, choć i naszemu Mulatowi natura nie poskąpiła urody. No i wtedy wyszła taka sprawa, wie pan... Ludzie gadali, że dziewczyna to nieślubna córka seniora Alveza i że

Alvez przywiózł ją aż z Rio, gdzie do piętnastego roku życia wychowywała się w internacie. Alvez utrzymywał, że to córka jego dawnego pracownika, wdowca, który przed śmiercią prosił, żeby zająć się dziewczynką. Trudno dojść, jak tam było naprawdę, zresztą akurat to nie jest najważniejsze. Senior Alvez to nie był zły człowiek, właściwie nie jest, bo on jeszcze żyje, choć bardzo się już posunął... No, więc zły nie był, ale, jak by to powiedzieć, po prostu patologicznie normalny. To może śmiesznie brzmi, ale na pewno widział pan nieraz takich ludzi. Niby wszystko robią, jak trzeba: żyją dobrze (dla siebie), na ogół nie są źli (dopóki nie tyka się ich interesów), rano się gimnastykują, lubią kierować innymi, każdą rzecz poprawiać, wszystko u nich logiczne, pod sznurek... a w gruncie rzeczy puste, bezduszne. Człowiek na oko normalny, ale duszy w nim nie ma. Taki właśnie był senior Alvez. Rozumie pan? Jakby przyszło co do czego, na pewno ulitowałby się, pomógł w nieszczęściu. Ale sposób, w jaki by to zrobił, rozumie pan... W ogóle w tej historii jest sporo rzeczy, których nie da się opowiedzieć; albo się je wyczuwa, albo nie. Krótko mówiąc, senior Alvez robił, co mógł, żeby do tego małżeństwa nie dopuścić, ale młodzi i tak się pobrali. Za karę dostali najgorszą robotę: on jako tragarz — tak samo jak brat — ona w oborze. Ale byli szczęśliwi. Może myśleli, że senior Alvez z czasem się udobrucha, a może po prostu było im ze sobą dobrze. Tak przeleciał chyba rok, chociaż nie, najwyżej pół roku, bo dziewczyna była już w ciąży (dlatego Alvez musiał zgodzić się na to małżeństwo) i niedługo miała rodzić. Po ślubie brata starszy przeniósł się na stryszek. Od dłuższego czasu chorował, nie pracował już u Alveza, tylko, jak kiedyś babka, zajmował się ogrodem, a bratowa chodziła do miasta z jarzynami. W końcu przyszedł jej czas; poród był ciężki i trzeba było odwieźć ją do szpitala (mówiono, że Alve-

za ruszyło sumienie i załatwił jej miejsce w szpitalu). Zaraz po porodzie umarła; dziecka też nie udało się uratować. Alvez, jak się o tym dowiedział, wpadł w szal: wyrzucił Mulata z pracy i zakazał mu pokazywać się sobie na oczy. No, a u nas, wie pan, wszystko, gdzie człowiek może o coś ręce zaczepić, jest własnością Alveza. Praktycznie całe San Raphael należy do niego i nikt nie przyjmie do pracy człowieka, o którym wiadomo, że senior Alvez go nienawidzi. Dowiedziawszy się o tym, starszy nawet nosa nie wysunął ze strychu. Rano patrzy: brat na postronku dynda. Odtąd zupełnie mu rozum odjęło. Pogrzebem musieli zająć się sąsiedzi, palcem nie ruszył, kiedy kopano mogiłę, sam ułożył tylko brata w trumnie i zabił wieko. A potem stał i patrzył, jak go zasypują ziemią. Niepoświęcaną, bo przecież to samobójca. Pochowali go na skraju lasu. Następnego dnia starszy zniknął. Zostawił chatę, wszystko, co miał, i zniknął. Po tygodniu, albo i więcej, dowiedzieliśmy się, że poszedł do lasu; zbudował sobie szałas, w którym w nocy śpi, a w dzień wycina coś z drewna. Wie pan, nie miał nawet siekiery czy noża, po prostu znalazł jakiś kawałek żelaza, naostrzył i zaczął dłubać w drewnie. Ludzie litowali się nad nim, przynosili mu jedzenie, co Bóg da. Nie odzywał się do nikogo, ale też precz nie gonił i jedzenie brał. A potem zaczęli tam chodzić jak do świątyni, bo to, co on robił, to było coś więcej niż bogowie, których oni znali, to było im bliskie, widzieli w tym nie tylko swoje znajome bóstwa, które kochali i którym oddawali cześć, ale także te, których nie znali, ale jakie żyły w ich duszach, tkwiły w podświadomości. To już nie byli bogowie, ale zakłęte w drewno odwieczne cierpienia, męka i ból, nadzieje i oczekiwania, marzenia, niezaspokojone pragnienie szczęścia, niewysłowiona namiętność.

... O moi bogowie, moje ręce, moje głowy, myśli moje i moje tęsknoty! Wielkich was robię, bo wielkie było moje szczęście, nasze szczęście, nasze spokojne szczęście, co trwało tyle lat, wzniosłe i ciche, ale takiego szczęścia nie znają ludzie i nie mogą go znać, bo takie szczęście trafia się człowiekowi tylko raz w życiu. Wszystko przemija; wiem, że tak być musi; najpierw umarł ojciec, potem babunia, potem mama, ale pozostał on; wszystko przemija, myślałem, ale ja odejdę wcześniej i odejdę szczęśliwy, bo zawsze będzie przy mnie ktoś naprawdę mój, przy kim mogę być spokojny o swoje życie. Dlatego wolałem unikać ludzi. Śmiali się ze mnie, chodzili za mną, a kiedy ich przepędzałem, obrzucali zjadliwymi szyderstwami, próbowali się mścić. Ale wiedziałem, zawsze wiedziałem, co potrafią narobić, jeśli człowiek da się złapać na ich słówka, ile nienawiści kryje się pod maską uprzejmych uśmiechów i żartów. Nie rozumieli, że przejrzałem ich na wskroś i że dreszcz mnie przenika na widok tego, co lęgnie się w ich duszach, co pełza na dnie myśli... Nie wszyscy byli tacy, na pewno, ale nawet ci dobrzy byli w środku puści, a z pustki wyrasta zło. Nieliczni, którzy mogli być braćmi, byli zbyt zaprzątnięci sobą; w strachu o nietykalność swojego „ja” kryli się za tyśiącem murów, człowiekowi brakowało sił (zresztą czy w ogóle było warto?) drapać się na te mury. Tylko jego dusza była jak czyste źródło, tylko przy nim człowiek czuł się bezpieczny, wiedział, że nie dostanie niespodziewanego ciosu w plecy; starałem się dać mu wszystko, co miałem najlepszego, i to się przyjęło i wydało owoce. Wiem, był silniejszy niż ja, mądrzejszy i ładniejszy; serce we mnie rosło, kiedy ludzie go podziwiali, chciałem, żeby był szczęśliwy, jego szczęście byłoby także moim. Ileż lat nie było pomiędzy nami ani jednej chmurki; oddychaliśmy jedną pierśią, dzielili wszystko, co można było podzielić. Cze-

sto myślałem: starość nie radość, życie nie wesele, może inni mają lepiej, ale do tego szczęścia, co ja mam, co my mamy, ludziom daleko... Może dla kogoś to niewiele, ale dla nas wystarczy... Namiętność, która tylu ludzi zaślepia, długo nie miała do nas dostępu. Ale kiedy zobaczyłem Isabel, powiedziałem mu: masz rację! Boże, czy mogłem przewidzieć, że to był początek końca nas wszystkich? Czy mogłem to przeczuć? Wiedziałem tylko, że ona jest czysta i dobra, że jest taka jak my i że właśnie ona jest mu przeznaczona. Powiedziałem: masz rację, kochaj ją... Cały świat, wszystko, co pnie się ku słońcu i co uśmiecha się do dobra i prawdy — to wszystko było w nich! Kochałem ich! To nic, że odkąd się pobrali, poczułem się nagle jak stary dziad. Kiedy miało pojawić się dziecko, poczułem się dziadkiem przyszłego wnuka. On nie zmienił się ani trochę, był ze mną zawsze, w każdej minucie, czułem to, wiedziałem, że kiedy kładę się spać na moim strychu, on jest tuż obok, i obojgu życzyłem szczęścia tam, na dole, i usypiałem spokojny. Czemu oni umarli? Wszyscy! I tak nagle, tak niesprawiedliwie! To ja powinienem był umrzeć! Nikomu nie jestem potrzebny, życie to nie kończący się ból i męka, ciężko patrzeć na ludzi, aż serce boli. Ja zostałem, a ich nie ma... Bogowie się pomylili. Bogowie nas omamili. Powinienem był go powstrzymać. Tego dnia, kiedy ona umarła, coś się zerwało, coś w naszym związku pękło, ale ja się nie zorientowałem. Zresztą, co mu mogłem powiedzieć? Po prostu poczułem, że wszystko pękło, i przestraszyłem się; nie byłem w stanie pójść do niego, choć powinienem był to zrobić. Nieszczęście, które go zagarnęło, wessało i mnie, a on zapomniał o bożym świecie. Chlusnęła na nas ogromna fala, mnie tylko zbiła z nóg, ale jego zatopiła... A teraz oni wszyscy przychodzą i mówią, żeby mu zrobić pomnik... Wiem. Kiedy skończę robotę, pójdę do niego! Ale naj-

pierw zrobię wszystkich, wszystkich dwustu, to, co pękło, nawiąże się, znów go poczuję w sobie, będę wiedział, gdzie go szukać, wszyscy bogowie mi pomogą, potem z głowami w chmurach zaciągną straż nad jego mogiłą, gęsty, strzelisty las bogów; całe zło świata odwróci się i ucieknie, a kiedy wszędzie zapanuje dobro, stanę pośród bogów i oni powiedzą mi, gdzie on jest. Wtedy tam pójde i wszystko będzie jak dawniej, bo dobro, tak samo jak miłość, nie umiera i jest wieczne. Ludzi przybywa, nawet z daleka ściągają już tłumy, modlą się. Nawet na nich nie patrzę! Przynoszą siekiery i noże, łopaty... przynoszą jedzenie... Biorę wszystko, bo las bogów pobłogosławi ich dusze, a wtedy wsławi się jego najczystsza dusza i ludzie jemu będą się kłaniać, bo to na jego cześć staną tutaj bogowie wszystkich czasów. O ten, co go tu niosę... Można pomyśleć — zwykłe drewno... Ale właśnie on najbardziej prosił, żeby wszystkim pokazać jego twarz. Oni nie widzą, ale pod korą oczy otwarte patrzą, wargi w bolesnym uśmiechu się wyginają. To Murzyn, to bóg Murzynów. Nie wiem, kim jest, ale go znam, zobaczyłem go i uwolniłem, teraz jest nasz, mój i jego. Co to? Gdzie moi bogowie? Szalas rozbity, bogowie zniszczeni. Życie moje przeklęte. Teraz już nigdy go nie odnajdę. Nie ma pomnika, mnie też nie ma! Zło dotarło nawet tutaj! Świat mnie zabił! Ja nie musiałem, ja nie... A-a-a-a!

Trwało to rok, może dłużej... Pracował jak szaleńiec! Posiwiął, została z niego sama skóra i kości, bo, zdarzało się, że jak mu ludzie nie przynieśli, to w ogóle nic nie jadł, chyba tyle, co w lesie znalazł, jakies zioła, korzonki... I od rana do nocy rzeźbił. Niesamowite, wie pan. W końcu fama o tym, co się tu dzieje, dotarła aż do Rio, przyjechał jakiś senior, robił zdję-

cia, zachwycał się. My i wszyscy z San Raphael wiedzieliśmy swoje; ludzie chodzili i przyglądali się. Zauważył pan, jakie tu wszędzie ornamenty? Każdy inny... A w księdze, którą trzyma Ogun, zauważył pan litery? Aha, nawet pan przeczytał. To jego własne słowa, niemal wiersz... A on sam prawie niepiśmienny, słowo daję... Skąd u tego murzyńskiego analfabety taki patos? I to poczucie piękna? Zresztą pan kształcony, pan wie, że miłość i dobro są wieczne i wszystkim po równo dane... No, w końcu doszło to do seniora Alveza. Trochę mu już przeszło po tej całej historii; akurat wymyślił, żeby zbudować drogę do swojej posiadłości, całkiem nową drogę od stacji kolejowej aż pod swój dom, prosto przez las, w dodatku asfaltową... Nagle, uważa pan, taka miłość do cywilizacji go ogarnęła. Kiedyś wybrał się razem z inżynierami na objazd terenów pod przyszłą budowę, no i natrafił na tego Mulata i jego bogów. Zbyt pobożny to on nie jest, ale porządek lubi, już panu mówiłem... A tu taki zwyczajny Mulat-poganin rzeźbi sobie bogów: pogańskich, chrześcijańskich — jak leci. Wyrażna obraza dla Kościoła, co samo w sobie jest już naruszeniem porządku! Na dodatek okazało się, że cały ten nieporządek dzieje się na terenie będącym jego, seniora Alveza, własnością i to akurat w miejscu, gdzie miała przebiegać nowa droga. To przesądziło sprawę. Ludzie gadali, że podobno tutejszy ksiądz także maczał w tym palce, że skarżył się Alvezowi i podburzał go. Krótko mówiąc, senior Alvez poszedł po rozum do głowy i zadziałał bezbłędnie. Odczekawszy, aż Mulat pójdzie do lasu po drewno na następnego boga, spychacz po prostu zrównał z ziemią szalas i rzeźby, przywalając wszystko grubą warstwą ziemi. Kiedy Mulat wrócił i zobaczył, co się stało, zwariował z kretesem.

... Siedzę sobie w domu, rzeźbię ptaki, nikomu w drogę nie wchodzę. Do mnie też nikt nic nie ma. I w porządku. A jednak ptaki kiepsko idą. Nie rozumiem. Staram się, jak mogę, piękne są, nie? Zapłacili za to, co zrobiłem, a nowych rzeczy nie chcą. Komiczni są ci panowie. Senior Alvez dobry człowiek, niech mu Bóg da zdrowie. Jak on się mną opiekuje! A ja robię wszystko według jego poleceń. Powiedział, że jak będę posłuszny, będę miał dobrze. I rzeczywiście... A jednak czegoś człowiekowi brak... Trudno powiedzieć, czego. Stara Adelina sprząta chatę, przygotowuje mi jedzenie. Nawet takiemu biednemu Mulatowi może się w życiu poszczęścić! Pamiętam, jak po śmierci tego biedaka zachorowałem... Nie! Żadnych wspomnień! Doktor powiedział, że on jest w raju, że oni wszyscy są w raju i że powinienem wierzyć w dobro i modlić się za ich dusze... Modlę się! I wierzę! Powiedział także, że rzeźbienie w drewnie jest miłe Bogu. Więc rzeźbię! Bóg lubi ptaki, niebo pełne jest ptaków, duch boży... Nie. Coś nie tak. Wszystko jakoś na opak, ale nie będę wspominał, nie chcę... Dobrze mi... Siedzę, rzeźbię ptaki... Zaraz przyjdzie Adelina...

Wie pan, jak to jest. Niech tylko artysta umrze, zaraz zrobią z niego geniusza! A za życia... Z tym Mulatem też tak. Wzięli go do domu wariatów, aż tu cała centralna prasa, wszystkie gazety w Rio na pierwszych stronach dają zdjęcia tych rzeźb, obok — nasz Mulat przy pracy. Huczek się zrobił: geniusz, prawdziwy ludowy geniusz, samorodny talent! Akurat nastąpiła u nas moda na narodowe elementy w sztuce, naturalność, ludowość... Jakiś dziennikarz przypadkiem zawadził o San Raphael, dowiedział się o Mulacie i zrobił mu reklamę... No i wszyscy jak w dym do San Raphael. Wtedy połapał się także senior Alvez. Jak zwykle

okazało się, że wszystkiemu winien operator spychacza: źle zrozumiał polecenie, on, senior Alvez, nie miał z tym nic wspólnego, przeciwnie, chronił... I lawina ruszyła. Przypomniał, że opiekował się kiedyś bratem i bratową Mulata. Jednym słowem, z całą energią zabrał się do odbudowywania tego, co dawno leżało w gruzach. Wywiad z Alvezem opublikowały wszystkie gazety: mówił, jak troszczył się o jego twórczość; wyszło na to, że nie kto inny, tylko właśnie on, Alvez, doradził, żeby stary stworzył bratu taki pomnik. On, Alvez, naprawdę kochał tego małego! Ale robotnicy... Co oni wiedzą o prawdziwej sztuce?! Nie zachowali należytej ostrożności, nie zapytali go o zdanie (wobec wszystkich zostały, oczywiście, wyciągnięte surowe konsekwencje) i zniszczyli ten cud sztuki ludowej! Hałas nie cichnął; z Rio zjechała specjalna komisja, ogłoszono, że rzeźby to skarb narodowy; w San Raphael utworzono, nota bene nie bez udziału seniora Alveza, państwowe muzeum; podstawowe eksponaty, jak pan widział, to drewniane rzeźby bogów. Wykopano je z ziemi, odrestaurowano, państwo zakupiło wszystko jak leci, Mulat dostał blisko pięć tysięcy dolarów. Ani nie wie, jaki jest teraz bogaty. Niemordowany senior Alvez nie spoczął na laurach: sprowadził najlepszych lekarzy, zastosowano najnowsze zdobycze medycyny i, niech pan sobie wyobrazi, wyleczyli go. Naprawdę. Rozumie, co się do niego mówi, jest spokojny. Alvez zadbał, żeby mógł rzeźbić wszystko, co chce... Najlepsze narzędzia, specjalnie przygotowane drewno, jednym słowem nic, tylko pracować! Przez jakiś czas odwiedzał go nawet nasz proboszcz niosąc, jak by to powiedzieć, ukojenie zbolełej duszy. No i rzeźbi sobie pocziwiec jakieś niewydarzone ptaszki. Cały pokój już ich pełen... Takie same mogłoby robić dziecko, które pierwszy raz wzięło nóż do ręki. Senior Alvez powoli tracił zainteresowanie. Inni zresztą też. A Mulat

nie może pojąć, czemu nikt nie chce jego ptaszków. Prosimi, żeby rzeźbił, więc rzeźbi. Nawet szkoda z nim rozmawiać, bo albo udaje, albo naprawdę niczego nie pamięta. Zwyczajny, siwy Mulał, ot, człowiek, jakich wielu. Dlatego lepiej niech pan do niego nie jeździ, niech pan napisze tylko o tym, co pan tu widział. Może kiedyś, potem... jak pan zechce. Bo to, co pan widział w muzeum, i te ptaszki — to robił nie ten sam człowiek.

Tłumaczyła Ewa Szulc

Stary Hrabasz

I

Tej nocy obudziło Hrabasza wycie wilka.

W ciągu trzydziestu lat, jakie przeżył w tej leśnej głuszy, niejedyn raz słyszał, jak wyją wilcze zgraje i przyjmował to jak tysiące innych odgłosów lasu. Tym razem jednak był to samotnik — wycie było tak rozdzierające, że mroziło krew w żyłach.

— A bodajże nad twoim padłem tak wyli — mruknął stary, przewracając się twarzą do ciepłej ściany. — Cała zwierzyna w lesie wyzdychała? Po kiego czorta tak wyjesz?

Podciągnął kołdrę aż na uszy, po czym ostrożnie wysunął rękę i poprawił kozuch okrywający nogi.

Gdy las znowu rozbrzmiał wilczym wyciem, Hrabasz pokiwał głową, jakby nad własnym bólem i przymknął oczy.

— Niech cię piorun strzeli — powiedział pod adresem wilka. — Ty mi tu nie wyj nade mną, bo już niejedyn wył i odwalił kite...

Westchnął próbując usnąć, ale jeszcze dobrą chwilę mimo woli wsłuchiwał się w odgłosy lasu.

Wycie ucichło. Może wilk się wypłakał, a może poniosł swój wilczy smutek do Dziadowego Jaru, w odległy zakątek prastarego lasu, gdzie lubiły mościć sobie gniazda wilczyce.

„Człowiek własnej żalości pojąć nie może, a cóż dopiero wilczej?” — pomyślał Hrabasz ponownie zapadając w drzemkę.

We wsi mówiono, że nikt tak nie zna lasu i zwierzyny jak stary Hrabasz. To była prawda. Całe życie spędził w lesie, umiał wytłumaczyć zwyczaje zwierząt, nauczył się porozumiewać z nimi, rozmawiał z drzewami, nawet z tym zielonym omszałym głazem, co od wieków tkwi nad źródelkiem. A jednak nawet on nie potrafił zgłębić do końca istoty tego leśnego świata — im dłużej mu się przyglądał, tym ów świat zdawał mu się mądrzejszy i bardziej tajemniczy.

„Przybiegł, wyplakał się i dalej w las... — nie mógł się uspokoić Hrabasz. — Kiedyś wilk bał się człowieka. Jak go zobaczył, uciekał gdzie oczy poniosą. A dziś idzie sobie prościutko do wsi, pod same okna i łapą w szybę...”

Odwrócił się na wznak. Ale oczu nie zamykał, wiedział, że już nie uśnie.

W słoneczny ranek czterdziestego czwartego zjawił się tu, na zgliszczach leśniczówki, która nieraz używała partyzantowi zacisznego schronienia, i wbił pierwszy kołek w miejscu, gdzie zamierzał postawić wrota.

Jego towarzysze broni poszli z armią na zachód, a on na okaleczonych nogach przemierzał las szukając młodych drzewek na żerdzie, by ogrodzić przyszłe obejście. Pod wieczór rozpałił ognisko i przesiedział przy nim do rana. Ze wschodem słońca znów zabrał się do roboty.

Tamtej nocy też były wilcze zgraje. W przetrzebionych lasach nie było zwierzyny ani bydła w zubożałych wsiach, więc goniły — wygłodzone — po lasach w poszukiwaniu jakiegokolwiek zdobyczy. Pamięta, że zapędzały się aż na polanę, pod samo ogrodzenie — czasami bał się, że nawet ogień nie potrafi ich powstrzymać, choć wiedział, że wilk wystrzega się ognia jeszcze bardziej niż człowieka. Myślał wtedy, że po dwóch latach partyzantki nie potrafi już zostać w le-

się, sama świadomość, że resztę życia będzie musiał spędzić z dala od ludzi, była straszna.

A jednak nie wrócił do wsi. O świcie zbił prosty drewniany krzyż i wkopał go na pagórku za dawną leśniczówką — na pamiątkę po rodzinie swego poprzednika, którą hitlerowcy wywieźli do miasta i tam zamęczyli. I tak pomiędzy tym krzyżem a wrotami stanął jego dom.

Nie wrócił do wsi, gdyż wiedział, że jeśli raz stąd odejdzie, opuszczona sadyba już nigdy nie ożyje, a nie mógł zapomnieć prośby Karacza, by pamiętał o tej chacie i całym lesie. Było jeszcze coś innego, co nie pozwoliło mu odejść owego ranka, ale do dziś nie może pojąć, co to takiego było...

Z wolna rany się zablżyły — znów poczuł się zdrowy i silny. Nawet nie wiedział, kiedy minęły te lata, a już trzeba było żegnać odchodzącego na swoje syna — jednego, drugiego, potem córkę... Stara płakała, ale on szedł za każdym z nich uśmiechnięty. „Nie płacz — mówił. — Wiesz przecież, że w tym gnieździe miejsca tylko na dwoje, w pięcioro nie ma co tu siedzieć. A jak któregoś serce zaboli — wróci. Może nas już wtedy nie będzie, ale wróci...”

Uśmiechał się do tej swojej nadziei, a żona patrzyła na niego z wyrzutem. „Zawsze wiedziałam — mówiła — że nie masz serca do dzieci. Kto to widział, żeby rodzone dziecko wyprawiać w świat i jeszcze się cieszyć. Byle drzewka tobyś żałował, jeszcze jak...”

Przypomniał to sobie teraz i westchnął. Tak ciężko, jak wtedy, gdy na pagórku za chatą stawiał drugi drewniany krzyż. Żonie.

„Zdzcizłaś w tej puszczy, między zwierzętami, to i nie ciągnie cię do ludzi — brzmiały mu jeszcze w uszach jej słowa. — Chyba czort mnie podkusił, żeby iść za tobą w tę głuszę” — ocierała łzy.

„Przecież mogą tu siedzieć, nikogo z domu nie wy-

pędzam” — odpowiadał wiedząc, że sama buntowała dzieci, żeby nie tkwiły w lesie, tylko szły gdzieś między ludzi.

Nadzieja lepszego losu dla dzieci mieszała się w jej duszy z piekącym żalem, nosiła go w sobie jak nigdy nie zagojoną ranę.

Do końca nie wiedziała, że przed odjazdem każdego syna stary zabierał go ze sobą do lasu na cały dzień i tam, w cztery oczy, długo mu perswadował, że powinien tu zostać i objąć w spadku leśniczówkę.

„Ech, stara, stara... — westchnął odpędzając od siebie wspomnienia. — Ćwierć wieku ze mną przeżyłaś, a do lasu nie przywykłaś”.

„Mało to razy się zarzekałeś, że koniec z tymi wspominkami... — wyrzucał sobie w duchu. — Wspomnienia to gorzka rzecz dla takiego samotnika. Kiedy człowiek zaczyna żyć przeszłością — to już całkiem źle.”

Wycie wilka przerwało te rozmyślenia.

Usiadł na łóżku i potarł czoło, jakby chcąc się otrząsnąć ze snu.

— Co za licho? — mruknął wpatrując się w granatowy prostokąt okna. — Te dranie dawno już prochu nie wachały. Nawet spokojnie umrzeć nie dadzą.

Wycie było coraz głośniejsze — wilk musiał być całkiem blisko, chyba koło samych wrót.

„A może to Znajda?” — pomyślał o wilczęciu, które chowało się u nich pozaprzeszłej wiosny. Dmytro znalazł je nad strumykiem i przyniósł do domu. A w miesiąc później Wasyl przywiózł z miasta wilczura, bo ich stary owczarek był już całkiem głuchy i ślepy. I ci dwaj odwieczni wrogowie spali na jednym wymoszczonym słomą legowisku i żarli z jednej miski.

„Kto wie, może to i Znajda? Tak czy owak trzeba przepędzić. Jeszcze całą zgrają tu ściągnie”.

Ubrał się. Już miał zdjąć wiszącą na ścianie strzel-

bę, ale cofnął rękę. Był przekonany, że wilk nie zaryzykuje napadu tuż koło ludzkiej siedziby — strach jednakowo każe człowiekowi unikać wilka, jak i wilkowi unikać człowieka.

Pies warował przy samych wrotach. Czuł odwiecznego wroga, więc zamarł z wygiętym grzbietem i szeroko rozstawionymi mocnymi łapami, gotów każdej chwili rzucić się na napastnika. Gdy do obejścia zbliżał się ktoś obcy czy jakieś zwierzę, czaił się, śledząc bacznie każdy ich krok, ale nigdy nie szczekał.

— Dałbyś przynajmniej głos, żebyś wiedział, że nie śpisz — powiedział do niego stary. Ale pies nawet nie spojrział w jego stronę. Czuł wilka, i wszystkie inne zapachy i głosy przestały dla niego istnieć. To był odważny pies — znał leśne życie i wiedział, że tutaj liczy się tylko własna siła i spryt.

„Pies też odróżnia mądre słowa od pustego gadania — pomyślał Hrabasz. — Nie zważa nawet, co mówię...”

Uchylił wrota, postąpił parę kroków i stanął, nasłuchując. Wilk musiał być gdzieś blisko. Pewnie patrzy teraz na niego, ale przyczaił się i czeka.

— Słyszysz przecież, że wyszedłem, to czemu milczysz? Przywołałbym cię, ale jak? Chyba, żebyś zawył...

Księżycowa poświata sphywała z kosmatych świerków zalewając polanę błękitnym mrokiem. Hrabasz brnął przez tę złudną topiel i rozglądał się, jakby w poszukiwaniu jakiejś wysepki.

— Wiem, że cię jakaś bieda przygnała. Gdyby ci było dobrze, nie przychodziłbyś pod same wrota, nie wyłbyś sobie na zgubę.

Doszedł do końca polany i naraz stanął jak wryty — tuż obok ścieżki, w niewielkim wykrocie między dwoma świerkami, leżał wilk. Pysk drapieżnika był o kilka centymetrów od jego nogi.

Stary cofnął się i skierował na niego światło latarki.
— Aha... — mruknął. — Toż na twoim miejscu i człowiek by zawył!

Prawy bok wilka, aż po tylną łapę, rozszarpany był postrzałem.

— Komużes się tak naraził, co?

Wilk dzwignął się na przednie łapy i nie podnosząc łba usiłował podczołgać się bliżej. Hrabasz pomyślał, że ranny zwierz goni resztkami sił. Musiał stracić masę krwi, zanim się tu dowlókl.

— Głupstwo. To żadna rana — pocieszał go stary. — Zagoi się. To wymaga tylko czasu i dobrego odżywiania.

Wilki jakby rozumiał, co do niego mówią. Popatrzył na człowieka jarzącymi się czerwono ślepiami, a potem wyciągnął przednie łapy i zarył pyskiem w suchych zeszłorocznych liściach.

Hrabasz znów zapalił latarkę. Na karku wilka, tuż przy grzbiecie, ukazała się w jej świetle niewielka różowa blizna.

„To on!”

— Znajda! — zawołał. — Znajda!

Ale wilk nie dawał znaku życia.

„Popatrz, popatrz, na śmierć o tym zapomniałem — myślał stary, śpiesząc do chaty. — Pogryźli się kiedyś z Reksem o jakiś ochłap. Dmytro rzucił im jeden dla obu, zamiast podzielić jak zawsze. Pies złapał go za kark, to miejsce już nigdy nie zarosło sierścią...”

Uwiązał krótko Rekxa. Stojąc w progu zastanawiał się chwilę, w jaki sposób poradzić sobie z drapieżnikiem, po czym wyszukał w sionce dwa worki i wrócił do Znajdy.

— Głupstwo. To żadna rana — powtórzył. — Nie bój się.

Oślepił wilka nagłym błyskiem latarki i zniecka,

lecz niezbyt mocno uderzył go między oczy, zarzucił worek na łeb i okręcił sznurkiem.

— Co mam z tobą robić? — usprawiedliwiał się przed Znajdą. — Ludzkiego słowa ty nie pojdziesz, a stać tu i medytować szkoda czasu, bo całkiem się wykrwawisz albo wilczyca się nawinie.

Znajda miał już trzeci rok — jest to wiek, kiedy młode wilczki przestają swawolić i uganiać się po jarach i zaczynają łączyć się w pary. Hrabasz wiedział, że w tym czasie są najbardziej niebezpieczne. Zwłaszcza samice. Nie wystarczają im już łowy w lesie — nocami z niebywałym zuchwalstwem napadają wiejskie zagrody i farmy, aby potem zwróciwszy upolowane mięso nakarmić nim młode. Instynkt macierzyński i nieodparta konieczność upolowania jakiejś zdobyczy potrafią przytłumić strach i pozbawiają rozsądku.

Podsunał pod wilka rozłożony worek i przytrzymując go za kark pociągnął do leśniczówki.

— To przejdzie.... — przemawiał. — Nie przyłożę ci znów tak mocno... Jakoś to będzie...

II

— Ależ z ciebie, Hrabasz, uparty człowiek!... Myślisz, że nie mam nic pilniejszego do roboty, jak tylko włączyć się po lesie i wilki leczyć! Nawet żeby wszystkie wyzdychały, też bym za nimi nie płakał. — Wołoszczuk układa jakieś proszki na półeczkach i nawet nie spojrzy w stronę leśnika. Cała ta rozmowa już i tak zbyt długo się ciągnie. — Samego była prawie pół tysiąca i wszystko na mojej głowie, a ty mi tu ze swoim wilkiem!

— Do kogóż mam pójść, jak nie do weterynarza? — pyta Hrabasz, udając, że zbiera się do odejścia, ale

wciąż jeszcze nie przestępuje progu. — Pielęgnuję go, jak potrafię, ale rana zaczyna ropieć. Musiał ją zapaskudzić, zanim się dowlókl aż pod leśniczówkę. Wiesz, jak to jest... —

— Właśnie — sceptycznie uśmiechnął się Wołoszczuk — biedactwo specjalnie czołgało się przez las, żeby wprosić się do Hrabasza na leczenie. Jak wędkarz zmyśla, to jeszcze można wybaczyć, ale ty — leśnik, stary człowiek...

— Nie rób ze mnie łgarza! — oburza się Hrabasz. — On u mnie od maleńkości się chował. Myślisz, że przez to, że wilk, to już nie rozumie, co dobroć i ludzkie serce?

Stary czuł, że nie ma sensu dłużej namawiać Wołoszczuka. Położył rękę na kłamece.

— O wilkach wiem może tyle, co ty. Czytałem w książkach — jaki z nich pożytek i dlaczego nie wolno całkiem ich wytępić... Zobaczysz, jak się to poskudstwo rozmnoży, ratunku przed nim nie będzie. Już teraz potrafią nocami podkraść się pod ogrodzone pastwiska i niech tylko jakieś cielę za płot się wyrwie, ani się człowiek obejrzy, jak cielęcina nie ma. W zeszłym tygodniu jedno ledwo odbiliśmy.

— Tyle ich, co upolują — obstawał przy swoim Hrabasz.

— E-e... znalazł się filozof, patrzcie ludzie — zachnął się weterynarz. — W tundrze, za renami, mogą sobie ganiać, to nawet z pożytkiem dla stada, bo giną cherlawe sztuki, ale tu!...

— No, to jadę do Wasylówki, do Jarczuka — stary otworzył drzwi i już z podwórza krzyczał: — Jarczuk nie taki honorny i też zna się na rzeczy! A że się zna — to nie odmówi!

— Honor! Honor! Co ma piernik do wiatraka? — wybiegł na próg Wołoszczuk. — Nie mam żadnego obo-

wiązku włóczyć się po jakichś chaszczach i leczyć każde paskudztwo, co się pod rękę nawinie!

— To nie lecz!

— Żebyś wiedział, że nie będę!

— To nie włócz się i nie lecz... — powtórzył Hrabasz stojąc pośrodku podwórza. — Nie będę cię więcej prosił!

Milczeli chwilę, hamując irytację i myśląc każdy o swoim.

— Bo to ja siedzę z założonymi rękami i tylko twojego wilka mam na głowie! — odezwał się wreszcie Wołoszczuk. — Stanie mu się coś, jak poczeka do wieczora?

— A czy ja mówię, że mu się coś stanie! Nawet jakbyś jutro rano przyszedł, też wytrzyma.

Hrabasz wyjął papierosy, włożył jednego do ust i nadal trzymał paczkę w ręce, jakby czekał, aż weterynarz poprosi, by go poczęstować. Ale Wołoszczuk wyciągnął swoje. Też zapalił i uważnie spojrzął na leśnika.

— No, więc co mu jest, temu wilkowi? Nie możesz powiedzieć jak człowiek, tylko zaraz z krzykiem...

— Rana po brzegach zrobiła się biała. Jakieś takie pęcherzyki się pokazały.

— A on jak? — dopuszcza do siebie?

— Wilk to wilk. Może się i rzucić, jak człowiek nie będzie uważał. Trzymam go w komórce.

— Mam taki druciany kaganiec, co się nakłada psom, jak trzeba zrobić zastrzyk. Można by i jemu założyć, jeśli się uda.

— Czemu nie miałyby się udać — pojednawczym tonem rzekł Hrabasz.

Weterynarz był młodszy od niego, ale wyglądał dość staro, ziemista zniszczona cera zdradzała człowieka chorowitego i nerwowego.

Hrabasz milczał czekając, co tamten powie. Czuł, że

sprawa jest na dobrej drodze. Pozostawało tylko ustalić godzinę. Mógłby o to zapytać wprost, ale nie od dziś zna Wołoszczuka — nie wolno go ponaglać, jeszcze by się znów zirytował.

— Często cię odwiedza? — weterynarz też się nie śpieszył.

— Pierwszy raz odkąd go wypuściłem na wolność.

— Na motorze da radę dojechać?

— Czemu by nie! Co prawda leśny dukt to nie to co szeroka droga przez wieś, ale przejechać można. Albo wiesz co? Siadaj ze mną na wóz. To przecież niedaleko.

— Już lecę siadać! — znowu rozżłościł się weterynarz. — Tylko konia na śmierć nie zagnaj!

— Tfu! — splunął Hrabasz. — Nję gadałbyś po próznicy. Przyjedź wieczorem. Będiesz się mógł na stare lata chwalić, żeś wilka leczył.

— Powiem gajowemu, żeby go potem wyszedził i dostrzelił, bo jeszcze mnie w grobie będą ludzie przeklinać.

III

Ulewa ścichła.

Wiatr strącał wodę z liści. Ciężkie jak ołów krople padały na rozmiękłą ziemię, jak zasiew przyszłych deszczów.

Hrabasz przeszedł przez obejście i zatrzymał się przy płocie. Potrząsnął nim, żeby sprawdzić, czy mocno się trzyma, i naraz znieruchomiał ze zdziwienia.

Po drugiej stronie wrót, za niewielkim krzakiem siedziała wilczyca. Obok niej przycupnęło czworo szczeniąt. Wyciągały podłużne mordki w stronę, gdzie patrzyła matka, jakby w oczekiwaniu, że za chwilę niechybnie pojawi się tam coś, czym można się będzie pożywić.

— Na oględziny przywiodłaś! — zawołał stary. — Przeprowadź je bliżej, nie bój się. Ho, ho! Ładne masz dzieci!

Na widok człowieka wilczyca przepędziła szczenięta na drugi koniec polany i znów przysiadła nieruchomo, nastawiwszy uszy w stronę komórki, gdzie nudził się Znajda. Samica, która zawsze usiłuje ukryć młode w najdzikszych ostępach, teraz jakby zatraciła instynkt macierzyński — przyprowadziła je aż pod siedzibę człowieka, narażając na zgubę.

— Czegóż uciekasz? — spochmurniał Hrabasz. — Jak już przyszedł, to zostań. A bo to ja nie wiem, co to samotność? Wiem...

Po raz pierwszy zobaczył ją w dniu przyjazdu weterynarza. Po śladach odnalazła swego samca i odtąd krążyła wokół leśniczówki, nie mając odwagi podejść blisko, ale i nie mogąc zdobyć się na to, by odejść.

Kręgi, zataczane z zawziętą równomiernością, sprawiały wrażenie jakiegoś przedziwnego tańca wierności, który trwał aż do świtu.

Potem wilczyca znikła i Hrabasz myślał, że już się więcej tu nie pojawi. Ale wróciła. Może chciała pokazać Znajdzie jego dzieci — to mogłoby zwielokrotnić jego siły i pomóc wyrwać się z niewoli. A może przyprowadziła je, aby się pożegnać, zanim na dobre skryje się w głuchych, bezpiecznych ostępach? Kto wie?

— Zaraz go wypuszczę — powiedział Hrabasz do wilczycy, jak gdyby chciał ją pocieszyć. — Powinien jeszcze zostać parę dni, aż się wszystko porządnie zagoi. Ale skoroś przyszła, to niech tam... Koń też wreszcie odetchnie, bo z początku rwał się ze stajni jak oszalały.

Przemawiając tak do niej i do siebie, podszedł do komórki, którą sklecił za drwalką i odsunął żerdki.

Wilk cofnął się w najciemniejszy kąt i zjeżył grzbiet. Jakby bał się nieoczekiwanej wolności. A może in-

stynkt ostrzegał go przed jakąś nową pułapką. Dopiero gdy stary odszedł parę kroków i stanął przy psie, wziął na odwagę i lekko utykając rzucił się do wrót. W kilku susach zrównał się z wilczycą, ale strach pognął go dalej — biegł, jakby jej nie zauważył. Wadera nie oglądając się pognęła za nim.

Drżącymi rękami stary wyjął papierosa i zapalił. Czuł, że ogarnia go jakieś dziwne rozczulenie, w oczach zakreśliły się łzy.

„A ty powiadasz: wytępić... — z wyrzutem pomyślał o Wołoszczuku. — Jakże wytępić, kiedy to cały ogromny świat, którego ani ty, ani ja chyba nigdy nie zdołamy zrozumieć...”

Długo jeszcze stał u wrót, wpatrzony w leśną gęstwinę.

Tłumaczyła Zofia Głowiakowa

Czerwone maki na Monte Cassino

Hawrylenko przyjechał do Warszawy rano pośpiesznym, który wieczorem wychodził z Koszalina. Na koszalińskim dworcu żegnali go członkowie koła UTSK *, gdzie miał spotkanie autorskie. Kiedy znaleźli się w podziemnym przejściu, ktoś z odprowadzających zaintonował smętną dumkę o Kozaku, który odjeżdża w dalekie strony i nie wiadomo, czy powróci. Cała grupa podchwyciła melodię. Przecież oni śpiewają o sobie — pomyślał. Jeszcze przed chwilą wysoki, smagły mężczyzna o nieprawdopodobnie błękitnych oczach opowiadał mu o swoim życiu: po wojnie jako mały chłopak znalazł się wraz z rodzicami tu, na Ziemiach Zachodnich; Niemców już nie było, ich domy stały puste, z powybijanymi szybami; trzeba było zaczynać życie od początku; stary dom został gdzieś daleko, w powiecie jarosławskim; mężczyzna przeczytał Hawrylence poemat o Beskidzie: odległe wspomnienia dzieciństwa przeplatały się z marzeniami o powrocie w rodzinne strony, gdzie czeka własny dom; mimo warsztatowej nieporadności w wierszu była przejmująca szczerłość.

Zgromadzeni na peronie ludzie ze zdziwieniem patrzyli na niewielką grupkę śpiewającą ukraińską pieśń. Hawrylenko nie znał nikogo z odprowadzających: na Koszalin miał tylko pięć godzin; mimo to zdążył pojechać do Mielna, aby zobaczyć morze; właściwie nie on to wymyślił; zawieźli go gościnni gospo-

* Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne.

darze — jakiś inżynier Ukrainiec swoim maleńkim Fiatem-850. Kierowca mówił powoli, starannie dobierał słowa, mieszając wyrazy ukraińskie i polskie. Widać było, że rzadko używa ojczystego języka.

Morski brzeg powitał ich ciszą. Sezon jeszcze się nie zaczął; czyste, piaszczyste plaże były puste. Hawrylenko i jego towarzysze siedzieli pogrążeni w sennym milczeniu, spowici w słoneczną mgłę, leniwie kołysząc się nad morzem. Hawrylenko zszedł nad sam brzeg, chodził tam i sam, przyklękał wpatrując się w przezroczystą wodę, przyskał sobie nią twarz i próbował smaku: zdawało mu się, że jest zupełnie ciepła; szkoda — powiedział — że nie można się wykąpać. Tutaj z początkiem maja nikt się jeszcze nie kąpie. Potem robili zdjęcia; w powrotnej drodze jakaś chuda kobiecina wypytywała go o Połtawę, w której zresztą nigdy nie była.

Teraz, stojąc na peronie w grupie przypadkowo poznanych osób, które widział prawdopodobnie pierwszy i ostatni raz w życiu, doszedł do wniosku, że chcąc choć trochę zrozumieć tych ludzi, ich troski i nadzieje, trzeba by pobyć z nimi dłużej; sama myśl o tym wydała się nie do zniesienia, zbrzydło mu już to włożenie się po całej Polsce, te wiecznie spóźniające się pociągi, restauracyjne „Warsy”, do których trzeba było przepychać się przez zatłoczone do niemożliwości korytarze drugiej klasy; te wszystkie mleczne bary i hoteliki w wojewódzkich „metropoliach”. Z ulgą powitał zapowiedź chrypiącego głośnika, że jego pociąg wjeżdża na peron pierwszy. Warszawa była ostatnim etapem jego wędrówki; za dwa dni miał wracać do Kijowa.

Ta sama kobiecina, która wypytywała go o Połtawę, wycalowała go serdecznie, potem odbyła się seria pożegnalnych uścisków. Z bukietem czerwonych goździków wdrapał się do swego slipingu i stanął w otwar-

tym oknie patrząc na bielejące w dole twarzy. Było mu trochę nijako; wciąż jeszcze uważał się za młodego, a wśród odprowadzających przeważali ludzie starsi; chciał jakoś specjalnie zaznaczyć swoją wdzięczność, podziękować za serdeczne przyjęcie, ale nie wiedział, jak. „Uwaga, uwaga — zachrypiał głośnik — pociąg pośpieszny do Warszawy odjeżdża z toru przy peronie pierwszym”.

Konduktorzy w granatowych mundurach wskoczyli na stopnie wagonów, Hawrylenko ścisnął wyciągające się do niego ręce, uśmiechał się, plótł coś, zapraszał do Kijowa, ale nadal czuł się nieswojo. Była w tym pożegnaniu jakaś gorycz.

Od razu położył się spać — ułożył się w swojej kołysce (zamiast twardych półek w polskich slipingach było coś w rodzaju kołyski czy hamaków). Z korytarza dobiegała głośna rozmowa po francusku. Szybko zasnął z myślą, by pociąg nie miał spóźnienia; nazajutrz wypadła inauguracja Dni Oświaty, Książki i Prasy; na wielkim kiermaszu Hawrylenko miał podpisywać swoją książkę, której polski przekład właśnie się ukazał; proszono, aby się nie spóźnił. Kiermasz zaczynał się o dziesiątej.

Obudził się wcześniej i wyszedł na korytarz. Nad lasami i miasteczkami, przez które z hukiem przelatywał pociąg, wschodziło słońce. Co sprawiało, że od tej ziemi wiało obcością? Takie same, jak na Ukrainie, pola, takie same chmury, leśne dukty, takie same sosnowe laski i piaski, jak u niego na Polesiu. Może inne budynki, a może kościoły sprawiały, że kraj wydawał się obcy; szary beton, ponura, ciemnoczerwona cegła i białe lakierowane okiennice? Może inne samochody: beznose Stary i przysadziste, szybkie Syreny, a może obce mundury patroli przed dworcami: młodzi chłopcy o marsowym wyglądem, z paskami pod brodą, z nieodłącznymi automatami na plecach? Chyba jed-

nak nie to było istotne. Ważne było wewnętrzne poczucie, że człowiek jest w obcym kraju.

Pociąg zbliżał się do Warszawy. Miał tylko piętnaście minut spóźnienia, co było nie byle jakim osiągnięciem PKP. Nad przedmieściami wstawał niedzielny poranek: delikatna, nieważka mgielka unosiła się nad lśniącymi od rosy dachami. W bazach zastygły nieruchome ciężarówki. Na czyste niebo powoli wtaczało się słońce; Hawrylenko pomyślał, że na placu przed Pałacem Kultury będzie upał. Przy uchylonym oknie rozmawiało dwóch facetów w nieokreślonym wieku, równie dobrze mogli mieć trzydzieści pięć, jak koło pięćdziesiątki. Rześkie poranne podmuchy napinały firankę jak żagiel.

W Warszawie nikt na niego nie czekał. Hawrylenko sprawdził, czy ma w kieszeni klucz, który na wszelki wypadek wręczył mu jego stary kumpel Florian Kłymowycz, zwany przez przyjaciół Florkiem-Pomidorkiem. Florek był z całą rodziną na wsi; przed wyjazdem dał Hawrylence klucz od swojego mieszkania; rezydował w centrum, przy Brackiej.

Miasto przygotowywało się do majowego święta; rzucało się to w oczy na każdym kroku. Szły odświętne wystrojone dzieci, w białych golfach, poważne, jakby udawały się do komunii. Na wielkich tablicach koło Cedetu wisiały pstre afisze: „Dni Oświaty, Książki i Prasy”. Ulice były jeszcze niemal puste, ale wszyscy napotkani przechodnie zmiierzali w kierunku Marszałkowskiej, na kiermasz. Hawrylenko zjadł śniadanie w małym barze na Brackiej, obok kas kolejowych „Orbisu”; zamówił rybę w galarecie, sałatkę jarzynową, duże piwo. Po chwili wahania dopłacił trzy złote i zapił to wszystko filiżanką kakao. Florek-Pomidorek mieszkał w domu, w którym mieścił się związek rencistów; na schodach zawsze można było spotkać starszych panów z miniaturami wojskowych odznaczeń w butonier-

kach albo wiekowe damy w kapeluszach z czarnej słomki. Ale teraz schody były puste.

Hawrylenko szybko się wykąpał, włożył czystą koszulę i nowy krawat w paski, kupiony w Szczecinie. Zatelefonował do swego tłumacza: pan Stanisław powiedział, że właśnie wychodzi z domu i że spotkają się na rogu Brackiej i Alei Jerozolimskich. Czekał cierpliwie; z nudów gapił się na ilustrowane czasopisma w kiosku „Ruchu”, raz po raz zerkając na co ładniejsze dziewczyny w spódniczkach mini; dziewczęta także szły w stronę Pałacu Kultury. W końcu zjawił się pan Stanisław; miał na sobie jasnoszary garnitur, w rękę nie wiadomo po co trzymał siatkę na zakupy. Miał chyba pod sześćdziesiątkę; pochodził z Sambora i dobrze znał ukraiński; podczas wojny jako porucznik AK walczył w partyzantce na Lubelszczyźnie.

Na ogromnym placu przed Pałacem pstrzyły się obite dyktą stoiska różnych wydawnictw. Z głośników dobiegała muzyka; tłum gęstniał; przed niektórymi budkami uformowały się już olbrzymie kolejki: tam sprzedawano dzieła Sienkiewicza. Hawrylenko widział, jak od zbitej gromady kupujących odrywali się uczniowie ściskający grube tomy *Trylogii*. Wydostawszy się z tłumu ładowali łup do dużych papierowych toreb. Każde wydawnictwo dodawało do zakupionych książek kolorowe firmowe torby. Przy stoisku MON-u panował największy harmider: dzieciarnia kupowała *Czterech pancernych i psa*. Zdaje się, że powieść podpisywał autor; wszyscy chcieli mu się przyjrzeć.

Po chwili Hawrylenko i pan Stanisław znaleźli stoisko swojej oficyny: wielki żółty namiot rozpięty na aluminiowych rurach. Słońce przypiekało i wszyscy sprzedawcy — nawet chudziutkie redaktorki z wydawnictwa — ocierali pot z czoła. Z trudem przecisnęli się przez otaczającą namiot ciżbę i weszli do środka. Pod ladą, w wielkich tekturowych pudłach leżały sto-

sy wymiętych banknotów. Interes szedł zwawo, sprzedawczynie niedbale wrzucały do pudełek czerwone stuzłotówki. Wśród sprzedawców Hawrylenko rozpoznał miłą, zawsze uśmiechniętą panią Basię z działu reklamy i naczelnego redaktora, pana Kazimierza. Ucieszył się dostrzegłszy skrzynkę wody mineralnej.

Posadzono go za ladą, przy której pisarze podpisywali swoje książki, przed nim wyrósł stosik egzemplarzy jego powieści i tabliczka z nazwiskiem. Obok w pocie czoła pracował jakiś rudawy jegomość z wyglądu przypominający Niemca: krągła twarz, białe brwi i jasne, lekko wypukłe oczy. Był to znany poeta Ernest Bilak. Ludzie ustawiali się w kolejce trzymając w ręku jego nowy tomik w ładnej szarej obwolucie. Bilak szybko podpisywał egzemplarze uśmiechając się przyjaźnie do kupujących; jedną z dziewcząt szarmancko pocałował w rękę. Do Hawrylenki nikt nie podchodził, więc siedział ponury, złorzecząc sobie w duchu za ten pomysł z kiermaszem. Potrzebnyś tu, człowieku, jak dziura w moście. Nikt cię nie zna, nikt nigdy o tobie nie słyszał. Myślisz, że ktoś potrzebuje akurat twojej książki? Na tym kiermaszu może sobie kupić tysiąc takich samych albo i lepszych.

Wychylił szklaneczkę mineralnej i poczuł, że poci mu się twarz i szyja. Na lewo od Bilaka podpisywał swoje książki siwy, poważny pan; otaczała go przeważnie starsza, elegancko wyglądająca publika; był to znany autor powieści historycznych, Teodor Porębski. Potem, już w Kijowie, Hawrylenko dowiedział się, że Porębski pół życia spędził w Charbinie, gdzie ukończył polskie liceum. O Charbinie Hawrylenko wiedział tylko tyle, że w roku 1911 wybuchła tam wielka epidemia dżumy płucnej. Porębski wyglądał jak zmęczony aktor o posiwiałych skroniach, który niegdyś mógł grywać Hamleta.

— Proszę pana, pan naprawdę jest z Kijowa? — wyrwał go z zamyślenia starczy głos.

Przed nim z egzemplarzem jego książki w rękę stała niemłoda kobieta w zielonym płaszczu. Uwagę Hawrylenki zwróciła jej szyja: żyłasta, niemal brązowa, z głębokimi „solniczkami” przy obojczykach. Kobieta przyglądała mu się z niedowierzaniem, raz po raz zerkając na umieszczoną na obwolucie fotografię.

— Tak, proszę pani!

— Mój Boże — powiedziała staruszka — to tu pisze o Kijowie?

— Tak.

— Jezus Maria, toż ja w Kijowie urodzona. Rozumie pan, w Kijowie.

Wygłosiła to tonem tak uroczystym, z przejęciem i odrobiną zdziwienia, jakby to nie chodziło o Kijów i ulicę Zwiastowania Maryi Panny, lecz co najmniej o Marsa. Hawrylenko spojrział na nią z sympatią. Babunia musiała chyba wypalić w życiu niejednego papierosa, głos miała zachrypnięty, niemal męski.

— Pani od dawna mieszka w Warszawie?

— Od dwudziestego roku. Moi rodzice leżą na Łukianówce. Chcę, żeby mój wnuk przeczytał coś o Kijowie. Czy tu pisze także o Bibikowskim bulwarze?

— Tak. Teraz on się nazywa Szewczenki. Rosną tam wysokie topole.

— Mój brat uczył się w Pierwszym Gimnazjum imienia Aleksandra. Chodził do jednej klasy z Paustowskim.

Podawała mu książkę. Hawrylenko zastanawiał się przez chwilę, po czym dużymi kulfoniastymi literami napisał na stronie tytułowej: „Mojej pierwszej polskiej czytelnicy, starej kijowiance, na pamiątkę spotkania w Warszawie — autor”.

Babcia musiała mieć, jak to się mówi, lekką rękę, bo inni kupujący zaczęli teraz podchodzić z prośbą

o autografy. Kiepski nastrój ulotnił się jak kamfora; teraz harował tak samo jak sąsiedzi przy innych stoiskach; po jakimś czasie inwencja wyczerpała się i zaczął się powtarzać: wpisywał mechanicznie sztamponowe: „Na pamiątkę”, „Z najlepszymi życzeniami” itd. Nabywców najwyraźniej interesowały kulfoniaste litery, wypisywane nie znanym alfabetem, w obcym języku. Jakieś dziewczynie o zielonych oczach — studentce ASP — wpisał się niebanalnie, od serca, choć miał wątpliwości, czy kiedykolwiek zdoła odcyfrować nierówne, pośpiesznie skreślone słowa. Z czasem doszedł nowy kłopot: trzeba było wpisywać się do małych albumików własnej roboty, przeznaczonych na autografy; specjalność podlotków, których nieprzebrane tłumy ściągnęły na kiermasz. Pomyślał, że w życiu nie rozdał tylu autografów. Może kiedyś, gdy jego już nie będzie, jakiś chłopiec czy dziewczyna, wówczas już w wieku dzisiejszej babci z Kijowa znajdzie małe albumy z wyblakłymi autografami; wśród nich będzie także jego podpis. Bezzębni staruszkowie będą przyglądać się obcym literom skreślonym przez nieznanego człowieka, zachodząc w głowę, czyj to może być podpis: boksera czy zapomnianego estradowego idola, uczestnika Wyścigu Pokoju czy po prostu przypadkowego turysty, spotkanego kiedyś na Starym Mieście. Potem pomyślał jeszcze, że te albumy mogą zachować się tylko pod jednym warunkiem: jeśli na świecie nie będzie nowej wojny, a w Warszawie nowego powstania.

— Panie Hawrylenko — powiedział tłumacz — pozwoli pan, że mu przedstawię pana Andrzeja Linka.

Hawrylenko czytał kilka książek tego młodego, bardzo popularnego pisarza; podobała mu się brutalność, ironia i pewne okrucieństwo tych opowiadań. Link okazał się właśnie taki, jakim powinien być autor *Podróży do kraju Hitlera*. Hawrylenko od razu poczuł do

niego sympatię: Link był w jakiś sposób podobny do niego — tak samo wysoki i masywny, miał nos jak bokser i okulary krótkowidza, w odróżnieniu od Hawrylenki nosił jednak krótko przyciętą na sposób marynarski bródkę. Niewielkie oczka błyskały wesoło zza grubych szkieł, mówił głośno, zachowywał się z dużą pewnością siebie, a uścisk jego dłoni był mocny. Kiedyś uprawiał boks, potem był szoferem. Obdarowali się nawzajem swoimi książkami, zamienili kilka słów i umówili się na obiad w Grand Hotelu. Link zajął miejsce Bilaka; zdjął marynarkę, zakasał rękawy koszuli i zabrał się do roboty. Od razu ustawiła się do niego długa kolejka. Wydawnictwo przygotowało na kiermasz czwarte wydanie jego znanej powieści.

Początkowo Hawrylenko starał się liczyć podpisywane egzemplarze, ale wkrótce stracił rachubę. Przed stoiskiem defilował sznur jego przyszłych czytelników. Na próżno usiłował zapamiętać niektóre twarze; przesłaniały je wciąż nowe i nowe. Do niektórych coś zagadywał, rzucał jakieś żarciki, ale w głębi ducha nurtowały go wątpliwości: po raz pierwszy miał okazję zetknąć się oko w oko ze swym czytelnikiem, osobiście uczestniczyć w procesie kupna-sprzedazy literackiego „towaru”. Ludzie płacili osiemnaście złotych, brali książkę i podchodzili z prośbą o autograf. Za te pieniądze można zjeść dobry obiad w barze mlecznym — pomyślał. Albo trzy razy pójść do kina, albo kupić dziecku jakąś zabawkę. Ludzie nie mają lekko, liczą każdy grosz. Kupują twoją powieść, chociaż nikt ich do tego nie zmusza; spójrz, ile pięknych książek jest na tym kiermaszu. Pomyśl: facet wydaje na ciebie osiemnaście złotych, tłoczy się w tłumie, by uzyskać twój autograf, potem wraca do domu, zaczyna czytać twoją powieść — i raptem okazuje się, że to wierutna brednia, najprawdziwsze wyssane z palca kłamstwo. Albo jakieś nadęte i do niczego niepodobne zawracanie

głowy. Facet zaczyna wyzywać cię od najgorszych, żaluje wyrzuconych w błoto pieniędzy.

Nie — odpowiedział sobie po chwili. — Trzeba grać uczciwie, nie zawracać ludziom głowy i dawać wartościowy towar. Mam prawo patrzeć im w oczy. W tej książce jest kilka prawdziwych stron, niewiele, ale jest, i jeśli komuś, kto to przeczyta, choć raz silniej uderzy serce, będę szczęśliwy. A jeśli w dodatku dowie się czegoś nowego o moim mieście i o ludziach, o których pisałem, to także będę szczęśliwy. Łgarstw nie ma tam znów tak dużo. Ale każdy, kto pisze, powinien choć raz w życiu stanąć twarzą w twarz z tym, co go czyta, zobaczyć te wymięte papierki, wyciągane z wytartych portmonetek.

Pochylając się nad nim pani Basia szepnęła, że wszystkie dostarczone na kiermasz egzemplarze jego książki już się rozeszły, zostało akurat tyle, co dla pracowników wydawnictwa; jeśli jest łaskaw, może zechce je teraz podpisać.

Zgodził się chętnie. Pan Stanisław także się pożegnał; śpieszył się do domu: żona leżała chora. Okazało się, że siatka potrzebna była na kiermaszowe zakupy; pan Stanisław miał przed sobą długą drogę, a papierowe torby nie wytrzymały ciężaru książek.

Hawryłylenko poszedł powoli w kierunku Brackiej. Minął pozamykane dziś warsztaty szewskie i ukryte w podwórkach pracownie modystek, zmęczonym krokiem wdrapał się na drugie piętro. Zrzucił ubranie i znów wziął gorący prysznic: najlepszy sposób na upał. Nie ubierając się legł na tapczanie i rozluźnił mięśnie; dobrą godzinę leżał w błogim bezruchu, starając się nie myśleć o niczym. Ale podobnie jak kierowca samochodu jeszcze długo po skończonej jeździe widzi przed sobą ruchliwą wstęgę szosy, tak i jemu przesuwają się przed oczyma twarze spotkanych na kiermaszu ludzi.

Niedzielne, wiosenne powietrze niosło specyficzne zapachy i dźwięki, zdecydowanie różniące się od zwykłych, powszednich. Zapach upalnego, leniwie płynącego dnia, który pod wieczór może zakończyć się deszczem, starych, niegdyś strawionych przez pożar, a teraz odbudowanych domów, świeżo palonej kawy i smażonych serdelków. Radosny dziecięcy tupot na asfalcie, przytłumione odgłosy powszednich domowych zajęć: ktoś chyba naprawiał dziecinny rowerek, a może łóżecko, czyścił dywan odkurzaczem, słuchał lekkiej muzyki w pierwszym programie albo w drugim łowił pełen emocji reportaż z Wyścigu Pokoju — jak dziś jedzie niezrównany Szurkowski.

O wpół do piątej Hawrylenko wstał, ubrał się i bez pośpiechu podążył w stronę Kruczej. Grand przypominał trochę moskiewskie hotele. Wzrok Hawrylenki prześliznął się po zaparkowanych przed wejściem samochodach: jasnozielony obłocony Citroën DS, niebieski Mercedes 220; Ford Taunus z pogiętym lewym błotnikiem; trzy czy cztery Škody 1000 MB. W tym momencie pod hotelem zahamował niepokaźny Trabant, z którego wysiadł Link prowadząc ze sobą smukłą dziewczynę.

— Poznajcie się — powiedział — to moja żona, Nana. To Gruzinka, warszawska Gruzinka. Nanusiu, to pan Hawrylenko.

Podłużna, jakby w srebrze cyzelowana twarz. Zrosnięte w delikatny łuk brwi.

— Hamardzoba — powiedział z szerokim uśmiechem Hawrylenko i uścisnął podaną sobie dłoń.

— Niestety, nie znam gruzińskiego — odpowiedziała. — Nigdy nie byłam w Gruzji. Jestem urodzoną warszawianką. Ale czasem śni mi się ten kraj. Chyba człowiekowi coś zostaje we krwi, prawda?

Ściany sali restauracyjnej były wyłożone złotogłowie: zielone, czerwone i złote liście na ciemnokawo-

wym tle. Ten iście wschodni przepych przypadł Hawryłence do gustu. Link od razu wziął na siebie rolę gospodarza. Jak spod ziemi wyrósł przed nim kelner; Link długo mu coś klarował, kelner stał w pełnym szacunku półskłonie, od czasu do czasu notując coś w bloczku. Hawryłenko zabawiał rozmową Nanę. Szybko znaleźli wspólny temat: samochody. Okazało się, że i oboje Linkowie, i Hawryłenko byli zapalonymi samochodziarzami.

Kelner przyniósł pół litra wódki, sałatkę, a dla mężczyzn dwa befsztyki po tatarsku, czyli, jak mówią w Polsce, „tatory”: surowe, drobno zmielone mięso z jajkiem, które każdy sam przyprawia sobie solą i pieprzem.

— A co z autem? — spytał Hawryłenko pokazując na butelkę.

— Głupstwo! — machnął ręką Link. — Mam sto kilo wagi, pan też chyba niewiele mniej. Przy takim tonażu możemy wypić nawet beczkę. Na bańce jeżdżę ostrożniej. Wszystko będzie OK. W ostateczności poprowadzi Nana.

Wypili ze smakiem: pierwszy toast za warszawskie spotkanie, drugi — za zdrowie Nany, trzeci — za następne spotkanie w Kijowie, czwarty — za zdrowie pięknych pań w ogóle. Rozmowa obracała się wokół samochodów. Przed Trabantem Link miał chyba z osiem wozów: od starego rozklekotanego Opla aż po nową super-rakietę BMW, taką samą, jaką jeżdżą ministrowie w Republice Federalnej. Link kupił to BMW w Monachium, gdzie bawił cztery tygodnie jako gość tamtejszego wydawnictwa.

— Mój dziadek był Niemcem — mówił Link. — Stąd moje nazwisko. Ojca zastrzelili Niemcy. W obozie koncentracyjnym. Niedaleko Monachium. Wujka też. Wzięli go jako zakładnika i rozstrzelali. Ale nikomu z nas nawet nie powstało w głowie pytanie: kim

jesteśmy? Jesteśmy Polakami. Tu się rodziliśmy i tu umierali. W czterdziestym czwartym nosiłem amunicję na barykady. Nie wiadomo, czemu to zapamiętałem, ale pamiętam, jak jeszcze przed powstaniem — w Warszawie był wtedy względny spokój — niemieccy żołnierze szczali po bramach. Stali z butnymi minami zwycięzców odlewając się bez pośpiechu i, przepraszam cię, Nano, śmierzdźli jak knury. U siebie w Niemczech nigdy by im to nie przyszło do głowy. To dobrze wychowani ludzie. Nie spotkałem ani jednego Niemca, który by wchodząc do sklepu nie przytrzymał drzwi, żeby, broń Boże, nie uderzyć kogoś, kto idzie z tyłu. Ich nieszczęście polega na tym, że jako naród są zbyt zdyscyplinowani, wszystko biorą na serio. Powiedziano im: chłopcy, w tym kraju, w Polsce, możecie robić różne świństwa. Wszystko jest dozwolone. Wobec czego śmierzdźli. Teraz przyjeżdżają w nowiutkich Mercedesach: już nie śmierzdźą i nie szczą po bramach. Są uprzejmi, bo im powiedziano: chłopcy, macie się zachowywać uprzejmie. N a r a z i e z a c h o w u j c i e s i ę u p r z e j m i e . A u n a s b y l e g ó w n i a r z , j a k z o b a c z y M e r c e d e s a , g o t ó w p l a c k i e m p r z e d n i m l e ż e ć . N i e d a w n o — w t e d y j e s z c z e m i a ł e m B M W — b y ł e m w O l s z t y n i e . T a m i c h d u ż o p r z y j e ż d ż a z Z a c h o d n i c h N i e m c e c : c h c ą s w o j e d o m y z o b a c z y ć . T y m , c o w t y c h d o m a c h m i e s z k a j ą , m ó w i ą : u w a ż a j c i e , m y t u j e s z c z e w r ó c i m y . Ż e b y t u w s z y s t k o b y ł o w p o r z ą d k u . M a p a n p o j ę c i e ? N o , w i ę c j e d n a p s y c h o p a t k a w t y m O l s z t y n i e w z i ę ł a m n i e z a N i e m c a . N a z w i s k o , m a r k a s a m o c h o d u . . . N i e z d ą ż y ł e m o k i e m m r u g n ą ć , a o n a , p a t r z ę , p r a w i e d o ł ó ż k a m i s i ę ł a d u j e . . . A l e m j e j p u ś c i ł w i ą c h ę p o p o l s k u . . . J a k u s ł y s z a ł a , ż e m r o d a k , p o p a t r z y ł a n a m n i e j a k n a o s t a t n i e g o z a w s z a ń c a . I l e m o g ł a m i e ć ? S i e d e m n a ś c i e , o s i e m n a ś c i e n a j w y ż e j . I c o t a k i e m u k u r w i s z o n o w i m ó w i ć o d u m i e n a r o d o w e j ? A l b o o P o w s t a n i u W a r s z a w s k i m ?

Opodal stał długi stół, zastawiony butelkami i za-
kąskami. Przy stole krzatali się kelnerzy; z wolna zbie-
rali się jacyś starsi panowie. Na ich twarzach malo-
wała się powaga, wszyscy byli niemal zupełnie siwi,
pomarszczeni, w wytwornych ciemnych garniturach;
z kieszonek jak na dyplomatycznym przyjęciu wysta-
wały białe chusteczki. Wielu było przy orderach. Na
znak przewodniczącego wszyscy podeszli do stołu i bez
pośpiechu zajęli miejsca. Kelnerzy rzucili się nale-
wać alkohole. To wstępne stadium bankietu trwało
niedługo i przebiegało w niesamowitej ciszy. Przewod-
niczący wstał trzymając w lewej ręce kieliszek.

— Panowie — powiedział niezbyt głośno (Link, Na-
na i Hawrylenko umilkli i zaczęli się przysłuchiwać) —
jesteśmy szczęśliwi mogąc dzisiaj powitać w Warsza-
wie bohaterów bitwy pod Monte Cassino. Bitwa ta sta-
nowi ważny rozdział w dziejach walki polskiego żoł-
nierza z niemieckim faszyzmem...

Słowo daję — pomyślał Hawrylenko — Monte Cas-
sino! Romantyczna nazwa włoskiego szczytu, gdzie
u stóp niedostępnych murów klasztoru legły w maju
1944 roku setki Polaków z Drugiego Korpusu. Przy-
pomniał sobie słowa pieśni, która już stała się legendą:

*Czerwone maki na Monte Cassino
Zamiast rosy piły polską krew.
Po tych makach szedł żołnierz i ginął
Lecz od śmierci silniejszy był gniew...*

Pieśń rozbrzmiewała z ekranów kinowych i na uro-
czystych koncertach, w knajpach i na wojskowych
cmentarzach, gdy w Święto Zmarłych wspominano
tych, co odeszli.

— Tu ma pan temat na nowelkę — powiedział. —
Obok nas — sama historia.

— Raczej na małą tragedię narodową — smutno

uśmiechnął się Link. — Proszę spojrzeć, jacy to starszuszki. Dla wielu z nich Monte Cassino brzmi dziś jak Waterloo.

— Witamy wszystkich, którzy przyjechali do nas, aby uczcić dwudziestopięćciolecie bitwy pod Monte Cassino. Witamy was, drodzy rodacy, witamy tych, którzy przybyli ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, z Włoch i Anglii, z Niemiec Zachodnich i Francji — mówił dalej przewodniczący. Jego prawy rękaw zwiślał nieruchomo: spod mankietu wyglądała czarna proteza.

W sali panował zwyczajny obiadowy hałas: uwijali się kelnerzy, szczękały naczynia zbierane przez pikolaków na wózki, ktoś, widocznie pod dobrą datą, rechotał głośno. Gromadka skupionych, małomównych mężczyzn za bankietowym stołem nie zwracała niczyjej uwagi.

Nana pytała o Kijów i o stare ikony. Jest artystką, interesuje się staroruskim malarstwem. Nie, jeszcze nie była ani w Moskwie, ani w Kijowie. Dopiero na jesieni wybierają się z Andrzejem do Związku Radzieckiego. — Jakie piękne ręce ma ta dziewczyna — myślał Hawrylenko. — Do twarzy jej w tej białej sukni pokrytej delikatnym srebrzystym haftem.

Przy stole, gdzie siedzieli weterani, zrobiono przerwę na papierosa. Starsi panowie wstawali, zapalali papierosa. Link uregulował rachunek dodając hojny napiwek; kelner kłaniał się i dziękował. Zaczęli zbierać się do odejścia. W pobliżu, oparty o kolumnę, stał szczupły staruszek i palił papierosa; wyglądał, jakby nie miał przednich zębów.

— Przepraszam — zwrócił się do niego Link — pan też był pod Monte Cassino?

— A jakże! — odparł stary. Musiał chyba mieć nieźle w czubie, bo zacinał się trochę i mrugał zaczerwienionymi oczkami. — Myśmy, panie, szli na tę prze-

klętą górę w nocy. Jak przyszło do walki wręcz w okopach, to już nikt nie wiedział, gdzie nasi, a gdzie Niemcy. Tam, panie, takie rzeczy się działy... Mojemu przyjacielowi, Tomkowi Żeglickiemu, to całą twarz łopatą zsiekali jak tatara. Od samego Saratowa w jednym oddziale żeśmy szli.

— To pan był w Saratowie? — spytał Hawrylenko.

— Tak, proszę pana. Na początku czterdziestego drugiego.

— Ja też byłem w czterdziestym drugim w Saratowie — powiedział Hawrylenko. — Mały wtedy byłem, chodziłem do pierwszej klasy. Pamiętam polskie wojsko. Zielone, angielskie płaszcze i furazerki. Niedaleko od nas był wasz sztab. Oficerowie nosili wysokie, wyglansowane buty.

— Tam były mrozy! Oba policzki sobie odmroziłem. Zawsze, jak tylko zrobi się zimno, zaczynają mnie boleć i od razu przypomina mi się Rosja.

— A gdzie pan teraz mieszka? — spytał Link.

— W Stanach Zjednoczonych, stan Massachussets. Mam własny motel.

— Nie tęskni pan za Polską?

— E, panie — stary z goryczą machnął ręką. — Wie pan, jak to mówią: tam Polska, gdzie choć jeden Polak. Ile ja tych Polsk już miałem: Saratów, Taszkient, Iran, Monte Cassino... Moje dzieci to już Amerykanie. Ot, przyjechałem zobaczyć Warszawę. Pewnie ostatni raz w życiu.

Hawrylenko i Link skinęli głowami. Stary trzymał w palcach niedopałek, z zakłopotaniem rozglądając się za popielniczką. Wyszli na ulicę. Pachniało nadchodzącym deszczem. Przedwieczorny chłód kojąco kładł się na miasto, tu i ówdzie zapalały się neony.

— Boże, jak pięknie — Nana głęboko wciągnęła w piersi wiosenne powietrze.

— Żeby tylko jakimś młokosowi nie wpadło do

głowy zaśpiewać *Czerwone maki* — powiedział Link.

Siadł za kierownicą. Wolant był niewielki, jak w rajdowych maszynach, o średnicy nie większej niż trzydzieści centymetrów. Lewarek zmiany biegów też był jakiś śmieszny, nie taki, jak w innych samochodach.

— Drzwiczki zamknięte? — spytał Link. — Naniu, sprawdź. Niech się pan trzyma, panie Hawrylenko. Pokażę panu, co to jest Trabant, ile znaczy napęd na przednie koła. To doskonale wyważony wóz i znakomity na wirażach.

Samochód skoczył do przodu i zaczął się obłądny wyścig po ulicach Warszawy. Hawrylenko siedział obok Linka, Nana skuliła się z tyłu. Nie było jej tam wygodnie: długie nogi z trudem mieściły się między siedzeniem a oparciem przedniego fotela. Hawrylenko od razu zorientował się, że Link, mimo iż po wódce, prowadzi bezbłędnie i pewnie jak zawodowy rajdowiec.

— A jak trafimy na milicję? — spytał.

— To uciekniemy — spokojnie odpowiedział Link. — Nie dadzą nam rady.

Trabant wypadł na Nowy Świat i jak rakieta pomknął w kierunku Starego Miasta. Dwutaktowy silnik ryczał jak motocykl bez tłumika. Przemknęli jak wichher pod Barbakanem i wpadli na Rynek Nowomiejski płosząc ludzi, którzy przechadzali się po brukowanym placu. Zjechali nad Wisłę, po lewej mignęła posępna bryła Cytadeli, przelecieli jeszcze z pół kilometra, po czym Link zademonstrował ostry zakręt w lewo przy szybkości osiemdziesięciu kilometrów. Siła odśrodkowa, zupełnie jak w samolocie, gwałtownie przycisnęła Hawrylenkę do drzwiczek. Biorąc zakręt Link wykonywał nieznaczne ruchy kierownicą, trochę popuszczał i znów odrobinę ściągał w lewo.

Szybka jazda, ostre zakręty, gwałtowne przyspieszanie i wyprzedzanie na głównych ulicach wywoływały

u Hawrylenki niemal fizyczne uczucie radości. To było jeszcze jedno oblicze tego długiego dnia.

— Panie Hawrylenko — odezwał się Link rozparty wygodnie za kierownicą — jak ktoś panu powie, że Polacy to naród romantyków, niech mu pan w gębę napluje. Gównu warte te wszystkie wielkie słowa. Niech pan pomyśli! Najpierw tworzymy piękną legendę, Monte Cassino, ronimy łyż słuchając pieśni o czerwonych makach, potem sami gorzko się z tego śmiejemy, kpimy z ułańskich szarzy i z tych czerwonych maków, bo co, do cholery, takiego Tomka Żeglickiego obchodziły czerwone maki, kiedy mu w nocy rąbali twarz łopata. Śmiejemy się i kpimy z naszych świętości — taki już mamy charakter. My nie Niemcy, żeby wszystko brać na serio. Lubimy kpić z samych siebie. Ten, kto nie zna naszej historii, myśli, żeśmy kapryśni, nieźrównoważeni, histeryczni. Ale, panie Hawrylenko, gdybyśmy byli inni, nie mielibyśmy tego wszystkiego — pokazał ręką na horyzont, gdzie wznosiły się dziesięciopiętrowe bryły nowych bloków mieszkalnych. — Bo czymże z punktu widzenia zdrowego rozsądku jest taki 1863 rok? Szaleństwo! Kilku szlachty zamierza wznieść w Kijowie powstanie przeciw carskiemu garnizonowi! Czyste szaleństwo! Gdzie sens, gdzie logika?

Zaczęło kropić. Nagle świat stał się przejrzysty, jak ze szkła, i czysty: nadeszła najpiękniejsza godzina dnia: pora deszczowego odpoczynku, samotności wyludnionych ulic, zieleni drzew, świeżości powietrza, porozumiewawczego mrugania świateł na skrzyżowaniach...

Równie dobrze moglibyśmy teraz jechać przez Kijów: taki sam deszczowy wieczór, to samo skrzypienie wycieraczek, zamiatających przednią szybę, ten sam połyskujący bruk na bulwarze Łesi Ukrainki: pod górę trzeba wrzucić trójkę, delikatnie dodając gazu, bo wóz może zarzucić — kijowska jezdnia w czasie

deszczu jest podstępna i niebezpieczna; nagle, na prawo, zaułek niedostrzegalny dla obcego, tu trzeba skręcić, chcąc trafić na stare mury szpitala; to stara kijowska twierdza, która nigdy nie była twierdzą; oto fosa, w której nigdy nie było wody; oto zwodzony most, który nigdy nie służył do obrony przed wrogiem; wąskie strzelnice w ceglany murze — z nich także nigdy nie strzelano; a teraz, proszę państwa, przechodzimy nieco dalej, najwyżej sto metrów, glina jest mokra, ostrożnie, pani Nano, proszę mi podać rękę — jakże atlasową dłoń ma ta srebrzysta kobieta! — jeszcze kilka kroków, to już blisko. Wysoki ziemny wał, mokra trawa, niebo jak na obrazach Fragonarda, zakratowane wejście do lochu, wygląda to jak schron przeciwlotniczy albo piwnica na wino. Nic z tych rzeczy. Tutaj trzymano ludzi: na pewno słyszeli państwo o tak zwanej Peczerskiej Twierdzy. Co dalej? Mamy dwie możliwości: można wejść na ziemny wał, wówczas otworzy się przed państwem panorama Kijowa. Na pierwszym planie drzewa, w dole centralny stadion, a dalej — szare skupiska domów na Besarabce. Teraz widzicie, że to miasto można kochać tak samo, jak wy kochacie swoją Warszawę... U stóp wału, po zewnętrznej stronie widać krągłą budowlę — to XIX-wieczna twierdza: wąskie, zakratowane okna-strzelnice, tuż pod murami w martwym, jak by powiedział artylerzysta, polu ostrzału sielankowe rosarium i ławeczki dla zakochanych; tak, proszę państwa, jeśli ktoś chciałby spotkać się z dziewczyną, całować się, a może robić coś innego tak, żeby nikt nie widział — w całym Kijowie nie znajdzie lepszego miejsca. W słoneczny dzień młode mamy przywożą tu w wózkach swoje pociechy, poją witaminizowanym mlekiem, spacerują, czytają. Obok tętni gwarem olbrzymie miasto, tu — pełny spokój i cisza. Ale jeśli nie chcą państwo od razu wdrapywać się na ziemny wał (można to zrobić

później), mogę zaproponować coś innego, to właśnie, po co was tu przyprowadziłem: wejdźmy w te drzwi, zstąpmy do lochu: oto długi korytarz ukryty pod nasypem, przypominający podziemne przejście między stacjami metra; jesteśmy we wnętrzu Peczerskiej Twierdzy.

Tak, teraz sobie państwo przypominają: nie było powstańca z 1863 roku, który by nie słyszał o tym strasznym miejscu; tu ginęli więźniowie polityczni, tu rozwiewały się złudzenia, a zaczynało się plucie krwią. Wejdźmy pod półokrągłe, niemal klasztorne sklepienia, zajrzyjmy do cel; tu już nikt nie patrzył, gdzie żupan, a gdzie prosta siermięga. Teraz wszystko odrestaurowane, wnętrze zamienione na muzeum, rzekłbyś, przyjazne: świeżo heblowane podłogi, nowiutkie żelazne łóżka wykonane w wyspecjalizowanych — może teatralnych — warsztatach, nawet czerń korytarzy odbiera się jak jeszcze jeden pomysł artysty-dekoratora; nie słyhać brzęku kajdan; na dworze upał, tu w Baszcie Północnej miły chłód; w smrodliwej celi, gdzie na brudnych narach poniewierało się stu pięćdziesięciu powstańców dziesiątkowanych przez dyzenterię i gruźlicę, teraz można urządzać koncerty muzyki organowej albo ekspozycje współczesnej grafiki. Koło historii nigdy się nie cofa; dziś nie potrafimy już sobie wyobrazić, dlaczego przeklinał to miejsce każdy, kto choć raz tu trafił, i czemu Peczerska Twierdza weszła do historii powstania 1863 roku? Przez te z górą sto lat ludzkość zdążyła wymyślić wiele ciekawych rzeczy: streptomycynę i PAS (oto dlaczego nie możemy zrozumieć śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakie ziało z tych murów na szlachecką młodzież), krematoria Auschwitzu i wymuszanie zeznań prądem elektrycznym (oto dlaczego nie robią na nas wrażenia ciasne cele i kraty w oknach). Ale, proszę państwa, tu, w tych murach siedział mój pradziad, Dominik Słonimski, tu oślepl.

i tu, w Kijowie, osiedlił się na stałe po wyjściu z twierdzy. A co najdziwniejsze, drugi mój pradziad — Prokop Hawrylenko — też widział, jak przywożono tu pierwszych polskich powstańców. Służył wtedy jako prosty żołnierz w carskiej armii, strzegł Peczerskiej Twierdzy przed wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym. Wrogowie z zewnątrz jakoś nie nadchodzili — daleko mieli do Kijowa — więc moi dziadkowie nie mogli, powiedzmy, spotkać się z pańskim, panie Link; za to wrogów wewnętrznych miało imperium aż nadto, jak każde prawdziwe imperium. O czym mogli rozmawiać moi dziadkowie, kiedy los zetknął ich ze sobą w Peczerskiej Twierdzy? Czy śniło im się, że ich krew będzie kiedyś ożywiać jedno serce?

Było już całkiem ciemno, gdy Trabant wpadł na rozległy plac przed Teatrem Wielkim. Nad placem, nad całym miastem unosiła się oświetlona reflektorami kobieta o gniewnym obliczu, z karzącym mieczem w ręku — warszawska Nike, bogini zwycięstwa i zemsty. Krople deszczu spływały po jej twarzy, mroczna noc wyzierała z szeroko otwartych oczu, wzniesiony miecz lśnił chłodno. Hawrylenko pomyślał, że on sam i jego towarzysze mają jeszcze przed sobą kawałek drogi i trzeba uważać, żeby auto nie wpadło w poślizg na mokrym asfalcie.

Zrobiło mu się smutno na sercu. Zaczął żałować, że nie zna słów pieśni, którą śpiewano mu tamtej nocy na kozalińskim dworcu — o Kozaku, który odszedł od stron ojczystych i nie wiadomo, czy wróci.

Tłumaczyła Tatiana Hołyńska

Zielony świat

1

Szurając obrzynkami walonków podeszła do drzwi. Wsparłszy się o futrynę rozkraczyła nogi i zgięta wpół przywarła okiem do dziurki od klucza. Po tamtej stronie roztaczał się zwykły, najzwyklejszy świat: porośle rezedą zbocze, pagórek, na pagórku zakład przyrodoleczniczy, niżej wianuszek chat wokół wspólnego podwórza i kilka domów stojących przy drodze. Na podwórzu dwie baby: jedna z wiadrem na pomyje, druga — z torbą na zakupy. W sadzie za płotem gołębnik, przy którym puzaty chłop z sumiastym wąsem wywijał długą tyką. Gołębie trzepotały skrzydłami, ale nie kwapiły się do lotu. W górze niebieskie jak kisiel niebo ze śmietankową chmurką w środku. Gołębie kołowały coraz szerzej, już nie mieściły się w owalu dziurki.

Miała już tego dość — jak długo można gapić się na to samo? Pleciugi rajcowały pewnie od bożej dawności. Chłop przestał wywijać tyką, stał uśmiechając się pod wąsem. Gołębie wzbily się wysoko. Chłop we tknął w sumiaste wąsy biały patyczek, w palcach błysnął żółtawy płomyk. Po chwili nad jego głową zakółysała się siwa czapa dymu.

Splunęła ze złością, choć kosztowało ją to trochę wysiłku: spróbuj splunąć nie odrywając oka od dziurki od klucza. Z tego wszystkiego zaczęło łamać ją w krzyżu, nogi w obrzynkach walonków pociły się, wsparte o futrynę ręce drżały jak w febrze. Ale nie

chciała opuścić posterunku; w owalnej dziurce nadal tkwiły naprzeciw siebie: nieruchome oko i zielony świat.

Baby na podwórzu bezgłośnie poruszały wargami — najpierw jedna, potem druga, potem obie naraz. Wąsacz w siwej czapie dymu wsunął rękę pod koszulę i leniwie czochrał kudłatą pierś. Obok stał z zadartą głową płowowłosy chłopak.

Nie mogła już znieść ani tego chłopca, ani tych rajcujących bab. Jakby wrosła w ziemię; tylko patrzeć. a zamienia się w drzewa. Na jej czole pojawiły się kropelki potu; nawet nie było jak się obetrzeć, obie ręce zajęte; oko nadal trzymało na uwieży roztaczający się po drugiej stronie krągły krąg świata. Pod przezroczystą chmurką krążyły gołębie, białe skrzydła migotały w słońcu.

Nagle jej zgiętym ciałem wstrząsnął dreszcz. W owalu dziurki pojawiła się nowa postać. Wysoka ciemnowłosa kobieta sunęła wzdłuż płotu łyskając szklami okularów, pod pachą wypchana torba, w ręku biały stos listów, przewiązany papierowym sznurkiem. Stała przy furtce patrząc w stronę chaty. Oba spojrzenia, to zza płotu i tamto zza drzwi, jakby zderzyły się ze sobą. Starucha odskoczyła, na ustach mignął przelotny uśmiezek, drobna zmarszczka na gładkiej tafli wody; co tchu podreptała do sąsiedniej izby. Z tego pośpiechu sapka ją złapała; dysząc ciężko przysiadła na krągłym zydelku. Spod przymrużonych powiek strzeliła chytra iskierka: w drzwi już dudniła ciężka pięść. Wciągnęła głowę w ramiona, odczekała chwilę i ochryple, cienko, jak nieopierzona wrona, kraknęła:

— Proszę, proszę!

W sionce rozbłysła podwójna latarenka; na progu stanęła wychudła, czarno odziana postać świecąc sobie okularami. Może za sprawą tych światełek, a może wrześnieowego nieba, co w pełnej krasie stało za ple-

cami doręczycielki — w starej zaczęła się dokonywać czarodziejska przemiana. Stawała się krągłą, jak jej własny zydelek, niebieskie oko patrzyło dobrodusznie, pcmarszczona twarz robiła się podobna do przejrzałego jabłuszka, rozczesane na boki siwe włosy lśniły jak srebro, na ustach wykwitał pogodny uśmiech. Izdebka tonęła w słońcu; promienie tworzyły wokół starej świetlistą aureolę. Usłużnie podsunęła swój zydelek gościowi — w izbie był tylko jeden stół. Doręczycielka jakby nie zauważyła czarodziejskiej przemiany; nadal tkwiła w progu łyskając zimno okularami.

— Wyście Humeniukowa? — padło lodowate pytanie.

— Ja, córciu, ja — zaszemrało pokornie z kąta.

— Renta! — oficjalnie oznajmiła doręczycielka. Ciężkim krokiem podeszła do stołu i usiadła. Zalała ją słoneczna ulewa. Może to właśnie stopiło jej chłód; surowe rysy rozpogodziły się, w kącikach ust przycupnęły zajączki zmęczenia. — Chodźcie, babciu, forszę liczyć!

— Czy to ja ci nie wierzę, he, he, he! — załamała rękę starucha. Zaszyta w kąt wysunęła szyję, szyja pociągnęła za sobą policzki, krągłość i dobroduszność znikły bez śladu. Jastrzębi wzrok śledził z uwagą każdy ruch doręczycielki, wargi poruszały się bezgłośnie licząc spadające na stół papierki.

— Podpiszcie! — błysnęła okularami doręczycielka.

Wysunięta głowa błyskawicznie wróciła na swoje miejsce; w kącie znów tkwiło świetliste wcielenie krągłości i dobroduszności.

— Ach, podpisać! — pisnęła żałośnie i zatupała po izbie. Nogi w obrzynkach walonków zdawały się wykonywać jakiś dziwaczny taniec. Schyliła się nad komodą, zajrzała pod niski stoliczek, otworzyła szafę i zaczęła gmerać na górnej półce. — To dopiero bieda, oj, bieda! — szeleściła pogodnie. — Ki diabeł z tymi oku-

larami? Zawsze, córciu, mam z nimi zgryzctę, niech je... — odwróciła się i strzepnęła rękami. — Jakby się pod ziemię zapadły! Może byś, córciu, sama podpisała, przecie ja ci wierzę...

Znad stołu zimno błysnęły okulary. Surowa twarz jeszcze bardziej stężała, z kącików ust znikły zajęczki zmęczenia. Przyjazne miny i słodkie uśmiechy nie robiły na doręczycielce żadnego wrażenia.

— Znajdźcie wy lepiej, babciu, te okulary. I pokażcie mi swój dowód.

— Ale z ciebie Tomasz niewierny! — plasnęła w ręce i znów puściła się w taniec po izbie. Zajrzała pod stół, podreptała do drzwi, zerknęła pod niski stoliczek. W końcu na dobre utonęła w szafie. Trwało to w nieskończoność. Doręczycielce znudziło się wodzić za nią oczyma, zaczęła wyglądać przez okno. Za oknem rozpościerał się skąpany w słońcu świat. Nagle wydało jej się, że płynąca opodal rzeka i stojące na drugim brzegu pagórki rozplywają się gdzieś i że widzi swój dom. Po zielonej łące toczyła się niebieska piłka, za piłką uganiał czarnowłosy chłopaczek, podobny do matki jak dwie krople wody, tyle że bez przyczajonych w kącikach ust zajęczków zmęczenia. Pokrzykiwał coś z przejęciem, wytrzeszczał oczy i szeroko rozdziawiał buzię.

— No i jak będzie, babciu? — ocknęła się nagle. Odwróciła głowę i oniemiała. Sunąca w jej stronę postać w niczym nie przypominała krągłej i dobrodusznej babuleńki. Człapiący krok, wydłużona szyja, zaciśnięte jak sznurek wargi. Schowane za okularami oczy zdają się wielkie i czarne jak bezgwiazdna noc, sine palce kurczowo ściskają wytarty, posklejany dowód.

— Nie masz ty, córciu, sumienia — zrzędzi chropawy głos. — Widzisz, ile się musiałam naszukać! Podpisałabyś za mnie i po krzyku. Czy to my nie ludzie?

Czy ja tobie nie wierzę? No, gdzie tu trza podpisać?

Dowód pada na stół. Stwardniała dłoń niezgrabnie ujmuje pióro.

— Mnie tam, babciu, nie pilno — nie podnosząc głosu mówi doręczycielka. — A podpis ma być tutaj. Tylko wyraźny, taki sam jak w dowodzie...

. Czarne źrenice wpijają się w nią jak żelazne odłamki. Doręczycielce mrowie przebiega po plecach. Wstaje ustępując miejsca starej i otwiera dowód.

— No, właśnie, babciu — mówi z naciskiem. — Przyjrzyjcie się dobrze, jak to wygląda tutaj, i podpisujcie tak samo. I sprawdźcie, czy suma się zgadza.

2

Pierwsze, co do niej dociera, to lodowaty spokój. Bezwładnie tkwi na krągłym zydelku, niczym stos luźnych, ciężkich brył. Oczy przypominają dwa krągłe guziki, w czarnych źrenicach pełga martwe światelko. Nos znowu przypomina kartofel, zaciśnięte wargi łagodnieją, jak wydłuża się i wygładza topniejący sopel. I choć guziki oczu wciąż świecą martwym blaskiem, w drżących kącikach ust już czai się uśmiech. Znow widzi przed sobą doręczycielkę. Ale jakże odmienioną: malutkie, chudziutkie stworzenie, prawie dziecko, z dwiema kokardami wplecionymi w mysie ogonki. Czarne ogromne oczy i jeszcze większa torba. Stara nie może wyjść z podziwu: jak żyje, nie widziała tak zabawnej urzędniczki. Kruszyńska idzie przez izbę, wtedy tak samo jak dziś tonącą w słońcu, melodyjny głosik woła:

— ...eń dobry, babuniu! Rentę przyniosłam, ren-tę!

To „ren-tę” brzmi niemal jak piosenka. Stara pta-sim ruchem pochyła głowę na bok, głos odzyskuje dzwieczność, pieszczotliwe słówka sypią się jak z rogu

obfitości. Kiedy przychodzi do szukania okularów, zaczyna zwawo krzątać się po izbie; nie nogi ją unoszą, ale miękkie łapki, z tyłu powiewa puszysta kita, chytry pysk przystraja związana pod brodą biała chustka, rozciągnięte w lisim uśmiechu wargi znikły: pod wydłużonym nosem widnieje ledwie dostrzegalna czarna kreska.

— Dajcie spokój, babuniu! — dźwięczy cieniutki głosik. — Podpiszę za was. Nie trapcie się już o te okulary.

Pióro muska papier, jak jaskółka taflę wody, dziewczynka kręci strojną w kokardy główką.

— Och, babuniu, całkiem tak sama mieszkacie? Oj, bieda na was przysła, bieda!

Krągła, cichutka, ze srebrem we włosach starowinka wygląda jak wcielenie bezradności. Niebieskie łyzy jak groch toczą się po policzkach. Sama jest, sama na świecie. Jakby nie ta kruszynka z ogromną pocztową torbą, nie miałyby kto nawet uzalić się nad nią. Sama jest, jak ten paluszek, nie ma kto wody jej podać, łyżki strawy uwarzyć... Ale lisie oko zezuje czujnie, wargi poruszają się bezgłośnie licząc padające na stół banknoty...

Bezwładnie tkwi na krągłym zydelku, martwe oczy przypominają guziki szmacianej pacynki, z wpółotwartej gęby toczą się czarne, skrzekliwe, krągłe dźwięki-pileczki. Skrzekliwy śmiech wypełnia izbę. Pod powiekami jawi się budynek poczty, w środku owa kruszyna, ale już bez kokard, ściągnięte gumką włosy spadają na kark. Nie widać ani ogromnej torby, ani przewiązanej sznurkiem paczki listów. Dziecinna główka chwieje się smętnie, z oczu toczą się łyzy wielkie jak groch.

— Jakże to tak, babuniu złociutka? Jak mogliście zapomnieć? Przecie sama byłam u was z tą rentą, przyniosłam...

— Bóg mi świadkiem — powtarza potulnie. Małe oczki świdrują zalaną łzami twarzyczkę. — Bóg mi świadkiem — ciągnie głośniej — nijakiej renty na oczy nie widziałam. Klnę się na święty krzyż; niech mnie grom spali, jeśli coś dostałam! Niech mnie pokręci, niech się z tego miejsca nie ruszę! Czekam i czekam, w końcu myślę: nie ma co, pójdę! Ciężko mi już pod tę górę — oko staruchy zachodzi mętą łzą — ale lezę; choć i starowinka, ale jeść musi.

Głowina chwieje się bezradnie, lśnią ściągnięte gumką włosy; wszystko przyćmiewa jednak blask ogromnych oczu, w oczach wielkie łzy...

Potem znów idzie ulicą. Sękaty kostur twardo uderza o asfalt. Wydłużona żylasta szyja, obwisłe policzki, w posępnej twarzy nieruchome guziki oczu. Nie serce kołacze w piersi, lecz głaz, a tam, gdzie wargi, widać tylko cienką, twardą krechę.

3

Wyniosła zydelek na przyzbę. Usiadła wyciągając przed siebie nogi w obrzynkach walonków i otuliła się w stary płaszcz z wyleniałym kołnierzem. Zdawała się drzemać, ale od czasu do czasu wszystkowidzące spojrzenie omiało rzekę i stojące na drugim brzegu żółte pagórki. Słońce toczyło się coraz niżej, właśnie przystało na szczycie pagórka; przez chwilę wydawało się, że pagórkowi wyrosła druga głowa. Schowała dłonie w rękawy, gdzie dwa półgarstki wyleniającej sierści udawały mufkę. Umościła się wygodnie, plecy odnalazły odwieczne, wytarte do połysku miejsce na ścianie. Usnęła twarz, spał wydłużony, trupio siny nos pokryty szarymi plamami, spały brwi. Tylko czasem spod uchylonych powiek błyskało zielonkawe światelko. Dokoła cisza i spokój.

Opodał chaty wisienka. Lubiała patrzeć na rudziejące liście. O zachodzie wisienka płonęła jak stos bierwion. Przyjemnie grzać się przy tym złudnym ognisku: myśli, jeszcze przed chwilą sztywne niczym druty, robiły się miękkie jak puszyste kłębki waty włóczące się po niebie. Powoli wszystko zaczynało wyglądać jak tam, na niebie, świat stawał się jasny i niebieski. Ogromna pustynia też była zupełnie niebieska. Wszystko wokół zamarło, nawet ziarenko piasku nie zaszeleściło. Pustynią ciągnęła ognista cisza, czasem tylko omiatana zielonym błyskiem czujnego oka.

Drogą przechodził człowiek. Niewysoki, w granatowym palcie. Zdziwił się widząc sterczące zza płotu straszydło w wyleniałym kołnierzu. Obejrzał się raz i drugi, dziwny żal ścisnął mu serce. Może się przeląkł bezmiernej pustyni, a może serce miał litościwe?

Jakby ukłuta spojrzeniem, odwróciła się nagle. Ale wszystko, co zobaczyła, to granatowy płaszcz, wątle ramiona i nasunięty na uszy kaszkiet. Nieznajomy oddalał się szybkim krokiem, śmiesznie wymachując rękami.

Jej oczy znów stały się czarne i martwe, rozchyłone wargi zacisnęły się. Tyle właśnie zobaczyłby ów człowiek, gdyby przypadkiem przyszła mu ochota jeszcze raz zerknąć za siebie.

Powoli, niechętnie dźwignęła się z zydelka, z trudem prostując zeszywniałe kości. Wzdrygnęła się, jakby ogarnięta przenikliwym chłodem i zerknęła w górę. Z dachu chatki sterczał okopcony komin. Na wpół zgięta pokuśtykała do szopy, w drzwiach obejrzała się jeszcze: wianuszek chałup po dawnemu otaczał podwórze, gdzie rano wrosły w ziemię rajcujące pleciugi.

Teraz były to już rozłożyste pożółkłe drzewa; wiadro na pomyje przedzierzgnęło się w psią budę, z budy wyzierała czarna mordą; torba na zakupy wybrzuszyła się w biały okrągły grzyb. Pod drzewami siedziały

dwa melancholijne chłopcy otoczone pięciogłowym wianuszkiem dzieci. Po chwili dzieciaki rozprysły się jak stadko kurcząt i popędziły bawić się na drodze. Chłopcy melancholijnie wyciągnęły z pobliskiej chaty stół, jeden przytaszczył jakąś skrzynkę, drugi zydeł; melancholijnie zasiadły pod drzewami. Niebawem doleciał stamtąd głośny grzechot domina. Z wolna twarze chłopów wypogodziły się. W górze jednostajnie szumiały liście. Obydwa drzewa uroniły zieloną łezkę; wirujące łezki-listeczki spadły wprost w grzechoczące kostkami domina dłonie graczy.

Z gardła staruchy toczyły się czarne, skrzekliwe, ledwie dosłyszalne dźwięki-pięteczki. Ale śmiech zamarł jak nożem uciął: sapiąc astmatycznie drogą szła wysoka, tęga kobieta z pustymi wiadrami. Dwa spojrzenia skrzyżowały się, twarze zaokrągliły i złagodniały, rozlało się na nich słodkie mleko uśmiechu, ta sama mleczna słodycz wypełniła oczy. Świat zniknął za mleczną zasłoną.

Za drzwiami szopy zgięte plecy staruchy wyprostowały się nagle, żylasta szyja wyciągnęła się, rysy stwardniały, na twarzy odmalowała się odwaga i upór. Sękata dłoń uniosła ciężką siekierę, błysnęło ostrze, mocarne uderzenie rozłupało pniak, aż posypały się drzazgi.

4

Potężne kłęby zawracały z komina, wylewały się przez drzwiczki, sączyły z popielnika. Smużyła każda szczelina. Z pieca wyskakiwały dymnosiwe ludziki kreśląc na ścianach taneczne esy-floresy. Krztusiła się, jakby cała była z tego dymu; chrapliwy kaszel wypełniał izdebkę. Czy to możliwe? Chatynka zrobiła się jakby jeszcze mniejsza, na kurzych nóżkach skacze

z chmury na chmurę; stara leży na piecu, otwarte usta z trudem łapią powietrze.

Skrzypnęły okienka: jedno, potem drugie. Dym zakotłował się, wypłynął na dwór. Mężczyzna w granatowym płaszczu obejrzał się — chatkę spowijał bury kłęb, w którym tajemniczo błyskały czerwone listki wisienki.

Zapadał zmrok. Rozsiane wzdłuż drogi, przycupnięte u stóp zbocza, wspinające się na drugi brzeg Kamionki chaty smużyły dymem. Siwe pasemka kołysały się nad ziemią, wtapiały w idący polami zmierzch. Ciemność spowijała rzekę i tylko jakieś uparte czołno snuło się jeszcze tam i z powrotem. W czołnie dziadek w brezentowej kurtce i kapeluszu z oberwaną wstążką. Wyciągał z toni sieci, lśniły srebrzyście podługowate brzany. Czarne spracowane dłonie chwytaly łup i ciskały na dno łódki — staruch zapomniał zabrać z domu wiadra. W czołnie wody po kostki, brzany tłukły ogonami, ochlapowały dziadkowi gumiaki.

Wyszła na próg, otulona w płaszcz z wyleniałym kołnierzem, ziębnięte dłonie schowała w rękawy, gdzie dwa wyleniałe półgarstki sierści udawały mufkę. W zapadającym zmierzchu przypominała szary, lekki jak powietrze kłębek: tylko patrzeć, a oderwie się od ziemi i wzleci w ciche wieczorne niebo. W górze powoli wschodził księżyc, obok mrugała mała gwiazdka. Z ciężkim westchnieniem podeszła do furtki. Kragłe oblicze tchnęło życzliwością, głowa schowana w ramiona, oczy myszkowały po obejściach — za wszelką cenę przydybać cokolwiek, co nosi portki.

Kilka takich postaci tkwiło przed chałupami, niektóre siedziały na ławce, te pod drzewami zdążyły nawet zawiesić nad stołem lampę i dalej łupały w domino. Opodal coś odzianego w portki zamiatało podwórze; migala miotła, kurz kołysał się jak dym. Inny stwór dźwigał chlapiące wodą wiadra; jeszcze inny

przemknął na motorze — tkwił na siodełku sztywno, jakby kij połknął. Patrzyła na to dziwaczne plemie, głowa chwiała się jej leciutko. Właśnie wylądował na niej krasnal; zwinął maleńki jak puch mlecza spadochron, włożył w ucho i zagłębił się w kręty labirynt szarych komórek. To właśnie była owa jedna jedyna myśl, co tak uparcie kołatała się w głowie: okna w chałupie otwarte na oścież, całe ciepło ze szczętem wywieje.

— Dobry wieczór! — zaśpiewała cieniutko widząc przesuającą się opodał nalaną twarz. W ustach zjawy tkwił dymiący patyczek, niczym komin żywego dwunożnego pieca. Zjawa przyjrzała się jej bacznie, burknęła coś pod nosem i zaczęła szybciej przebierać nogami. — Słuchajcie, dobry człowieku... — Ale dobry człowiek nie słuchał. Rozpłynął się w mroku, jakby nigdy nie istniał, tylko zawiesisty odór machorki wisiał w nieruchomym powietrzu. Oczy staruchy zwięzły się jak szparki i zaświeciły zielono.

5

Kuśtykała drogą. Sękaty kostur twardo uderzał o ziemię, której gruba warstwa przysłaniała bruk. Wydłużona żylasta szyja, obwisłe policzki, w posępnej twarzy nieruchome guziki oczu. Nie serce kołatało w piersi, ale głaz, wargi zupełnie znikły — cienka i twarda krecha nijak, zwłaszcza po ciemku, nie przypominała ust.

Wziął ją w jasyr rozhukany tabun rowerzystów — piątka z jednej strony, piątka z drugiej. Jak na komendę chłopaki wydały chóralny wrzask i pognały w zawody z nadchodzącą nocą, migotało dziesięć ledwie widocznych lampek...

Nie zwracała na nich uwagi, z uporem kroczyła przed

siebie, sękaty kostur twardo uderzał o ziemię. Z jakiegoś obejścia wyleciała piłka i potoczyła się aż na drogę. Za piłką wybiegło w podskokach dziesięć rozbawionych dziewczynek. Jak pastelowe motyle powiewały skrzydła czerwonych i niebieskich płaszczyków, mieniły się czerwone i niebieskie kokardy. Smukła, najładniejsza dziewczynka złapała czerwono-niebieską piłkę; stadko rozprysło się z dźwięcznym, sikorzym szczebiotem i znikło w obejściu.

Nie zwracała na to uwagi; niezmordowanie kroczyła przed siebie; stukał sękaty kostur. Słyszając dziewczęce trele, uniosła tylko głowę i zaczęła bacznie wpatrywać się w gęstniejącą ciemność. Opodał jakiś stwór w spodniach gapił się na rzekę. Pod jego nosem jarzył się różowy punkcik. Poczowała szybsze uderzenie serca: może to on, dobry, kochany człowiek, może to on wybawi ją z kłopotu. Skuliła się i zaokrągliła, po chwili przed furtką stanęło istne wcielenie łagodności.

Szczeciniasty zarost na brodzie chłopca był gęsto przetykany srebrnymi nitkami. Niedopałek rozżarzoną łuką spadł w trawę rozsypując koralowe iskierki. Mężczyzna położył rękę na furtce. Chwyliła go za rękaw.

— Dobry wieczór! — powiedziała ochryłym głosem. — Mam do was prośbę, sąsiedzie.

Chłop popatrzył na nią pytająco, ale zaraz czarne, puste spojrzenie powędrowało gdzieś w przestrzeń ponad jej głową.

— Przyszła na mnie, sąsiedzie, turbacja taka — wychrypiała. — Może byście mi pomogli komin wyczyścić?

Ptasim ruchem przechyliła na bok głowę. Stała cicha, pokorna, tylko w oczach migotały przelotne ostre błyski.

— Akurat mnieście sobie upatrzyli? — odparł zim-

no chłop. Pchnięta furtka skrzypnęła żałośnie. — Kominarza se najmijcie.

Stała patrząc na uchyloną furtkę. Chłop zniknął; zza węgła chaty wyszedł rudy kot, usiadł na ścieżce i błysnął ku niej żółtymi ślepiami. Splunęła ze złością i pogroziła mu kosturem. Kot ziewnął, oblizał się, żółte ślepia zapłonęły mocniej.

Wlokła się ze spuszczoną głową mamrocząc pod nosem, jakby z dziurawego worka groch sypał. Obrzynki walonków wznosiły kłęby kurzu. Nawet nie dostrzegła objętej ramionami pary. Zakochani nie mogli oderwać oczu od siebie. Dwa ciała od dawna stanowiły jedno: tak samo były serca, ta sama krew krążyła w żyłach, w głowach snuły się te same marzenia. Mrok spowijał ich zacisznym kokonem, płynęli niemal nie dotykając ziemi, zapomniawszy o całym świecie.

Na pustej drodze wyglądała jak wielkie czarne ptaszysko, jeszcze chwila, a rozpostarte skrzydła uniosą ją w górę, przysłonią żółty księżyc i mrugającą obok małą gwiazdkę. Na ziemię spływała noc. Soczysta, chłodna jak dojrzały owoc, pełna delikatnego, trochę już jesiennego smutku. Burzany rozsiewały w krąg ostatnie ziarenka, kolczaste rzepy usiłowały czepiać się kubraka lub bodaj psiego ogona, pokrzywa wyciągała wiotkie łodygi. Przy grobli monotennie szumiała woda. Lekkie jak wata płaty szumu spływały w dół rzeki; nawet dziadek w końcu się pógubił, gdzie szum, a gdzie popławki misternych sieci. Brzany łapały się jak głupie, czołno było już prawie pełne; dziadkowe gumkiaki tonały w powodzi żywego srebra. Na dnie łodzi zbierała się woda, w wodzie pluskał się księżyc i towarzysząca mu mała gwiazdka. Dziwna z nich para: on — wielki i gruby, ona — mała i chuda. Dziadek chętnie by już wrócił do domu, ale w czarnej kipieli zapodziały się aż dwie sieci. Czołno krajało wodę tam i z powrotem, przechylał się przez burzę, ale

miast sieci wyławiał tylko płynące z prądem strzępki szumu. W końcu ręce mu zgrabiał; złożył wiosła, wsunął dłonie pod pachy i jak bocian żaby wypatrywał swojej zguby.

Gdzieś w pobliżu szczęknięty wiadra. Sprężyła się czujnie. Z ciemności wychynął opasły chłop. Podeszła bliżej, ale nawet na nią nie spojrział, ominął ją łagodnym łukiem i rozkołysanym krokiem pozęglował dalej, monotonicznie pobrzękując pustymi wiadrami. Patrzyła za nim z otwartą gębą; jeszcze nie narodzone słowa zamierały jej na języku. Zerknęła na tłusty księżyc i jego chudziutką towarzyszkę i z determinacją pokuśtykała w dół, nad rzekę.

Dziadek właśnie dopadł jednej zguby; w sieci miotał się wielki głowacz. Stary chwycił go oburącz, oczy błyszcząły mu radością. Poniechał drugiej sieci, napał na wiosła i ruszył do brzegu. W rzece nurkował żółty księżyc i mała lśniąca gwiazdka, jakby umykając przed gonącym je czółnem. Dopiero gdy łódka wsunęła dziób w przybrzeżne szuwary, grubas i jego drobniutka przyjaciółka dali ogromnego susa i znów zaczęli harcować na środku rzeki.

Stary powoli gramolił się z łodzi. Nagle aż go cofnęło: z przybrzeżnych łopianów wylaniało się wsparte na sękatym kosturze czarne widmo.

— Dobry wieczór! — zaciągnęło śpiewnie. — Mam do was prośbę, sąsiedzie.

Dziadomal nie wykopyrtnął się z wrażenia. Żartów nie lubił, a w nieczystą siłę już dawno przestał wierzyć — od razu pomiarkował, z kim sprawa. Zresztą, kto go tam wie? Może w duszy drgnęło jakieś niejasne wspomnienie: była kiedyś taka bajka dla dzieci. Nie miał teraz głowy do bajek, zaprzętały go pluskające w czółnie brzany i głowacz. Burknął coś pod nosem. Głowacz trzepnął ogonem, błysnął łuską i zniknął: woda w czółnie sięgała już do pół burty.

— Przyszła na mnie, sąsiedzie, turbacyja taka — ciągnęło śpiewnie widmo bystro popatrując tam, gdzie przed chwilą mignęła wielka lśniąca ryba. — Pomogliście mi komin wyczyścić?

— Hę? — krzyknął zaskoczony dziad, patrząc niespokojnie, czy aby jego srebrzyste brzany i jeszcze srebrzystszy głowacz zbyt nie rzucają się w oczy.

— Oto jaka na mnie turbacyja przyszła — powtórzyła łagodnie i ptasim ruchem pochyliła głowę na ramię.

W starym zakipiała złość, zaperkotał, jak kasza na ogniu, burknął ni to przekleństwo, ni to wyjaśnienie: coś o diabelskich kominach, z których wylatują wiedźmy i zawracają głowę porządnym ludziom.

— Ale porządny się znalazł! Patrzcie go! Stary durneń!

Czołno zachybotowało gwałtownie, na dnie załśniły srebrzyste brzany i jeszcze srebrzystszy głowacz. Dziad dał susa na brzeg, zamachnął się jak do uderzenia, a może chciał tylko nastraszyć. Potem odwrócił się, pchnął czołno na wodę i z furią zaczął robić wiosłami. Fontanna bryzgów wzbija się wysoko. Stara aż gębę otwarła ze zdumienia.

Z gęby potoczyły się skrzekliwe, urywane, krągłe dźwięki-pileczki. Trzęsa się ze śmiechu, trzęsy się łopiany i sitowie, trząśł się rozwścieczony dziad, trzęsło się wypełnione brzanami, opite wodą czołno, trząśł się na środku rzeki pyzaty księżyc i jego szczuplotka towarzyszka, trzęsy się rosnące za wodą drzewa. Nie pamięta, kiedy się tak uśmieła, chyba wtedy, gdy dwa razy za ten sam miesiąc rentę zakosiła, a teraz przez tego starego durnia... W końcu siły ją opuściły. Łapczywie łowiła ustami powietrze, jak brzana w dziadowym czołnie, wsparte na kosturze ręce drżały konwulsyjnie. Z gardła wydobywały się chrapliwe rżenia i świsty. Śpiące na pobliskim dębie trzy nietoperze

ocknęły się i bezszelestnie wsiąkły w mrok rozcinając ciemność czarnymi skrzydłami.

Długo jeszcze stała na brzegu, ptasim ruchem przechylając głowę, tak w swojej wesołości małeńka i dobroduszna, że nietoperze zakreśliły nad jej głową nietrwożny krąg i poszybowały tam, gdzie kąpał się księżyc ze swoją towarzyszką, a rozwścieczony dziadyga z furią rozbijał ciszę wiosłami...

Kuśtykała drogą, sękaty kostur twardo uderzał o ziemię. Żyłasta szyja wydłużyła się, policzki przywiedły, w posępnej twarzy tkwiły nieruchome guziki oczu. Nie serce kołatało w piersi, ale głaz, warg zupełnie nie było widać. Wracała do chaty; z otwartych na oścież okien wciąż jeszcze unosił się dym, z dymem ulatywało całe domowe ciepło, wszystkich szmat nie starczy, aby się rozgrzać. Ale nie to ją trapiło najbardziej. Pod powiekami zjawił się koszmarny obraz: przez nie zamknięte okno do izby włązi złodziej.

Pot ją zimny oblewa, nogi wrastają w ziemię. Toż na zapiecku w ciemnym kącie leży cieniutki zwitek; trzeba mieć szczęście, żeby w jednym miesiącu dwa razy rentę podłapać. Na ścianie widać czarny cień z nożem w zębach. Wyciąga się koścista łapa, palce jak szpony chwytają zwitek, papierki szeleszczą sucho.

Strumyczki potu ściekają jej po plecach. Rzekłbyś, rześista ulewa zmoczyła ją do suchej nitki, jakby zbłąkana chmura akurat nad jej głową pozbyła się swego brzemienia.

Rusza do chaty. Krok zamaszysty, w rękę sękaty kostur, w oczach odwaga i siła, w ciele ni śladu starczej niemocy — tak musi wyglądać potężny wojownik. Obraz złodzieja nie znika sprzed oczu. Co tam! Jak mu przyłoży kosturem, rozwali czerep na dwoje. Odechce się draniowi wyciągać bezczelną łapę po nie swoje.

Ale nie było jej pisane dotrzeć do chaty. Wyimaginowany złodziej dawno hycnął przez okno i dał drapaką. Wyobraziała sobie tę paniczną ucieczkę: gęba otwarta, ozór wywalony, wytrzeszczone gały. Bose stopy klapią o zimną ziemię, biedak aż się piętami w tyłek bije. Przystanęła z miną zwycięzcy kołysząc się z nogi na nogę — tak czy owak daleko nie zaleci. Zaraz będzie po nim, zaraz padnie z wyczerpania. I na co mu to było? No, dobrze, nie warto byle czym głowy sobie zawracać.

Odwróciła się. Na podwórku u stóp zbocza nadal stały dwa drzewa. Szeleściło listowie. Przed chatą siedzieli dwaj dawno nie goleni chłopci i zaciekle łupali w domino. Wokół odchodziła w najlepsze zabawa: na sąsiednim podwórku dziewczęta skakały z piłką, na ulicy chłopaki szalały na rowerach. Grających oblewało żółtawe drżące światło — zaczepiona o hubę na drzewie żarówka lizała ciemność podługowatymi językami światła; przy każdym powiewie świetliste języki kurczyły się i umykały na boki. Gracze zaciekle dowodzili swoich racji; wygrany rechotał, wyciągniętym paluchem celował w partnera, chętnie wystawiał palce nad głową imitując rogi i pokazywał pokonanemu język; przegrany wściekał się i przeklinał, ale za chwilę robił to samo. Nad ich głowami szumiały drzewa-żony, odprawiały sądy, wyklinały za puszczone samopas dzieci i za bezmyślność, z jaką chłopcy potrafią tracić czas na głupie zabawy.

Przyglądała się temu spod zmrużonych powiek. Jeszcze się namyślała: może lepiej wracać do domu? Ale już nogi same niosły ją w pobliże ruchliwego kręgu światła. W szparkach oczu zapalały się żółte i zielone błyski. Skręciła w zaułek koło chaty. Rozkwitającą na drzewie żarówkę otaczała ruchoma ściana mroku.

Ukradkiem, jak bezgłośny cień, sunęła białą ścieżynką, ledwie dotykając ziemi sękatym kosturem.

Jak spod ziemi wyrosła obok stołu. Gracze odwrócili głowy, ale żaden nie raczył zwrócić na nią uwagi. Tłukli kostkami tak zajadle, że nieszczęsny stół niczym bity pies przysiadł na czterech łapach, padał na kolana i zginał grzbiet. Oczy im płonęły, czarna szczecina zarastała policzki i podbródki, zęby zgrzytały. Z gardeł dobywał się nieszczery rechot, pryskała spieniona ślina.

— Dobry wieczór! — zaciągnęła śpiewnie. — Mam do was prośbę, sąsiedzi.

Znów popatrzyli na nią niewidzącym wzrokiem, barczysty kudłacz z całej siły grzmotnął kostką o blat; stół trwożnie przysiadł na czterech łapach.

— Ha-ha-ha! — roześmiał się drugi. — Mam cię, bratku!

Druga kostka z suchym trzaskiem wylądowała na blacie, stół aż zatańczył drobiać w miejscu nogami.

— Przyszła na mnie turbacyja taka — ciągnęła śpiewnie. — Lepiej byście, zamiast głupków strugać, pomogli mi komin wyczyścić.

Jak na komendę chłopcy odwróciły głowy i spojrzały przytomniej; gdyby wzrok mógł zabijać, starucha dawno leżałaby martwa. Mało co mogło ją przestraszyć, ale nagle o władnęła nią przemożna chęć: chwycić w garść sute spódnice, rzucić sękaty kostur i czmychnąć, gdzie pieprz rośnie, jak przed chwilą czmychał dybiący na jej mienie nieszczęsny złodziejaszek.

Obrzynki walonków zmiatały wieczorną rosę. Byle do drogi, stamtąd już widać dom. Chatka przysiadła na kurzych nóżkach. Za niziutkim szczerbatym płótem wdzięczyła się jak dziewczyna ciemnoczerwona wisienka. Księżyc leniwie bawił się jej listkami. W zwodniczej poświacie chatka kołysała się lekko, tylko patrzeć,

jak wstanie na nóżki i zacznie biec przed siebie — a wtedy szukaj wiatru w polu.

W sąsiednim obejściu zaszczekał pies. Wąsaty chłop z tyką na gołębnie zamyślił się nad czymś głęboko, a może śpiak go zmorzył. Słyszając szczekanie ocknął się, wypluł ośliniony niedopałek i sięgnął po nowego papierosa. W stulonych palcach mignął pomarańczowy ludzik, wskoczył na czubek białego patyczka, skurczył się, zwiądnął. Wąsacz przeciągnął się, aż zachrząściły kości, i ciężkim krokiem pomaszerował w stronę furtki. Znienacka ujrzała przed sobą lśniące oblicze; przez chwilę myślała, że to księżyc stoczył się z nieba i przysiadł na sztachetach.

— Po próznicy, babo, chodźcie — ozwał się głęboki, dźwięczny bas. — Nikt wam tego komina nie wyczyści!

— Hę?! — stara aż podskoczyła. Złość wykrzywiła jej rysy, twarz skurczyła się jak piąstka, z oczu sypnęły się ostre szpilki, na policzki wypełzły ogniste plamy. Rybie oko wąsacza patrzyło na nią sennie. — Jakiego komina? — zasepleniła. — Co wy gadacie?

— Cała wieś już o tym huczy — odparł obojętnie, puszczając siwy kłąb dymu.

Rzuciła za siebie niepewne spojrzenie. Chaty stały nieruchomo, łyskając szklanymi oczami. Czary jakieś, czy co? Wieś rzeczywiście huczala, oślepiające światło zalewało uliczki, ludzie toczyli przed sobą puste blaszane beczki, tłukli w garnki i miski wrzeszcząc na całe gardło: „Komin! Patrzcie, komin!” Z okien jej chatki buchał czerwony dym; strażacy przystawiali czerwone drabiny, wspinali się na dach i na błyszczących miedzianych trąbkach wygrywali jakąś niesamowitą melodię.

Aż nią w tył rzuciło. Z płotu patrzyło na nią wąsate, krągłe oblicze. Oko księżycy lśniło bezlitosnym

chłodem. Stłumiony basowy głos wypełniał jej głowę, przelewał się uszami.

— Ja wam, babo, już raz pomogłem — ciągnął wąsaty księżyc. — Drew narąbałem, płot naprawiłem, a wy... — nagle zaczął trząść się ze śmiechu — coś se wydumaliście, że niby ja was okradłem, tak?

— He! — skoczyła jak oparzona. Ramiona zawirowały jak śmigły, sękaty paluch celował w sam nos wąsacza. — Ty draniu, czarcie nasienie — sepleniła pośpiesznie — kary boskiej na ciebie nie ma!

Głęboki zadowolony bas niósł się szeroko.

— A to ciekawe! Co też wam, babo, ukradłem? Mówcie!

— A ukradłeś, ukradłeś! — wrzasnęła chrapliwie i znów zamachała rękami. — Dosięgnie cię jeszcze kara, rabuśniku przekłęty!

Wąsacz przymknął oczy i aż zataczał się ze śmiechu. W księżycowej poświacie jego długie wąsiska zrobiły się nagle zupełnie zielone.

— Eh, babo, babo! Lepiej byście spać poszli. Nie kuście licha. I bez tego diabeł wam oczami wygląda!

Jakby pod wpływem tych spokojnych słów ramiona jej opadły, przygarbiła się i umilkła. A może zasłuchiwała się w noc. Gdzieś daleko szumiała woda, z grobli dolatywały stłumione pokrzykiwania, chłopaki przekomarzały się zalotnie, dziewczuchy piszczały zachwycone.

Zamyśliła się, a może coś jej się przypomniało, bezwiednym ptasim ruchem pochyliła głowę na ramię.

Siedzący na płocie księżyc wciąż śmiał się dobrodusznie, aksamitny bas niósł się szeroko. Het, na podwórku u stóp zbocza pleciugi nagle plasnęły w dłonie, jedna złapała wiadro na pomyje, druga torbę na zakupy. Okłęty pochłoniętych grą chłopów, ta z torbą bez ceregieli ukreśliła głowę żarówce, ta z wiadrem wyskoczyła przed furtkę, śpiewnie nawołując rozbażone dzieciaki:

— Le-e-na! Le-e-na! Sa-a-sz-ka! Sa-a-sz-ka!

Lenka już biegła co sił w nogach, za nią pędziły trzy dziewczuszki z sąsiedniej zagrody. Migwały dwa czerwone i dwa niebieskie płaszczyki, furkotały cztery czerwone i cztery niebieskie kokardy, toczyła się czerwono-niebieska piłka.

Saszka jak szalony pedałowal po ciemnej ulicy, przed furtką skręcił gwałtownie objeżdżając staruchę jak przydrożny kamień. Przygarbiła się jeszcze bardziej i zeszła na miękkie pobocze. Drobniotka i bezbronna tkwiła tam jak czarny gnom świecąc zielonymi oczami. Złość już z nich wyparowała, były jakieś zagubione i jakby odrobinę zdziwione.

Wąsacz ziewnął i z wolna zawrócił w obejście. W chatach gasły światełka. Tylko jedno żeglowało jeszcze przez czarny ocean nocy: młoda matka karmiła niemowlę. Sama była jeszcze jak dziecko: kiedy bezzębna buzia chwytala jej pierś, chichotała radośnie, czując w całym ciele niepokojące, cudowne łaskotanie.

7

Chatka kolebie się, wstaje na nogi. To już nie kurze nóżki, ale ogromne strusie łapy. Rusza w ogród, skacze przez płot, przez chwilę zatrzymuje się nad rzeką, jakby namysławiając się, co dalej. Nieruchomą tafle wody przecina srebrzysta ścieżka. Przebierając długimi łapami chatka wbiega na księżycową ścieżkę. W izbie śpi stara. Leży na łóżku ubrana, noga w oberżniętym walonku dotyka podłogi, ręka ściska sękaty kostur. Starej śni się białe pustkowię: grzęznąc w kopnym śniegu wlecze za sobą sanki, na sankach dziecinna trumienka. Co kilka kroków przystaje, przypada do trumienki, ręce ku niebu wznosi, czołem o zimne

wieko tłucze. Wokół białe pustkowie, w górze puste słońce. Porzuca sanki, porzuca synka w trumience, chwiejnym krokiem odchodzi, sama nie wiedząc dokąd.

Aż nią rzuciło, tak się przelęła: toż ta starucha to ona sama! Otwiera oczy. Nad głową kołysze się powała, w okienku księżyc stoi, chata tonie w nierzeczywistej poświacie. Unosi się z trudem, aż skrzypią stare kości. Zamiera bez ruchu. W oczach zapalają się i gasną zielone błyski, siedzi jak ten grzyb w trawie, samiotka, zapomniana od Boga i ludzi. Jedna myśl uparcie świdruje w głowie, nie daje spokoju: ten przeklęty komin.

A oto i komin. Drapie się na niego wysoki mężczyzna, w ręku miotła, na pasku kulisty ciężarek. Odwraca się: toż to jej ojciec rodzony!

— Nikt mnie na ten świat nie wołał — mówi. — Dopiero dzisiaj twoje wezwanie przyszło.

Już ma zaprzeczyć, ale ojciec macha ręką.

— I dobrze zrobiłaś. Dawno miałem ci coś rzec...

Głowa opada jej na ramię. Zasypia jak każdej nocy siedząc na łóżku i świecąc zielonym spojrzeniem. W kamiennej piersi kołacze kamień, cała jest jak szary gład.

— U ciebie, córko, dziesięć twarzy — mówi ojciec. — A człowiek jedną mieć powinien...

Patrzy i pojąć nie może: ojciec zanurza w czarną czelusć miotłę i ciężarek, z komina bucha czarna chmura sadzy.

— Córku moja, córku — mówi ojciec-nie-ojciec, kominiarz-nie-kominiarz zwracając ku niej usmolone oblicze. — Córku moja, córku.

Budzi się raptem. A może tylko zdaje się jej, że nie śpi: powała nad głową wciąż się kołysze, jakby chata ciągle maszerowała na strusich łapach. Izdebkę zalewa słońce, z okna padają na podłogę ukośne, drgające pasma, przetykane srebrzystymi drobinkami kurzu. Stara rozgląda się po izbie i poznać nie może; wodzi oczami

po ścianach, patrzy na stolik, potem na szafę. Piec stoi z rozdziawioną gębą: wokół otwartych drzwiczek widnieją zapiekłe smugi sadzy. Co to słońce takie dziwnie czerwone? Chatka kołysze się, jakby pędziła na strusich łapach, czapa na niej czerwona.

Zrywa się, chwyta sękaty kostur. Niebo na wschodzie płonie, ruchliwe języki ognia strzelają w górę. Zimny pot ją oblewa, spłoszony sen ucieka. Wsparta na kosturze siedzi na łóżku, martwe oczy patrzą w przestrzeń, sznureczki warg poruszają się bezgłośnie. Nareszcie wie, co zrobić z tym przeklętym kominem.

Przed oczyma jawi się dziwny obraz: do wioski mkną z wyciem czerwone samochody. Na samochodach sztywne, brezentowe kukły o głowach z żelaza, w rękę miotły i ciężarki. Samochody zatrzymują się, brezentowe kukły opierają o jej komin dwie pary czerwonych drabin i z czterech stron zaczynają wspinaczkę. Cztery miotły i cztery ciężarki znikają w czarnej czeluści.

Śmieje się do rozpuku, głowa jej się trzęsie, z piersi dobywa się ciche poświstywanie. Widzi, jak przed chaty wybiegają sąsiedzi i stają z rozdziawionymi gębami.

Aż ją zmogło z tego śmiechu. Z trudem łapie oddech. W oczach migoczą ogniki, jakby odbijała się w nich szalejąca za oknem słoneczna pożoga. W duszy kiełkuje niejasny smutek. Podchodzi do okna. Noc ogołociła czerwoną wisienkę z połowy listków, ale drzewko wciąż wygląda pięknie. Tuż za płotem toczy się ogromna pomarańczowa kula. Oślepią zasuwa firankę, cofa się w głąb izby i staje jak zaczarowana: na białej firance niewidzialna ręka kreśli ogromny pomarańczowy krąg.

Świat perli się, błyszczy, migocze. Płoną ostatki zieleni, jakby przeczuwając rychłą zagładę. Lśnią w słońcu krzewy i drzewa, skąpiane w srebrzystej rosie. Tęczowy welon okrywa gołębnik, spływa w trawiaste po-

bocze drogi; ziemia oddycha głęboko, chłonąc łapczywie niebieską rosę.

Ostrożnie i czujnie jak kot skrada się w stronę furtki. Wzdłuż pustej jeszcze drogi stoją senne chaty. Opodal żółci się budka telefoniczna.

Nagle wstrząsa nią dreszcz. Droga, którą przed chwilą kroczył świt, zbliża się trójka dziewcząt. Ta pierwsza — jedna różowość, dwie inne — sama niebieskość. Stara oczy przymruża: to idzie po wodę młodzietka matka. Jasna twarz ma nieco senny wyraz, ale usta już krasi uśmiech, oczy płoną jak gwiazdy, suknia powiewa jak różowy płomień. Melodyjnie dzwonią niebieskie wiaderka. Z tyłu biegną dwie identyczne niebieskie dziewczuszki-bliźniaczki odbijając czerwono-niebieską piłkę. Z piersi starej wyrywa się głuchy jęk. Zasłaniając ręką usta cofa się na podwórko. Gdzieś już widziała taką kruszynkę, jak te tutaj: takie same olbrzymie oczy, takie same kokardy wplecione w mysie ogonki.

— ...eń dobry, babuniu! — dzwoni w jasnej ciszy poranka.

Ogarnia ją niewytłumaczalny lęk. Stojąc za furtką łypie czarnym okiem, drżąc dłoń ściska sękaty kostur.

Młoda matka idzie nie oglądając się na boki. Uśmiecha się; w promieniach wschodzącego słońca jej piękność rozkwita jak kwiat. Nuci coś półgłosem: to najpiękniejsza w świecie melodia, to kołysanka. Na niebo wtacza się ogromna pomarańczowa kula; to słońce wschodzi nad kołyską. Niemowlę sapie przez sen, w kącikach różowej buzi pękają tęczowe bąbelki...

Blade jak śnieg policzki powoli wypełniają się krwią, rozdygotane dłonie pewniej obejmują sękaty kostur. Obrzynki walonków same odrywają się od ziemi. Idzie.

Sękaty kostur twardo uderza o ziemię. Wyciągnięta żyłasta szyja, obwisłe policzki. Nie serce kołacze w piersi, ale głaz. Opodal żółci się budka. Nie spuszcza

z niej oka: za chwilę, posłuszne wezwaniu, zjawia się szybkie czerwone samochody, z samochodów wyskoczyą sztywne, odziane w brezent chłopcy. Nie będzie po próżnicy błagać sąsiadów.

Władczo stuka w szybę. Stojący w budce mężczyzna w granatowym płaszczu i kaszkiecie powoli odwraca głowę: stara czuje na sobie mądre spojrzenie dużych wilgotnych oczu. Tam, gdzie kołatał głaz, coś załamuje się z jękiem, coś pęka na wieki. Wzrok jej nie myli: za szybą mającą znajome rysy. To twarz, do której modliła się kiedyś, przed laty. Tak patrzył na nią jej syn...

— ...eń dobry, babuniu — mówi miękko mężczyzna, wychodząc z budki. — Kominiarza, słyszę, szukacie. To właśnie ja.

Tłumaczyła Tatiana Hołyńska

Droga

Jeżeli ci się zdarzy takie obrać drogi,
Los cię na szlaku zatrzyma z pewnością.

Bo jeśli raz chociażby stąpisz w tej
otchłani progi,
Rozum twój może nie sprostać nie-
szczęściom.

Hryhorij Skoworoda

Działo się to w roku 1618. Pod koniec lata we dworze N. miało miejsce niezwykłe wydarzenie. Powiesił się właściciel majątku, pan Jurij. Nie uprzedził nikogo, nie zostawił żadnego testamentu. Najdziwniejsze było to, że w całej tej historii nikt nie mógł dopatrzeć się żadnego sensu. Fakt jednak pozostał faktem — stało się nieszczęście.

Rankiem we dworze zapanował popłoch. Śniadanie spożywano w pośpiechu, bez zwykłej ceremonii. Puzdro z rodowymi dokumentami, dotychczas przechowywane w specjalnej skrytce, pani znalazła w męzkim pokoju. Skrzyneczka była otwarta — przypuszczalnie mąż przeglądał papiery. Zamknąwszy się w swoim pokoju, kobieta zaczęła się zastanawiać. Wbrew pozorom ostatnio mąż zachowywał się dziwnie. To, że nie interesował się swoimi dobrami, nie dziwiło jej — tak było zawsze. Zarząd majątku spoczywał na jej barkach i radziła sobie z tym doskonale.

Całymi nocami mąż przesiadywał w bibliotece; ona od dawna zeszła na drugi plan. Często ogarniał ją żal, że Bóg nie dał im dzieci. Drugą namiętnością męża by-

ła astrologia; długie godziny trawił na rozmowach z astrologiem, którego sprowadził z Niemiec i urządził mu we dworze niewielkie obserwatorium.

Kazała wezwać astrologa. Był to niski, cherlawy człowieczek o pomarszczonej twarzy i długich, małych ramionach. Wygląd jego wskazywał, iż nie mniej niż ona był wstrząśnięty tym, co się stało.

— Chciałabym wiedzieć — powiedziała — o czym rozmawiał z panem mój mąż.

Astrolog ścisnął dłońmi małą główkę, w jego oczach odmalowała się wytężona uwaga. Poczwała, że nienawidzi tego błazna.

— Nie powiedziałbym, żeby w tych rozmowach było coś niezwykłego — przemówił wreszcie. — Często rozmawialiśmy o gwiazdach, o nieskończoności... Nie mogę tego pojąć...

— Ja też nie mogę tego pojąć — powiedziała oschle.

Na dworze było pośępnie. Ciemne płachty chmur wisiały nisko nad ziemią, kłębiły się nad wzgórzami, jakby chciały pospiesznie skryć się za widnokregiem. Spowita w szarość ziemia zdawała się drzemać, ta sama szarość kładła się cieniem na ludzkich sercach...

We dworze N., jak w każdym domu w owych czasach, mieszkał skrzat. Kiedy stało się nieszczęście, skrzata ogarnęła rozpacz.

Jestem tu po to — myślał ze smutkiem chodząc z kąta w kąt po zapuszczonym strychu — żeby chronić ten dom od złego.

Przez okienko sączyła się blada, jakby martwa, nocna poświata. Wabiły mrugające gwiazdy. Dokoła było spokojnie i cicho. Na wprost okienka widniała biała wstęga drogi, która zaczynała się tuż za dworskimi zabudowaniami i niknęła w ciemnościach nocy.

Rzuciła na mnie czar ta droga — myślał skrzat. — A kiedy droga zaczaruje skrzata, dochodzi do nieszczęścia. Skrzat powinien troszczyć się o dom, który powierzono jego opiece, a nie rozmyślać o wędrowaniu.

Dwa dni przedtem — astrolog akurat obserwował niebo przez lunetę — wszedł do obserwatorium pan domu. Twarz miał posępną i zamyśloną — do czego wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić — może tylko w oczach malował się wyraz większego niż zwykle przygnębienia.

— Coś się panu przytrafiło? — spytał astrolog. Usiadł na stołeczku i przetaił chusteczką zaczerwienione powieki.

Pan domu usiadł naprzeciwko.

— Tak — odparł. — W życiu zdarzają się dziwne sytuacje. Ciekaw jestem, co powiedziałby pan o tym...

To, co mówił, rzeczywiście wydawało się dziwne.

— Niedawno przeżyłem coś, co dało mi wiele do myślenia. Proszę sobie wyobrazić, że nagle traci pan... — urwał, jakby zastanawiając się, jakiego określenia użyć — ... że przez całe życie uważa się pan za Niemca żyjącego wśród Francuzów i raptem okazuje się, że w gruncie rzeczy jest pan Francuzem...

Astrolog słuchał zdziwiony.

— A co tam nowego? — zmieniając nagle temat wskazał na niebo. — Przynajmniej tam powinien być spokój...

— Spokoju nie ma nigdzie — odpowiedział astrolog.

Pan spojrział na niego roztargnionym wzrokiem.

— Sierpień to miesiąc, w którym spala się najwięcej gwiazd — ciągnął astrolog podnosząc twarz ku niebu.

Było ciemno i niezwykle cicho, nawet świerszcze zamilkły. Serca ich ścisnęła jakaś niepojęta tęsknota. Coś takiego zdarzało się już nieraz przedtem, zdążyli się już przyzwyczaić do tego, że niektóre stany ducha były ich wspólnym udziałem.

— Ziemia to maleńka kropka — powiedział wolno pan domu, bębniąc palcami po stole — zupełnie maleńka...

— Myślę, że mogę odpowiedzieć na pański dylemat — ostrożnie zaczął astrolog. — Co do Niemca i Francuza... To nie ma sensu. A ziemia rzeczywiście jest tylko niewielką cząsteczką tego bezmiaru — spojrział na gwiazdy. — Nawet nie potrafimy wyobrazić sobie jego ogromu, kto wie, czy w ogóle można mówić o jakichś wielkościach, skoro nie istnieją żadne granice. Ziemia to istotnie maleńka kropeczka — uśmiechnął się smutno. Wstał i kawałkiem kredy postawił kropkę na czarnej tablicy. Okruchy kredy oprószyły ubranie. — A na tej kropeczce my... Mniejsi niż mrówki, niech mi pan wierzy.

— Ale mimo to istniejemy — powiedział pan domu. — Mamy swoje sprawy i swoje troski. Tak było i tak będzie zawsze.

— Wszystko to tylko chaos — astrolog spojrział na swego rozmówcę. — Chaos wymyślony przez ludzi. Za kilka stuleci nikogo nie będzie obchodziło, kim byli tacy jak my. Zostaną odnotowane wielkie wojny, które prowadzili możni tego świata, co najmniej udzielnymi monarchowie, historia zapisze także, czy hodowaliśmy bydło i jakimi narzędziami uprawialiśmy ziemię.

Pan domu siedział z pochyloną głową. Pełne zadumy oczy płonęły chorobliwym blaskiem.

— Może i racja — powiedział. — Czy nie lepiej zrezygnować z życia, niż być tylko obojętnym obserwatorem?

Astrolog zaniepokoił się. W tonie pana domu brzmiała jakaś nowa, niepokojąca nuta.

— Ja wiem — dodał pan domu — żyje się tylko raz. Rozstać się z życiem jest i lekko, i ciężko zarazem...

Spojrzał na uczonego nieobecny wzrokiem i uśmiechnął się. Było coś nie do zniesienia w tym uśmiechu. Nie mogąc opanować wzrastającego niepokoju astrolog wstał z zydlu. Nie umknęło to uwagi gościa. Jego oczy przybrały zwykły wyraz.

— Poderwał się pan, jakby miało się coś stać — powiedział.

— Zdaje mi się — odparł astrolog — że już się coś stało...

Owej nocy, kiedy wydarzyło się nieszczęście, skrzata nie było we dworze. Wyszedłszy z domu, przesadził mur i dał susa w rosnące na dole pokrzywy. Wiatr szumiał, w ciemności migotały ruchliwe ogniki. Wiedział, co to takiego: noc rodziła zwidy i omamy. Małe i wesołe hasały po ziemi, gromadziły się w odludnych zakątkach, jarach, głębokich wykrotach i zaroślach. Bezcielesny świat, przepełniony nieustannym ruchem. Nęcił go ten świat. We wsi skrzypiały wrota, czarownice skradały się wzdłuż płotów wlokąc na postronkach sennie krowy; bydłęta stąpały bezgłośnie po miękkiej, piaszczystej drodze. Rżały niespokojnie konie, pastuchy gromadzili się przy ogniskach; ogień chronił przed nocą i jej potomstwem... Skrzat nie bał się ciemności. Właściwie niczego się nie bał: odkąd w duszy zaczęła mu kiełkować myśl o wędrowce, wszystko się w nim odmieniło. Muszę znaleźć sobie towarzyszkę życia — pomyślał układając się w burzanach. Czarownice prowadziły krowy; pożądliwie wpatrywał się w mijające go postacie. Były tak brzydkie, że aż się

wzdrygnął. Powlókł się za nimi. W nagrzanym powietrzu unosił się zapach mleka ściekającego z nabrzmiąłych wymion; słodki, odurzający zapach uderzał mu do głowy mącąc rozum. Gdy czarownice weszły w gęstwinę drzew, las aż jęknął. Skrzat poczuł, że ten jęk budzi w jego sercu smętne echo, ale nie potrafił już zawrócić: popychała go naprzód jakaś dziwna niewidzialna siła. To magnetyczna siła drogi — myślał ze smutkiem — jedyna rzecz, wobec której jestem bezradny.

Astrolog obudził się zlany potem. Trząśł się z zimna. Zewsząd otaczała go ciemność, w okno zaglądały nieruchome, przepastnie dalekie gwiazdy, wszystko zdawała się pokrywać jakaś matowa, zimna błona oddzielająca go od reszty świata. Szyja go bolała, jakby jakaś niewidzialna dłoń zacisnęła mu palce na gardle. Halucynacje — pomyślał — niepotrzebne, bezsensowne halucynacje.

Od tamtego dnia nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego uczucia. Nie umiał także znaleźć lekarstwa na dzisiejszą noc: była taka zimna, wydawało się, że nigdy się nie skończy. Każdego dnia — myślał — zaczynamy żyć po to, by w nocy umrzeć i rankiem narodzić się znowu. Każdego dnia umieramy i dzięki temu nie potrzebujemy rozwiązywać najbardziej chimerycznej spośród wszystkich zagadek — zagadki ciemności. Zdarzają się jednak chwile, gdy nie możemy, jak zwykle, beztrąsko pograć się w niebyt, gdy stajemy oko w oko z tajemniczymi hieroglifami niebieskich wyroków. Wtedy staramy się je odczytać — może to pozwoli nam odzyskać spokój. Ale ta sztuka rzadko się udaje: człowiek to dziecko światłości, aby móc rozumować, jego umysł potrzebuje słońca.

Do drzwi cicho zastukała szafarka.

— Proszę jaśnie pani, pana już ubrano i położono w jego pokoju.

— W porządku. Możesz odejść — pani skinęła ręką. Po wyjściu szafarki zastygła przy oknie pogrążona w zadumie.

Patrzyła na drogę, która od wsi biegła wśród łąnów dojrzałego zryta. Drogą szedł dziad odziany w białą, lnianą siermięgę. Był ślepy, ale szedł bez przewodnika, czarny kostur myszkował po szarej drodze. Patrzyła na pagórki, które w dali zlewały się z horyzontem. Serce jej ścisnął nieokreślony żal: może dlatego, że Bóg nie dał im dzieci, a może przez to, że została sama...

Po obu stronach drogi jak okiem sięgnąć falowało zboże. Ślepy dziad przysiadł w rowie, pewnie chciał się posilić, bezmyślnie wystawił do słońca białą brodę. Cały był biały jak mleko, lniana siermięga też była biała jak mleko, tylko czarny lśniący kostur leżący na kolanach przypominał pełznącą żmiję...

Owej nocy skrzat długo włóczył się za czarownicami. W końcu wiedźmy wyszły na rozległą polanę. Wokół było ciemno i cicho, jakby cały świat nagle zamarł. Skrzat wlaź w krzak leszczyny, przytulił się do ciepłej, wilgotnej ziemi i zaczął patrzeć. Czarownice puściły wolno krowy, które natychmiast zapadły w sen dysząc mlekiem i przebierając niespokojnie raciami. Czarownice zaczęły gromadzić chrust: ich ruchy były powolne, twarze wykrzywiały brzydki grymas. Nie znajdzie tutaj towarzyski życia — myślał ze smutkiem skrzat. — A przecież muszę, koniecznie muszę ją znaleźć. Najstarsza wiedźma klasnęła w ręce i na polanie buchnęło olbrzymie ognisko. Czarownice ożywiły się; wyraźnie gotowały się do tańców: podka-

sywały spódnice, zzuwały buty, rozpuszczały kosy. Ognisko rozbliło jaśniej, strzeliło czerwonym płomieniem. Krowy otwały oczy. „No!” — wrzasnęła najstarsza wiedźma i zaklaskała w dłonie. Lekkim, tancnym krokiem czarownice podchodziły do krów; krowy wspinały się na tylne nogi, wiedźmy chwycyły je za racice. „Zaczynamy!” — dała znak najstarsza.

Skrzat przetał oczy. Opodał płała najmłodsza z czarownic. Doznał nagle dziwnego uczucia: jakby cały przepelniający serce smutek zniknął gdzieś szybko i bez śladu. Przed nim tańczyła prawdziwa piękność. Tak pięknej kobiety nie widział, jak długo żyje. Przywołał ją. „Czego chcesz?” — spytała. Poczł, że zachwył zapiera mu dech w piersi. „Uciekajmy stąd — wyszeptał. — Chcę, żebyś była moja.” „Chodźmy! Dla mnie i tak zabrakło krowy.” Podał jej rękę i ruszyli w las. „Biegnijmy!” — zawołał. Biegli, aż w oczach zawirowały im ciemne płatki. Stanęli i przytulili się do siebie. Skrzat poczł, że drży. „Co tobie, głuptasie?” — zapytała czarownica. Przymknął oczy i wyciągnął do niej obie ręce. Raptem dłonie jego przeniknął lodowaty chłód. Zerwał się na równe nogi. Przed nim leżał olbrzymi pień. Między oślizłymi maczkami korzeni martwo połyskiwały świętojańskie robaczki.

Pani w żaden sposób nie mogła zrozumieć tego, co się stało. O rozmowach męża z astrologiem wiedziała za mało, żeby wyciągnąć z tego jakieś wnioski. I oto nagle poczła, że śmierć męża, mimo całej niezwykłości i wstrząsającego charakteru zdarzenia, nie dziwi jej wcale. Zaraz po pogrzebie zamknęła się w swoim pokoju i długo siedziała nie zapalając świece i nie odsłaniając okien. Czła, jak w piersi kotłuje się strach. Chciała płakać, ale w oczach zabrakło łez. Głucha, bez-

graniczna rozpacz odbierała resztki sił osłabionemu ciału. Czując, że nie wytrzyma tego dłużej, pchnęła okiennice. W górze rozpościerało się niebo — przerażająca, ponadczasowa otchłań...

Usłyszawszy pukanie drgnęła przestraszona.

— Kto tam?

— To ja — dał się słyszeć smutny głos skrzata.

— Wejdz — powiedziała. Nagle ogarnęła ją gwałtowną potrzebą porozmawiania z kimś.

— Dobrze, że nie ma tu światła.

— Co się tu wyprawia? — zapytała bezradnie, po kobiecemu. — Jesteś tu po to, żeby strzec spokoju...

Skrzat spuścił głowę i milczał. Po raz pierwszy zobaczyła go w całej okazałości: stał przed nią ni to człowiek, ni to wielki kot — chudy stwór o kanciastej, czworokątnej głowie; w niewyraźnie zarysowanej twarzy jarzyła się żółto para ogromnych oczu. Nigdy nie widziała go z tak bliska, jeszcze nikomu nie udało się ta sztuka. Może to sen — pomyślała. Ale to nie był sen; skrzat stał tuż obok i patrzył na nią gorejącymi oczyma.

— Dlaczego to się stało?

Skrzat wzruszył ramionami. Jego twarz oblana niebieskawą poświatą miała wyraz daleki i nieodgadniony.

Astrolog siedział w swojej pracowni i mrugał małąkami oczkami. Świat jest urządony nie tak, jak mi się kiedyś zdawało — myślał. — Jest urządony zupełnie bez sensu. Dawniej byłem przekonany, że każdą rzecz można jakoś wyjaśnić, tymczasem wszystko jest takie niedorzeczne. Po co nam rozum, skoro nie można nic wytłumaczyć?

Wszedł skrzat i przycupnął w kącie.

— Co ci? — zapytał astrolog.

— Smutno — odpowiedział skrzat.

Astrolog uśmiechnął się.

— Każdy z nas jest inny — powiedział. — Zupełnie inny. Ty pragniesz porzucić zaciszny dom, do którego zdążyłeś się przywiązać. Chcesz udać się na wędrowną... Ja chciałbym już swoją zakończyć i znaleźć jakieś domowe ognisko.

— Więc zamienimy się — zaproponował skrzat. — Rzeczywiście, chcę porzucić ten dom, nie potrafię już obronić jego spokoju...

Astrolog znów się uśmiechnął. Jutro na nowo zacznie się moja wędrowną — pomyślał.

Pani domu kazała zawezwać astrologa. Wydał się jej jeszcze mniejszy i bardziej mizerny.

— Myślę, że zdaje pan sobie sprawę — powiedziała chłodno — że w tym domu astrolog nie jest już potrzebny.

W oczach astrologa zamigotały iskry.

— Wybacz pani to obcesowe pytanie — powiedział. — Czemu tak się stało z pani mężem?

— Mój mąż popadł w obłęd — odrzekła oschle. — I jestem zdania, że największą winę za to ponosi właśnie pan.

— Niech będzie — powiedział astrolog. — Pozostaje mi podziękować pani za gościnę. Myślę, że dostanę konie, żeby móc zabrać przyrządy i książki.

— Nie — ucięła krótko obrzucając go wściekłym spojrzeniem. — Za godzinę wszystkie pańskie książki i przyrządy zostaną spalone. A jeśli do tego czasu nie opuści pan tego domu, każę służbie wysmarować pana dziegiem i popędzić kijami aż do granicy moich włości.

Astrolog stał ze spuszczoną głową. Twarz miał bladą i spokojną.

— Niech i tak będzie — powiedział. — Proszę tylko, żebym mógł zabrać ze sobą jedną jedyną księgę...

— Dobrze, ale tylko jedną — wstała. Pierś jej falowała szybkim oddechem. — Sama dokonam wyboru. Książką tą będzie Biblia...

Jeszcze tej samej nocy zaczęto palić księgi i wyposażenie pracowni. Pani domu przywdziała żałobę, jej pełna, blada twarz z wydatnym nosem i wielkimi oczyma miała wyraz stanowczy i surowy. Kilkoro ze służby wynosiło książki i sprzęty na podwórze, koniuch rozpalał ogień. Pani czekała, aż wyniosą wszystko. Obecny wydawała się podobna do wielkiej sowy, która spokojnie, ale nieustępliwie czatuje na swoją zdobycz. W głębi serca żałowała, że tak łatwo wypuściła z rąk astrologa. Nie skorzystał z propozycji i nie zabrał ze sobą księgi, którą mu proponowała; była to znakomita okazja, żeby się z nim rozprawić. Wziął tylko sękaty kij i ruszył w noc. Trzeba było go spalić razem z tym całym diabelstwem — myślała, wyłamując aż do bólu palce rąk.

Ogień strzelił w górę. Władczym gestem odsunęła służbę i wzięła do ręki pierwszą książkę. Opasły tom otworzył się w locie; zaszeleściły gęsto zadrukowane stronic. Poczwała, że biorą ją we władanie jakieś ciemne siły, że wzrok jej się ćmi, a piersiom brakuje tchu. Przestała zdawać sobie sprawę z tego, co robi, chwyciła tylko przyrządy, książki i ciskała w ogień, który huczał i oblizywał się czerwonym jęzorem. Teraz wiem — szeptała do siebie — co jest przyczyną wszystkich nieszczęść. Diabeł dręczy nasze dusze i zawsze znajdzie sposób, by nas usidlić i pokonać.

Od owej nocy skrzat nie opuszczał już dworu. Wdrapywał się na strych i snuł się po obwieszonych pajęczynami zakamarkach. Od czasu do czasu podchodził

do okna. Czuł się samotny i było mu smutno. Cudów przecież nie chciałem — myślał. — Ot, wyszukać sobie towarzyszkę życia, która by mnie uleczyła z choroby, jaką zaraziła mnie droga.

Po jakimś czasie odwiedził go szef skrzaciego państwa.

— W twoim domu wydarzyło się nieszczęście — powiedział.

— Wiem.

— Co masz na swoje usprawiedliwienie?

— Potrzebna mi towarzyszka życia.

— Skrzaty żyją samotnie — odparł szef. — Jeżeli chcesz się rozerwać, nie mamy nic przeciwko temu. Byle nie trwało to dłużej niż godzinę.

— Nie o to chodzi.

— W takim razie — powiedział surowo szef — będziemy zmuszeni pozbawić cię życia.

Skrzat spojrział na niego trwożnie i zasepił się.

— Wybieraj — powiedział przybysz. — To jedyne, co możesz zrobić.

— A czy będę mógł czasem wyruszać na wędrówkę? — zapytał skrzat.

— Nie. Masz opiekować się domem, który ci powierzono. Czyż nie składają ci ofiar?

— Składają — odparł skrzat.

— A więc?

Skrzat westchnął.

— Dobrze — powiedział. — Podporządkuję się zwyczajom gromady.

Astrolog kuśtykał ścieżką pośród nocy. Nędzne odzienie nie chroniło go od chłodu. Dawno już pozostawił za sobą miasteczko i wyszedł na polną drogę... W sercu czuł smutek, z którym nawet nie usiłował walczyć.

Teraz, kiedy nie mógł za pomocą lunet z bliska obco-
wać z niebem, poczuł lęk. Bał się czarnych zarośli, bał
się nocy i swojej samotności. Zawsze lubiłem być
sam — myślał. — Nigdy nie wabiły mnie gwarne tar-
gowiska... Ale dzisiaj, pozbawiony ksiąg i ukochanych
przrzędów, czuł się jak nędzny robak wciąż pełznący
naprzód i wciąż nie mogący pokonać zakłętej prze-
strzeni dzielącej miasteczko od najbliższej wioski. Mo-
że ta droga wcale nie prowadzi do wsi? — medyto-
wał. — Dobrze orientuję się na niebie, ale słabo na
ziemi. Podniósł głowę, ale nieba nie było. Szara wata
chmur kryła migotliwy, gwiazdny żywioł. Przysiadł
w rowie i ukrył twarz w dłoniach. Zresztą, dokąd ja
zmierzam? — myślał. — Przecież nawet tego nie
wiem! Po prostu idę, gdzie mnie oczy poniosą, bo ni-
gdy nie miałem dokąd wrócić. Siedział jak mały gnom,
nerwowo mrugając oczyma. Nagle zapragnął jak naj-
szybciej znaleźć się w jakiejś osadzie i przystąpić do
obliczeń. To dobrze, że udało mi się ocalić notatki —
myślał. — Muszę wyliczyć przynajmniej położenie tej
planety, która być może wyznacza mój los.

Oczy rozbłysły mu nadzieją. Wstał i ruszył przed
siebie. Żebyż choć najmniejsza gwiazdka — marzył. —
Można by się zorientować, wybrać odpowiedni kieru-
nek. A może zawrócić na zachód? Choćby dlatego, że
tam był kiedyś dom, w którym się urodziłem i spędzi-
łem dzieciństwo.

Miał wrażenie, że błądzi tak już wiele lat. Trzeba
iść naprzód — powiedział do siebie. — Wcześniej czy
później przecież natrafie na jakąś wieś. Można będzie
coś zjeść i odpocząć. Najważniejsze to pokonać tę prze-
kłątą drogę. Wsunął wąskie dłonie w rękawy i zaczął
biec. Biegł długo, pot wielkimi kroplami spływał z po-
marszczonego czoła. Świtało już, kiedy wyszedłszy na
pagórek zobaczył w dole jakieś domy. Wyteżał wzrok
zastanawiając się, do którego najpierw zastukać. Ale

po kilku krokach poczuł, że nogi się pod nim uginają. Padł na trawę i przetarł oczy. Przed nim leżało to samo miasteczko, które opuścił wieczorem...

Dwór N. stał uśpiony. Po opustoszałych ciemnych pokojach niespokojnie błądził skrzat. W sercu czuł dziwny chłód. Co chwilę podchodził do drzwi, jakby nasłuchując. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy oknie, przywierał twarzą do szyby i ze zdziwieniem pomieszany z obawą wpatrywał się w usiane gwiazdami niebo.

Tłumaczyła Elżbieta Raczyńska-Mraczek

Kruk — ptak nietutejszy

Kola nigdy nie przyjaźnił się z Peterem Dżusem, ale od niedawna coraz częściej zaglądał na jego podwórko i wcale nietrudno zgadnąć, odkąd tak upodobał sobie Dżusowe obejście: od kiedy ojciec Petra przywiózł z tartaku furę sosnowych desek, pachnących i tak złotych, aż blask od nich szedł i nawet w pochmurny dzień zdawało się, że w tym miejscu pada na podwórko słońce. Przychodzi Kola do Petra (zawsze z pustą puszką od konserw), posiadają na deskach, pogadają chwilę, a potem Kola zaczyna:

— Petrus, mogę. Słyszysz, tylko ociupinkę...

— Wczoraj żeś nabrał tyle!

— Ale... trzeba jeszcze.

— Co on z nią robi? Zjada? — Dżus zaczyna się krztusić ze śmiechu. Może to go nawet wcale nie śmieczy, ale on już jest taki: na złość wszystkim chichocze z byle czego, z trudem wyduszając z siebie ten śmiech, aż się robi purpurowy z wysiłku; a że wciąż usiłuje się śmiać, wiecznie jest czerwony.

— Przecież wiesz, Petrus — Kola z powagą patrzy w czarne szparki Dżusowych oczu — to naprawdę jest potrzebne do skrzypiec. No... do strun, na smyczek.

— Wiem, wiem — śmiech Dżusa przypomina zduszony skrzek, słowa trzeszczą jak suche badyły w piecu. — Twoja matka drzewo rąbie, a on sobie siedzi i na skrzypeczkach rzępoli. Matka buch-buch, a on tirli-tirli.

— Ojciec jest chory — mówi Kola. — Jego na wojnie...

— Widzisz go, chory — przerywa Dżus. — Chłop na żoninym gospodarstwie zawsze taki. Zobaczysz, że matka też go przepędzi.

— Ale on dobry.

— Aha! Myślisz, że matce akurat to rzępolenie potrzebne? Jej aby ktoś drew narąbał, wody przyniósł.

— To co? Można, Petrusz?

— A zbieraj sobie, co mi tam.

Kolka wyjmuje z kieszeni kozik z drewnianym trzonkiem, co go dziadek Mykytenko w kuźni wyrobił, i patrzy, gdzie na sosnowych deskach widać żywicę. Potem czarnym ostrzem zaczyna zeskrobywać żółte jak wosk kropelki — i do puszek. Już nawet nie słyszy Dżusowego chichotu. Przywykł. Ale myślą jest gdzie indziej. Bo on coś wie. Coś takiego, że aż...

— Po prawdzie — zaczyna Dżus — jesteś mi coś niecoś winien.

— Niby co?

— Mój tata przecież zapłacił za te deski, nie?

— No...

— A żywica niby skąd się bierze? Z desek, nie?

— Aha...

— No, właśnie! Czas by już dać coś dla kotka...

Dżus bardzo lubił swego glinianego kotka ze szparką między uszami — znajdzie kopiejkę, zaraz kotkowi niesie. Kiedyś natrafił w krzakach za wygonem na gniazdo pełne jaj — czyjaś kura odbiła się od stada i tam się niosła — i tak się wzbogacił, gdy zaniósł te jajka do sklepu, że potem wiecznie szperał po zaroślach — całe zielsko na tym pustkowiu wydeptał. Straszny chytrus na pieniądze.

Kola z początku nie zmiarkował, skąd ta Dżusowa hojność — zbieraj sobie, mówi, co mi tam. A teraz, patrzcie, wyszło szydło z worka. A jakże Kola może mu zapłacić, kiedy jeszcze sam nie zarabia?

— A ty co myślisz? — Dżus już się nie śmiał, jego

oczy zwięzły się jeszcze bardziej i połyskiwały jak ostrze noża. — Darmo byś wszystko chciał? Figa! Teraz się nie wymigasz.

Puszka zadrżała Koli w palcach. Schował rękę za siebie.

— Coś ty? Przecie my... Przecie ja...

— Co ty? Co ty? Znam ja was! Hołysze.

— Ja tylko...

I wtedy Kola zebrał się na odwagę.

Postanowił, że pokaże Dżusowi to, o czym przedtem bał się nawet napomknąć, bo wiedział, że Dżus w ogóle nie lubi ptaków, a szczególnie wróbli — wróbłe uważał za swoich wielkich wrogów, bo wydziobywały słoneczniki w ogrodzie i objadały czereśnie. To straszne szkodniki, mówił, i niszczył gniazda, gdzie tylko dopadł — pod strzechą, w rozmaitych zakamarkach i dziuplach — wściekał się, kiedy nie mógł dosięgnąć piskląt w głębokiej dziupli; wsadzał wtedy kij i tłukł na ślepo dogadując zajadle: „A masz! A masz”. Twarz czerwieniała mu ze złości i uciechy.

Nie, Kola w życiu by mu nie pokazał tego ptaka, gdyby można było jakoś inaczej wypłacić się za żywicę, ale co robić — koło wsi nigdzie nie rosną sosny, chodzili przecież z ojcem, szukali — ani na lekarstwo. Tata tak się wtedy zmartwił, że Kola twardo postanowił zdobyć taką żywicę, żeby ją miał spod ziemi wykopać.

Te wyprawy do lasu jednak się opłaciły — bez tego nigdy by przecież nie znalazł takiego ptaka: wielki i czarny jak wrona, dziób szeroki, mocny, jakby wykuty z żelaza, skrzydła wielkie — tyle że nie lata, bo to, powiedział ojciec, wcale nie jest wrona, ale kruk, piskłę kruka, nie lata, bo jeszcze malutki, ale kiedy urośnie, to robi się wielki jak orzeł i taki silny, że nawet jego, Kole, mógłby unieść i polecieć daleko, za góry i lasy, do królestwa z bajki... Trzeba go tylko

pielegnować, doglądać, przyuczać od małego, a wtedy on, jak wyrośnie, odplaci się stokrotnie, bo to ptak nietutejszy, kto wie, jakim cudem znalazł się w tych stronach.

Siedziało toto pod krzakiem leszczyny — Kola pierwszy je zobaczył i pokazał palcem: „Tato, patrzcie, wrona”. Podeszli bliżej, ale to nie uciekało, wsparte na rozczapierzonych skrzydłach jak na kulach pokornie patrzyło na nich na wpół przymkniętymi, sennymi oczami. Ojciec schylił się, pogłodził — ptak nie uciekał. „Ej, to chyba nie wrona — powiada. — To kruk, tylko młodziutki. Skąd on się tu wziął? Weź go do domu, nakarm, doglądaj, to zobaczysz, co z niego wyrośnie”.

Kola, choć trochę się bał, wziął ptaka do rąk, i już z tego, jaki był gorący, poznał, że to naprawdę niezwykły ptak — jego skrzydła niemal parzyły mu dłonie, czuł, że ogarnia go strach, ale przecież obok siedział ojciec, więc zebrał się w sobie i niósł kruczątko przez całą drogę do domu, przyciskając drobne gorące ciało do piersi. Coś nieopisanie błękitnego i jakby złotego zdawało się przenikać go wraz z tym ptasim ciepłem.

„Tato, długo on będzie rósł?” — wybiegał naprzód i zaglądał ojcu w oczy.

„Ptaki szybko rosną”.

W domu, ledwie stanęli w progu, matka rozkrzyczała się: „Mało że was obu mam na karku, jeszcze mi wrony do szczęście potrzeba”.

„Mamo, to nie wrona, to kruk, tylko jeszcze malutki, ale jak urośnie...”

„Juści! Zabieraj się z tym! Chowaj go sobie, gdzie chcesz, ale do izby mi z nim nie leż”.

„Mamo, przecież to prawdziwe kruczątko...”

„Tylko tego starego słuchaj, to jeszcze nie takich głupot się nasłuchasz...” — rozgniewała się matka i więcej nawet nie spojrzała na ptaka.

Kola poszedł do szopy, wysypał z tekturowego pudła jakieś rupiecie i ostrożnie umieścił w nim kruka. Przyniósł mu jagieł i miseczkę z wodą, ale kruk nie chciał ani jeść, ani pić — może dlatego, że był jeszcze mały, a może dlatego, że przyzwyczajony był do jakiegoś niezwykłego jedzenia — przecież to ptak nietutejszy. Kola pomyślał jeszcze, że chyba niedługo pudełko zrobi się za ciasne, ale nie szkodzi, wtedy nawet matka przekona się, że to nie jest zwyczajny sobie ptak i można go będzie trzymać, gdzie tylko człowiek zechce.

Tak sobie rozmyślał i raz po raz zaglądał do szopy, żeby popatrzeć na kruka, wciąż nie mógł uwierzyć, że mają w domu coś takiego. Korciło go, żeby pobiec i pochwalić się komuś, ale ojciec przykazał, żeby tego nie robił, bo to przecież nie byle śmieciuszek, ale od razu widać, co.

Tata całymi dniami przesiadywał na przyzbie i wygrywał na skrzypcach (Kola przepadał za tą muzyką, tym bardziej że — poza tatą — nikt we wsi nie miał skrzypiec; owszem, i krzywy Majsak, i bracia Komedije grali na harmonii, w ich rękach harmonia nie tyle grała, lecz jakby przemawiała do człowieka, bili też w bębny, zwłaszcza gdy zdarzyło się wesele albo inne święto, ale skrzypce widywało się tylko w kinie).

Teraz Kola i domu bardziej się trzyma, ojca na krok nie odstępował. Dawniej, kiedy taty nie było, całymi dniami hasał po wygonie albo moczył się w stawie, dopóki nie zsiniał z zimna. Któregoś dnia, wracał akurat z kąpieli, a tu Dżus zatrzymuje go na drodze: „Znow ci matka nowego ojca przyprowadziła, powiadają, że z daleka, aż z Mizynówki, i nie sam przyszedł, ale ze skrzypkami, hi-hi-hi”. Koli wtedy jakby ciasno się w piersi zrobiło, nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy nie; wszedł na podwórze, stanął pod topolą (w ich zagrodzie rosła jedyna w całej wsi topola), ale do izby bał się wejść, chociaż korciło go zobaczyć, jakie też

one, te skrzypce. Stał tak, stał, a wtem z domu dobiegło granie — takie cieniutkie, wesole, że od razu wróciła mu odwaga. Wszedł do środka. A tam już za stołem i dziadek Mykytenko z babką Chrystią, i matka w nowej chustce w kwiaty i... on — odsunął się ze stolkiem aż na środek izby, przytrzymuje brodą skrzypce i wydobywa z nich głosy cieniutkie jak dzwoneczki. Zobaczywszy Kole, przestał grać, jakby się zawstydził; chwilę patrzył na niego tak jakoś łagodnie, mrugając żółtymi oczami (białka miał żółte) i mówi: „Od razu bym go poznał. Wykapana matka”. A mama: „Chodź, Koluniu, masz tu truskawek, z targuśmy ci przynieśli”. Tak to jakoś przymilnie powiedziała, potem jeszcze przez wiele dni tak do niego mówiła, ale po jakimś czasie znów zaczęła pokrzykiwać i na Kole, i na ojca... A teraz jeszcze na kruka. No, niech tam, że na ojca, bo słabowity i do roboty niezdatny (ale za to jaki dobry), niech tam i na niego, bo nieraz się gdzieś zawieruszy, ale za co na kruka? Nie wadzi nikomu, nic nie je, bo jeszcze mały, a teraz Kola pokaże go Dzusowi i nie trzeba będzie wyplacać się za żywicę.

— Słyszysz, Petrus? Coś ci pokażę! Tylko nikomu nie mów, dobrze?

— Co to takiego?

— Kruk.

— Jaki kruk?

— No, taki ptak.

— Kłamiesz!

— Ale! Prawdziwy kruk. Tylko jeszcze malutki. Ale jak urośnie...

Kola nie może się już powstrzymać, po drodze opowiada Dzusowi wszyściutko. Czuje, że lepiej byłoby nie mówić, Dzus ma jaszczurcze oko, gotów zaziunąć, ale niecierpliwość wyciąga z Koli tajemnicę, jak smyczek muzykę ze skrzypiec.

— Jak urosnie, to będzie wielki jak orzeł, i wtedy... — Kolce aż tchu zabrakło, żeby opisać, co wtedy będzie.

Dochodzą do szopy. Kola cichutko otwiera drzwi i kładąc palec na ustach, ostrożnie, żeby nie spłoszyć ptaka, podchodzi do stojącego w kącie pudła. Dżus aż posapuje, ale już ciszej — no, proszę, jednak Kola nie kłamał.

Kruk siedzi, jak siedział, skulony, wsparty na nisko opuszczonych skrzydłach; przez uchylone drzwi pada ukośny promień słońca, lecz w pół przymknięte powieki ptaka ledwo drgnęły. Jagły i woda stoją nietknięte.

Dżus przykucnął i szturchnął kruka w dziób, ale ptak nawet nie otwarł oczu. Z trudem poruszył tylko skrzydłami.

— A jakież to kruk! — wrzasnął ze złością Dżus. — Zwykle wronisko i na dodatek chore.

— Coś ty? Toż to kruk, tylko malutki. Jeszcze pisklę i przez to podobne do wrony.

— Łżesz!

— Ojciec przecież się zna, jak był na wojnie, to tam, za granicą, takie widział.

— Niech nie buja, przybłęda! Skąd by tutaj kruk?

— Kiedyś i u nas było ich pełno. Ale się wyniosły.

— Dobra, dobra, tylko ten jeden was odszukał — skrzeczy Dżus, dusząc się ze śmiechu. — Znaleźli gdzieś zdychającą wronę i jeszcze lżą!

— Coś ty! Dziadek Mykytenko oglądał go i też powiada, że to kruk — tu już Kola rzeczywiście zełgał trochę, bo dziadek wcale nie widział ptaka, ale trzeba jakoś wbić w ten zakuty Dżusowy łeb, że to nie żadna wrona. — Tylko, uważasz, to jeszcze pisklę...

— No, może i nie wrona — wycofuje się Dżus. — Może mały krogulec.

— Idźże! Jaki tam krogulec!

— Mówię ci, że krogulec.

Pochyla się nad ptakiem i maca jedną łapkę, potem drugą. Kola widzi, jak oczy Dżusa zwięzają się pożądliwie.

— Niezłe pazurki... Wiesz... w Łysiance... No, wiesz chyba, że krogulce to drapieżniki... a w Łysiance skupują krogulcze łapy... po pięćdziesiąt kopiejek parą.

— Chybaś się szaleju objadł? — wrzasnął Kola, aż kruk drgnął w swojej skrzynce i mocniej podparł się skrzydłami.

— Coś ty? Co ja takiego... Mówię tylko... jak jest.

— A co ma do tego krogulec?

— Tak tylko mówię... — żebyś wiedział.

— Chodźmy stąd, on się boi.

— Chyba ludzkiej mowy nie rozumie?

— Głosu się boi — Kola lekko popycha Dżusa w stronę drzwi.

— Aha-a... Możesz przyjść do nas po żywicę. Ja ci nie żałuję.

Dżus powędrował do domu. Widać uwierzył w tę historię z krukiem, bo przestał nawet napomykać o jakichś pieniądzach.

Kola w podskokach biegnie z pełną puszką do domu. Ale się ojciec ucieszy! W progu prawie wpada na matkę. „I żeby mi tu nawet śladu po tobie nie było!” — krzyczy matka i jakby nie widząc Koli wychodzi z hardo podniesioną głową.

Kola nieśmiało przestępuje próg. Patrzy — ojciec chowa skrzypce do podłużnej, wytartej walizeczki, po żółtkę palce drżą, paznokcie przy nich niebieskawe, jakby ktoś farbką je pomalował; białka oczu też żółte — może dlatego ich spojrzenie jakieś takie gorące, aż piecze. Popatrzył na Kole, potem na puszkę z żywicą i uśmiecha się, ale z taką goryczą, że Kola nie potrafi odpowiedzieć mu uśmiechem; stoi ze stężałą twarzą i tylko wpija w niego nieruchome spojrzenie, czując, jak oczy stają się coraz cięższe od wzbierają-

cych łez... Ojciec wyciąga rękę i gładzi go po głowie, ten dotyk jest jak muśnięcie wietrzyka, i nie tyle mówi, co wzdycha: „Dobre z ciebie dziecko... dobre”. Potem w milczeniu bierze walizeczkę ze skrzypcami i wychodzi, a Kola sercem czuje, wie na pewno, że więcej go już nie zobaczy.

Wypada za nim na dwór:

— Tato, a wy dokąd?

— Do Mizynówki.

— Nie idźcie, tatku!

— Tak trzeba, synku.

— Już nie wróćcie. Ja wiem!

— Wróćę.

— Nie kłamcie, tato! — krzyczy Kola, podbiega do ojca i wieszka się u ręki trzymającej wytartą walizeczkę. — To po co skrzypce bierzecie?

— Dłuższy czas może mnie nie być. A ty bądź mądrym chłopcem. I kruka doglądaj, słyszysz? Żeby był jak trzeba, gdy wróćę.

— Odprowadzę was — mówi Kola. Ze zdziwieniem widzi, że ojciec zamiast pójść do autobusu, rusza na przelaj przez pola. Czemu tata wybrał się na piechotę, kiedy mu tak ciężko iść? Ujdzie kawałek i przystaje, przykładając rękę do piersi. Zawsze coś opowiada, a teraz milczy i świdruje Kola tym swoim gorącym spojrzeniem. Albo całkiem nie patrzy i tylko wzdycha. Doszli do lasu. „Wracaj — mówi tata — matka nie wie, gdzie się podziewasz, znowu będzie krzyczeć”. Koli już wszystko jedno, a niech sobie krzyczy, kiedy taka niedobra — ojciec odchodzi, kto wie na jak długo, a ona go nawet nie pożegnała. Zawraca posłusznie — już nie może wytrzymać tego ojcowego milczenia... „Tylko pamiętajcie, tato, nie siedźcie tam długo” — mówi i biegnie do domu, ale wciąż jeszcze ogląda się za siebie. W końcu ojciec niknie w lesie, który stąd wydaje

się całkiem czarny, jakby już tam była noc, choć do nocy jeszcze daleko — na niebie stoi białe słońce. Kola patrzy w słoneczną kulę i przymyka powieki — w oczach wirują czerwone, gorące koła. Stoi jeszcze chwilę, a potem ile sił w nogach pędzi ku wysokiej topoli, co rośnie na ich podwórzu.

Może i nie spieszyłyby się tak do domu, gdyby nie kruk. Gdy wpadł do szopy, ptak już nie siedział — leżał bezwładnie na dnie pudełka, z rozpostartymi skrzydłami, jagły i woda stały nietknięte. Chłopiec nachylił się, delikatnie dotknął szarego dzioba, ale kruk nawet nie otworzył oczu, tylko pomarszczona błona powiek zadrżała leciutko.

— Ty głuptasie — zaczął przemawiać do niego Kola — myślisz, że ktoś cię będzie karmić jak małe dziecko? Chcesz całkiem z sił opaść?

Otworzył krukowi dziób, wziął szczyptę kaszy i wsadził mu do gardła. Ale kruk nie przelykał, nawet odrobina wody, którą Kola ulał z miseczki, nie trafiła w czerwoną gardziel, tylko wypłynęła na ziemię wraz z ziarenkami. Wtedy Kola zrozumiał, że coś jest nie tak, że wokół kruka krąży jakieś nieszczęście, nawet poczuł jego tchnienie niczym chłodny i wilgotny, piwniczny powiew. „Warto by się kogoś poradzić — myślał. — Ba, ale kogo? Może takiego ptaka karmi się czymś innym, nie kaszą? Ale przecież wody też nie chce, a woda wszędzie jedna”. Nie, zaraz jutro trzeba iść i o wszystko wypytać, już wie, do kogo się zwrócić, oczywiście do Kindrata Pawłowycza, tego, co w starszych klasach zoologii uczy. On wszystko wie o różnych ptakach i zwierzętach, lepiej niż jaki doktor. Kola na własne oczy widział jego gabinet. Ileż tam ptaków! Sikorki, dzięcioły, wrony, nawet orzeł jeden jest, nieduży co prawda, szary stepowy, ale jest. Oczy mu błyszczą jak guziki, bo to nie jest żywy orzeł, zresztą wszystkie ptaki, które tam stoją, są wypchane. Kindrat

Pawłowycz robi to tak zręcznie, że szkoda mówić! Wyglądają całkiem jak żywe, tylko po oczach poznać, że są wypchane. Kindrat Pawłowycz bierze pałeczkę, pokazuje ptaka i wszystko o nim opowiada: co który je, gdzie żyje, jakie znosi jajeczka... Wszystko wie ten Kindrat Pawłowycz.

On na pewno coś poradzi, myśli Kola. Leży już w łóżku i coraz wyżej naciąga na siebie kołdrę, bo jakoś nie może się rozgrzać, całkiem jakby nieszczęście, które czyha na kruka, także na niego ziało swoim lodowatym tchnieniem. A gdy usypia, widzi nad sobą niebo, ale ciemne jakieś, zachmurzone. Pod niebem krąży wielki czarny ptak — zatacza nad wsią ogromne koła i szklanym okiem spogląda na ich szopę. Może to ojciec kruczątka szuka swego dziecka, aby je zabrać w dalekie kraje?

Obudził się raniusieńko, chyba jeszcze nigdy tak wcześniej się nie obudził, i czym prędzej pobiegł do szopy: Kruk leżał na boku, z podkurczonymi łapkami i nie ruszał się: przymknięte powieki miał całkiem żółte, jakby mu ktoś oczy zalepił woskiem. „Przecież on już ich nigdy nie otworzy” — pomyślał Kola. Przykucnął nad ptakiem, dotknął go, jakby sobie samemu chciał udowodnić, że to nieprawda — ale kruk był zimny i sztywny, jak gdyby całą noc przeleżał na mrozie. Kola ze strachem cofnął rękę, ale w opuszkach palców nadal czuł kolące zimne mrówki...

Nie pamięta, co było dalej, nie pamięta, jak wybiegł z szopy i coś krzyczał zwrócony twarzą do nieba — nie krzyk to był, ale jakby ptasi klekot. Raz po raz powtarzał sobie: „To nieprawda! Nieprawda!” i wybuchał śmiechem, ale chyba to mu się tylko zdawało — cóż to za śmiech, kiedy z oczu lecą łzy, pełne kłujących okruchów słońca, a on wciąż powtarza: „To nieprawda, nieprawda...” Wreszcie tchu mu zabrakło z tej rozpaczki — i ucichł.

— Wynieś go i zakop — powiedziała matka. — I nie zwracaj mi głowy.

Koła milczał.

— Od razu widziałam, że to jakieś chore i nie do życia. To o n cię przyuczył byle paskudztwo do domu znosić.

— To wasza, mamó, wina! — krzyczy nagle Kola. — To przez was on sobie poszedł! On by wiedział, co robić.

— Głuptasku — pojednawczo, bez gniewu mówi matka. — Masz się o co tak zabijać.

— Możem i głupi, ale kruka nie zakopię! Jasne? — odpowiada Kola zupełnie dorosłym tonem. W tej chwili rzeczywiście przypomina małego dorosłego człowieczka, jak gdyby naraz przybyło mu lat. — Nie zakopię, i już.

— Zobaczysz, jeszcze ci się zaśmierdnie.

— Niedoczekanie wasze.

I naraz olśniła go myśl: po co zakopywać kruka, kiedy on jak żywy może stać w szkole, w gabinecie przyrodniczym. Sto lat tam może stać, wszyscy będą go sobie pokazywać palcami i mówić: „Patrzcie no, przecie to kruk, taki, co do nas z dalekich krajów przylatuje. Kola go znalazł, doglądał, pielęgnował..”

Po chwili już maszerował do Kindrata Pawłowycza. Kruka zawinął w szmatkę, żeby nie czuć jego chłodu, lecz nie na wiele się to zdało — ręce Koli, a potem całe ciało pokryło się gęsią skórką: to poranne słońce wcale ciepła nie daje, tylko tak świeci, nie wiadomo po co i na co.

Napotkanych ludzi pozdrawiał krótko, nie podnosząc oczu, żeby przypadkiem komuś nie przyszło do głowy zapytać, co też tam ma i dokąd to niesie.

Kindrat Pawłowycz mieszkał zaraz za szkołą. Kola poczuł, że go coś ściska w dołku. To już nie była sprawa z dziadkiem Mykytenką, któremu po prostu mó-

wiło się: tak i tak, dziadku, zróbcie to czy tamto — ma przecież rozmawiać z nauczycielem. Chłopaki gadają, że to bardzo dobry nauczyciel, wesoły, o byle co się nie czepia, zresztą z twarzy widać, że to zacności człowiek. Kola też nigdy nie widział go naburmuszonego. Kindrat Pawłowycz z pewnością bardzo się ucieszy, bo skądże by wziął takiego ptaka, to przecież nie jakiś tam zwyczajny śmieciuszek.

Oto i dom. Schludny, jak jego właściciel. Kindrat Pawłowycz zawsze ogolony, krągła twarz aż lśni — pewnie dlatego wydaje się, jak gdyby zawsze leciutko się uśmiechał.

Kola podszedł do drzwi, odczekał chwilę i delikatnie zapukał. Odczekał jeszcze troszkę, rozejrzał się na boki i znów zastukał. Wewnątrz dały się słyszeć kroki. Kola nabrał powietrza i trzymał, dopóki drzwi się nie otworzyły.

Na progu stał nauczyciel. Był w niebieskiej trykotowej koszulce, włosy miał zmierzwione, jakby dopiero co się obudził, na twarzy zdziwiony uśmiech. To dodało chłopcu odwagi — ot, człowiek, jak inni.

— Dzień dobry — powiedział zupełnie jak w szkole.

— Wcześniej się u ciebie dzień zaczyna — ziewnął Kindrat Pawłowycz zasłaniając usta dłonią.

Kola zmieształ się.

— Ja... — spuścił oczy — ja właśnie...

— No, co tam masz? — łagodnie spytał nauczyciel.

— Chciałbym, żeby...

— No, no, pokaż. Co to takiego?

— Tylko proszę nie myśleć — mówił szybko Kola — że to... Zresztą sam pan zobaczy. To kruk. — I rozwinął szmatkę.

— Hm... — Kindrat Pawłowycz pogrzebał palcami w czuprynie, potem lekko pogładził kędzierzawą pierś widoczną w wycięciu koszulki. — Hm...

— Znalazłem go w lesie, wziąłem do domu i doglą-

dałem, ale to ptak nietutejszy, nie wiadomo, jak się z nim obchodzić — tłumaczył się Kola. — No i umarł.

— Aj-aj-aj.

— Gdybym wcześniej do pana przyszedł, toby mi pan powiedział, co takiemu trzeba, a tak...

— Faktycznie, trochę późno się zjawiasz.

— Myślałem, że wyzdrowieje — Kola trzymał ptaka w wyciągniętych rękach i nie odrywał od niego oczu, jakby wszystko, co mówił, przeznaczone było dla kruka, a nie dla nauczyciela. — A potem pomyślałem, że skoro już umarł, to żeby chociaż... no, tam u pana stoją takie różne ptaki, a kruka nie ma. Nie ma, prawda?

— Fakt — Kindrat Pawłowycz też patrzył na ptaka i wciąż się uśmiechał. Kola pomyślał, że pewnie wcale mu nie do śmiechu, takie już ma przyzwyczajenie, ot, dobry człowiek, to i uśmiechać się lubi.

— Może go pan też wypcha, jak tamte ptaki?

— Ach, o to ci chodzi — nareszcie domyślił się Kindrat Pawłowycz. — Oczywiście, oczywiście — Znow poskrobał się w głowę. — To żadna sztuka, tylko, że... my już mamy wronę. I to nie jedną.

— Jaką wronę? — nie zrozumiał Kola.

— Taką jak twoja.

— Przecież to kruk, tylko malutki. Nie widzi pan?

— Nie — Kindrat Pawłowycz pokiwał głową i znow zasłonił usta dłonią. — To najzwyczajniejsza wrona. *Wronus vulgarus*, jak się to mówi.

— Ależ...

— Kruk, jeśli chcesz wiedzieć, też należy do wroniej rodziny, podobnie jak gawron... Mamy taki egzemplarz.

— Pan... — w oczach Kolki zawirowały czerwone koła, zupełnie jak wczoraj, kiedy spojrział w słońce. — Pan nie...

— Idź, zakop ją. Dobrze z ciebie dziecko — powiedział Kindrat Pawłowycz i zamknął drzwi.

„Chyba oni wszyscy powariowali” — szepnął do siebie Kola. Owinął kruka w szmatkę i zawrócił do domu. Idąc tulił ptaka do piersi, jakby własnym ciepłem chciał ogrzać martwe ciało.

Wszedł na podwórze, położył zawiniątko pod topolą i rozejrzał się, czy go nikt nie widzi. Oczywiście, przy wrotach już stoi Dżus — skąd on się wziął? — i macha na niego: „Chodź tu”, ale Kola nie ma teraz czasu, co za przygłup, w kuku tylko łapki zobaczył, tylko kopieжки mu w głowie, lepiej niech się stąd zabiera, a on, Kola, pójdzie teraz do domu i napisze list do ojca. Że też wcześniej o tym nie pomyślał, przecież zna adres — wieś Mizynówka, tylko siadać i pisać: taka i taka sprawa, przyjeżdżajcie, tato, bo z kukiem jest źle. A ojciec zaraz tak wszystko urządzi, że nawet Kindrat Pawłowycz oniemieje.

Matka gdzieś wyszła, w domu było cicho. Wyrwał z zeszytu czystą kartkę, wetknął w obsadkę nową stalówkę i równiutko, jak w książce do kaligrafii zaczęła:

„Jak się macie, tato!

U nas nieszczęście. Umarł kruk. Przykazaliście, że bym go doglądał. A on umarł. Tato, przyjeżdżajcie prędko. Wy zawsze wiecie, co robić dalej. Może go damy do spirytusu, co, tatku? Tylko nie idźcie na piechotę przez las. Bo tak będzie za długo. Jedźcie autobusem. Bardzo na was czekam...”

Chwilę gryzł obsadkę, zastanawiając się, co by tu jeszcze takiego napisać, żeby tato usłuchał i zaraz przyjechał. Wszystkie słowa wydawały mu się takie ubogie... Nagle głęboko wciągnął powietrze i szybko dopisał na dole koślawymi literami:

„Jak nie przyjedziecie, tato, to wezmę nóż i się zabiję”.

W tej chwili przypomniał sobie, że kruk został sam

pod topolą. Pędem wypadł z domu — i aż się nogi pod nim ugięły.

Kruka nie było.

Rozejrzał się. Nigdzie ani śladu.

Szmatka leżała pod drzewem, wiatr nią poruszał, ale kruka nie było — ani tam, ani w obejściu, ani na ulicy. Przepadł. Koli zrobiło się gorąco, w oczach mu pociemniało, nagle zdjął go paniczny strach, a zaraz potem przeogromna radość: w pierwszej chwili zdawało mu się, że to szeleszczą liście topoli i że chmura przesłoniła słońce — ale nie! To wielki ptak wzbił się pod niebo zasłaniając słońce potężnymi skrzydłami, i to ich łopot był niby szum topoli pod nagłym uderzeniem wiatru...

Tłumaczyła Zofia Głowiakowa

Drzewo życia

W jasną szybę nocy z trzaskiem uderzył luty mróz. Do rana ziemia zamarzła co najmniej na trzydzieści centymetrów. W bladym słońcu czarne szkielety akacji, pokryte kłębamii mgły, przemieniły się w lodowe fontanny.

Mróz zawsze jest twardy.

Fioletowe z przepicia chłopisko w watowanej kufajce nacisnęło usmolony świder pneumatyczny. Trzeszcząca seria wypłoszyła z osikowego zagajnika chmarę gawronów. Po chwili chłop wyprostował się, splunął z rezygnacją, wyraził swój stosunek do prowadzenia się matki, i znów zatrzęsł się w febrycznym tańcu.

Był poniedziałek. Ciężki dzień. Ciekawe, na jakiej szali jest odważany czas?

Czterech uzbrojonych w kilofy i łopaty kolejno wycinało czarne kwadratowe bryły. W końcu dobrali się do gliny, z której w mgnieniu oka zaczął wyrastać podobny do transzei żółty nasyp. Sportowe koszulki kijowskiego „Dynamy” z dużymi numerami na plecach ciasno opinały muskularne torsy, z których emanowało zdrowie i siła. Działali według sprawdzonej, naukowej metody: każdy obejmował pięciominutową wachtę, wgryzał się ostro w glinę, reszta w tym czasie odpoczywała, bo tam mieścił się tylko jeden człowiek.

Jakby robili wykop pod rurociąg.

Wreszcie jama była gotowa. Wyciągnęliśmy z autobusu seryjną, zbitą z nieheblowanych desek trumnę

na rolkach, wzięliśmy ją na ramiona i ruszyliśmy do tranzei potykając się na zamarzłych grudach.

Kiedyśmy ciężkie pudło z nieważką zawartością stawiali obok nasypu, Sasy wypadła z za pazuchy czapka i pacnęła na dno jamy. Sasa zamrugał niepewnie i obejrzał się na nas. Czapka była nowiutka, stanowiła część uniformu, w którym paradowali wszyscy odpowiedzialni pracownicy jego instytucji. Obaj ze Słoniem udaliśmy, że nic nie widzimy. Działacz!

Co dla człowieka ważniejsze — czapka czy reputacja?

W zimie chyba czapka, bo Sasa zakreślił się niespokojnie, jakby szukał w nas moralnego oparcia. Odwróciliśmy się. Jeden z czterech wskoczył do jamy i podał Sasy czapkę na stylisku.

Wszystko to przypominało raczej dziecinną zabawę w pogrzeb. Robiliśmy małe miny, aby nie wybuchnąć głupkowskim śmiechem. Cóż, i taka bywa czasem reakcja na strach.

Chowaliśmy Alikę — byłego lidera i solistę naszego jedyne go w skali światowej, sławnego w mieście i okolicy zespołu „The Bells” — po naszymu „Dzwony”. Zespół rozleciał się zaraz, jak tylko skończyliśmy instytut, i oto po dziesięciu latach zbierał się po raz pierwszy w pełnym składzie.

Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Na ostatnim koncercie tamtej szalonej wiosny, kiedy wystąpiliśmy już jako absolwenci, oszalałe wielbicielki omal nie rozszarpały na Alikę oryginalnego, dakronowego „kliftu”. Alik musiał bronić się nie na żarty, krzyczał, że dał za niego stówę na ciuchach i chce, żeby go w nim pochowano.

Kto by pomyślał...

Teraz miał na sobie owo słynne wdzianko. W piątek wieczorem na rogu Uniwersyteckiej i Basenowej potrącił go nie zidentyfikowany samochód osobowy:

Zgarbiony, jak zwykle zamyślony Alik wracał po zajęciach muzycznych, które prowadził w klubie spożywców. Angielska gitara została nietknięta, na arkuszach papieru nutowego odcisnęły się wyraźnie ślady opon.

Takich opon wyprodukowano u nas co najmniej sto tysięcy.

Daleki krewniak Alika, o wyglądzie prelegenta Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, zaczął długą tyradę najeżoną cytatami i aluzjami do jakichś wiekopomnych zasług i nie zrealizowanych planów, które każdy zostawia jako swój ślad na ziemi. Poruszał ustami jak łapiąca powietrze ryba, ale nawet z odległości dwu kroków nie było słyhać ani słowa. Za naszymi plecami pykał brudnopomarańczowy kompresor, stalowy pneumatyczny dzięcioł z suchym trzaskiem kuł zlodowaciały grunt.

Jakby usiłował się przebić przez zamarznąłą korę do mózgu ziemi.

Poskrzypując nowiutkim skórzanym płaszczem Słoń podszedł do fioletowosinego chłopca. Z kłębka robaczego dialogu wysupłaliśmy tylko jedno zrozumiałe słowo — „plan”.

Każdy ma jakiś plan.

Słoń wyciągnął z zamiszowej marynarki szewrową portmonetkę i przyjaznym gestem zacisnął dłoń na brudnej łapie tamtego. Chłop podszedł do kompresora.

Po chwili zapadła cisza.

Taka sama naelektryzowana cisza zalegała, gdy Alik brał mikrofon i poruszając szczękami, jakby żuł gumę, rzucał tytuł następnego hitu. Fala zachwyconych gwizdów i wrzasków zataczała po sali koncentryczne kręgi.

Dziesięć lat minęło jak z bicza trzaśł. Jakby ten najwspanialszy w naszym życiu koncert był wczoraj. Jak-

byśmy wczoraj szybowali pod usianym gwiazdami niebem. A potem jakbyśmy w ogóle nie żyli.

Niezwykłe jasny księżyc jak zielony neon oblewał obozowisko instytutu na wysokim brzegu Dniepru. Były ostatnie dni wiosny. Brzęczące eskadry komarów z zajadłością kamikadze rzucały się na gołe nogi naszych wielbicielek o oszalałych z młodości oczach. Ledwie Alik kończył swoje magiczne „one, two, three, four”, pierwsze ławki wpadały w istny trans. Wśród frenetycznych wrzasków i ogólnego aplauzu prezentowaliśmy coś ze wspaniałego repertuaru Beattelsów, których wówczas smażono jeszcze na nieufnie skąpym gazetowym ogniu. Zwalisty Słoń był dokładną kopią maleńkiego Ringo z dużym nosem, tak samo jak tamten nonszalancko rządził się w swojej perkusyjnej „kuchni”, otoczony kolekcją gongów firmy „Premier”. W przedzawałowym, narastającym rytmie *Let it be*, tego requiem dla młodości, wyczuwało się uderzenia jego, Słoniowego, serca. Rozpalony, niemal narkotyczny dyszkant Alika, jakby w przeczuciu bliskiego końca, bezbłędną angielszczyzną wdzierał się do mikrofonu: *Let it be*. Jego rogata „Gypson” rzucała laserowe wiązki promieni w zgromadzony u stóp estrady tłum. Trzeba było widzieć ową niemal modlitewną ekstazę, z jaką wpatrywała się w Alika Nata — dziecię-kwiat, w wianuszku polnych rumianków na długich czarnych włosach. Nata była u nas na specjalnych prawach. Na estradzie siedziała obok trzydziestowatowych kolumn. Ależ ona była w nim zakochana! Zresztą wszystkie dziewczęta były wtedy nasze. Dziesiątki rąk wyciągały się, gdy Alik zeskakiwał z estrady, by z przejścia między ławkami sprawdzić tonację i brzmienie. Tego wieczoru wszystko brzmiało bosko. Nawet sepleniący Sasa był nie do poznania — w króciutkiej koszulce naszywanej paciorkami drażył basowym tonem swojej „Yamachy” podziemny nurt w tym płyn-

nym żywióle. Krew rozrywała człowiekowi aorty, oczy wzbierały łzami. Nawet moja eneradowska „Elgita” czyściutko, jak nigdy, trzymała rytm, znacząc wszystkie pauzy i kontrapunkty niczym dźwięczny elektryczny metronom.

Niedościgłe, miniaturowe kopie umierające w swoich wielkich idolach.

Wśród trwożnej ciszy krewniak zakończył pokrętną orację i zamilkł, jakby się wahał — może powtórzyć początek? Ale czterech wprawnie złapało za sznury i trumna spłynęła w żółtą paszczę. O wieko głucho zastukały najpierw małe grudki, potem cięższe bryły — czterej wzięli się do łopat. W kopczyk wsadzili tabliczkę, obłożyli wieńcami. Słoń jako mistrz ceremonii wełknął czterem za fatygę, krewniacy starym obyczajem wypili po jednym, zakąszając zimnymi gołąbkami. Matka Alika, którą trzymało pod rękę dwóch ciotecznych wujów, przestała się wyrywać i tylko powtarzała jak automat: „Proszę się częstować, bardzo proszę”.

Ot, i całe misterium.

Wesoły wróbelek przyfrunął nie wiedzieć skąd, przysiadł na wieńcach, a potem łypiąc krągłym jak paciorek okiem zaczął boczkiem podsuwać się ku okrucinom. Słoń tupnął i wróbelek umknął spłoszony. Starsuszka w czerni skinęła na Słonią, a kiedy tamten pochylił się, szepnęła mu coś do ucha. Potem Słoń już nie zakąszał, a w drodze do auta, kryjąc zmieszanie, rzucił:

— Mówi, że to dusza jego przyleciała. Ptaszę boże. Śmieszne przesady...

Otworzył drzwiczki nowiutkiej ciemnozielonej Żiguli — z boku widniała świeża rysa zdartego lakieru — obaj z Sasą usadowiliśmy się z tyłu. Warknął autobus z krewniakami, koła zabuksowały i ruszyliśmy na stypę. Alik został samotny, zakopany kwadratowo-gniazdową metodą na nowym cmentarzu komunalnym.

Choć na pewno z przyjemnością zabrały się z nami. On jeden spośród nas był naprawdę żywy.

Przypadkowa śmierć nie zmienia praw życia.

Matka Alika zadzwoniła do mnie w sobotę. Akurat kończyłem poranną kawę i zapaliwszy papierosa, twarżo zabierałem się do roboty. Praca doktorska była na ukończeniu, promotor poganiał, przebąkując coś o wyjątkowo sprzyjającym układzie planet i aktualności tematu. Swego czasu dobrze się napociłem, by wcielić w życie jego projekt: klnąc w żywy kamień słotę i przenikliwy wiatr wyciskałem z majstrów i robotników wszystkie siły, aby tylko ukończyć rekonstrukcję stadionu. Dopiąłem swego. Zaczęto o mnie mówić „twardy człowiek”, dostałem etat w instytucie, moje szanse ostro szły w górę. Okres wahań i sentymentalnych rozmyślań minął — teraz trzeba było rwać do przodu. Wiedziałem, że doktorat mam już prawie w kieszeni, byłem przewidziany na kierownika wzorcowego kursu techniki sanitarnej organizowanego przez nasz instytut, potem, jak dobrze pójdzie, będę mógł przymierzyć się do habilitacji. Przepelniała mnie energia, wiedziałem, jak żyć z kierownictwem, intryganci omijali mnie z daleka. Moda wtedy była na takich jak ja, zdolnych i rzeczowych, co to nie przejmują się drobiazgiami i nie lubią dzielić włosa na czworo.

Sasa i Słoń także brali z życia wszystko, co się dało. Przyszedł nasz czas.

Sasa poszedł po linii pracy społecznej. Z działacza związkowego w instytucie, gdzie przeważnie siadywał na parapecie, przesiadł się na solidny stołek w zjednoczeniu, a od niedawna królował na skórzanym leńiwcu w poważnej krajowej instytucji. Nauczył się cenić swoje słowa i w ogóle szanować siebie. Jaskrawe zaniedbania i błędy zaczął określać jako sporadyczne niedopatrzania. Rządził kulturą i pewnie dlatego uważał się za niezwykle kulturalnego. A przecież fakt, że

woda cieknie z kurka, nie oznacza, że tam bije źródło. Co gorliwsze lizusy wśród personelu już zaczęły małpować sepleniącą wymowę szefa: gmach rozbrzmiewał chórem sepleniących. Ale dla nas to był ciągle dawny zasmarkany Sasa.

Słoń przez trzy lata dzwonił z zimna zębami budując daleko za miastem, w Bortnyczach, ogromne, podobne do jednookich cyklopów, urządzenia oczyszczające. W końcu zrozumiał, że to nie dla niego, plunął na swoje kierownicze stanowisko i otworzył masarnię na rynku, w samym centrum. W zatłuszczonych dzinsach, wpuszczonych w walonki, stał przy niskim pniaku i ciężko sapiąc rozrąbywał cielece tusze, bezczelnie, niby to po znajomości, dorzucając każdemu kości. Dżinsy uważał za nader wygodny roboczy strój.

Jednym słowem, lepiej czy gorzej, ale wszyscy złapaliśmy wiatr w żagle i wiedzieliśmy, czego chcemy od życia.

Tylko Alik nie wiedział. I dopiero na cmentarzu zobaczyliśmy zastygły na jego kruchej, przezroczystej twarzy tajemniczy uśmiech olśnienia, jakby nagle odkrył coś, czego my nigdy nie byliśmy w stanie zrozumieć.

Mówiąc między nami, Alik był zwykłym, w dodatku chorobliwie zakompleksionym nieudacznikiem. Wszyscy trzej odnosiliśmy się do niego ze współczuciem — pewnie dlatego starał się omijać nas z daleka.

I dopiero ten niespodziewany telefon sprawił, że nasza rozproszona grupa zebrała się razem.

W ciemnym pokoju, którego okna wychodziły na Pasaż, rozstawiono długi stół. W kącie królował nieodłączny fikus. Nie porozumiewając się zajęliśmy miejsca obok siebie. Przy końcu stołu kilka dębowych krzeseł o wysokich oparciach zostało pustych. Stare, łuszczące się lustro koło szafy zasłonięte było czarną chustką. Lustro to okno na tamten świat, mówią. Matka

Alika martwiła się, że nie starczy miejsca dla wszystkich, prosiła, żeby przynieść jeszcze ławę. W jej oczach zastygł wyraz bólu, mimo to znajdowała jeszcze siłę, aby usprawiedliwiać się, że nóżki w galarecie nie zdążyły się zsiąść, biegała do kuchni i znów wracała z niczym. Nagle spojrzała na naszą trójkę i jak ryba wyrzucona na piasek zaczęła łapczywie chwycać powietrze. Wujowie rzucili się na pomoc, ale po chwili przysła jakoś do siebie.

Z lekkim szelestem coś musnęło zasłonięte lustro.

Daleki krewniak odchrząknął i zaproponował wypić za spokój duszy. Nikt się nawet nie skrzywił, wszyscy zdrowo zmarzli, stojąc przeszło godzinę na mrozie. W nastroszonej ciszy delikatnie brzęknęły widelce. Każdy siedział z oczami wbitymi w talerz.

Matka Alika znów poderwała się niespokojnie:

— Nakrycie Alika, gdzie nakrycie Alika? On też powinien być z nami.

Wujowie ostrożnie wyprowadzili ją do drugiego pokoju.

Daleki krewniak ze świstem wciągając powietrze zaproponował wypić za świetlaną pamięć. Wszyscy z ulgą wzniesli kieliszki i zaczęli sięgać przez stół po dalej stojące półmiski. Babcia w czerni żywo zakrzętnęła się wokół Słonia. Słoń przemarzył na kość na cmentarzu i teraz siedział osowiały, grzebiąc bojaźliwie widelcem w talerzu z kapustą.

— Grzech pamięci kolegi nie uczcić. Jedz, sokole, nie wstydź się. Żywi muszą myśleć o życiu. Popatrz na mnie, sama nad grobem stoję, a tyłu już przeżyłam. Dwóch zięciów. Oni, biedni, do ziemi poszli, a mnie nie bierze. Trzyma po coś na tym świecie, stare próchno.

Słoń wymawiał się, ale gdy przeleciała trzecia kolejka, poddał się i zaczął nakładać sobie wszystkiego po

kolei, ze specjalnym uwzględnieniem rybich wątróbek, które podsuwała mu babcia.

Za stołem wywiązała się rozmowa, z dużą kulturą kierowana przez dalekiego krewniaka.

— U różnych narodów, panie tego, różnie bywa. Jedni lamentują, włosy rwą, popiołem głowę posypują, albo nawet, panie tego, swoje kobiety każą palić... I konie. A znów dla tych, jak im tam, Azteków, dla nich to, panie tego, istne święto, cieszą się, czaszki z cukru lepia, wszystko, znaczy się, dla śmiechu. A my po prostu, po ludzku, wypijemy sobie, zakąsimy, dobrym słowem wspomnimy.

Słoń, któremu babcia dołożyła łyżkę grzybków, chlipnął jakoś dziecinnie:

— Nasza zagrycha... Alik też lubił.

I przypadł do ramienia babci.

— N-no, tak — znacząco przeciągnął Sasa i odsunął napoczętą butelkę jak najdalej od Słonia.

Słoń wytarł oczy rękawem, siorbnął nosem i podnosząc głowę ni stąd, ni zowąd oznajmił:

— Tylko wtedy, kiedy wyciskam te sto sześćdziesiąt z mojego pudła, czuję się naprawdę jak człowiek.

Wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę; w oczach biesiadników odmalowało się zdziwienie i dezaprobatą.

— Alik miał w sobie naprawdę iskrę bożą — powiedział Słoń wyzywająco. — Nie to, co my. No i spalił się, a my tu sobie zakąszamy.

To była prawda.

Kiedy ukończyliśmy studia i otrzymaliśmy przydziały pracy, tylko Sasa, Słoń i ja opamiętaliśmy się w porę. To nieustające święto: codzienne próby, wyjazdy na chałtury, pogoń za korzystnymi kontraktami, nie mogło trwać wiecznie. Skończyło się wraz z ową szaloną wiosną. Nasze drogi się rozeszły. Teraz każdy musiał walczyć na własną rękę. Trzeba było jakoś się

urządzić, nawiązać stosunki, zacząć coś robić na serio.

Tylko Alik był jakby nie z tego świata. Jesienią, jak za dawnych lat, usiłował nas jeszcze zaciągnąć na jedną czy drugą próbę w klubie spożywców. Ale nam ciągle wyskakiwało coś nieprzewidzianego: a to pralnia, a to lekarz, to znowu koniec miesiąca. Stopniowo tych nagłych spraw przybywało, w końcu wessały nas zupełnie i w krótkim czasie Alik pozostał sam.

Wydzwaniał do nas, łapał za ręce, obiecywał, że tylko patrzeć, a przebije się przez biurokratyczne zapory i zdobędzie przedmiot naszych snów i marzeń: wysokiej klasy erefenowską aparaturę nagłaśniającą. Wtedy z pewnością zauważy nas telewizja, wygramy konkurs „Szukamy młodych talentów”, wybijemy się i stworzymy super oryginalny własny styl.

Biedny Don Kichot! Komu on to mówił! Za naszymi plecami niepostrzeżenie wyrosła druga zmiana, czekająca tylko, by nas zluzować, nowa generacja krótko strzyżonych facetów z gitarami. Oni umieli grać co najmniej tak samo dobrze jak my, a może i lepiej. Konkurencja stawała się coraz ostrzejsza, zespoły mnożyły się jak grzyby po deszczu, większość młodych zdolnych umiała cynicznie i bezpardonowo spekulować na folklorze, co wzruszało do łez liczne komisje kwalifikacyjne. Młodzi zdolni mieli dobre zaplecze: występowali pod firmą dużych zakładów przemysłowych lub wyższych uczelni. A my byliśmy jak to kukułcze jajo. Nikt się do nas nie przyznawał. Przybiegaliśmy na każde gwizdnięcie. Kto miał gwarantować nasz sukces, zapewniać dojście do telewizji? W najlepszym razie udałoby się nam doczepić do nowo utworzonego zjednoczenia zespołów rozrywkowych i chałturzyć na weselach. W naszym wieku było to po prostu niepoważne.

Trzeba było mieć pewny kawałek chleba.

Alika kosztowało to masę nerwów, ale ani myślał

kapitulować. Jednak w czasie, kiedy my z szeregowych inżynierków awansowaliśmy do średniej kadry kierowniczej, on wraz ze swoim świeżo utworzonym zespołem potrafił przedostać się tylko na wojewódzki przegląd konkursowy. Nowa generacja młodych zdolnych podchodziła do sprawy rzeczowo. My wypruwaliśmy z siebie żyły, nigdy nie myśląc o sobie. Oni przeciwnie — mieli na oku przede wszystkim własny interes. Zdobywszy na konkursie trzecie miejsce, chłopackowie Alika od razu podpisali intratne kontrakty z grającymi po knajpach zespołami i zaczęli wytłukiwać z klientów tęczowe papierki.

Alik znów został sam. W czasie, kiedy my ze średniego drapaliśmy się na wyższy szczebel i z lubością obejmowali nowe stanowiska, on zdołał tylko przepechnąć do radia, w jakimś podwieczorku przy mikrofonie, jedną swoją piosenkę, którą zresztą wykonawca o głosie operowego śpiewaka bezlitośnie spaprał. Piosenkę zaliczono do motyli-jednodniówek i więcej do Alika się nie zwracano.

Alik chodził przygarbiony i nachmurzony. Dojrzawszy kogoś z nas na ulicy chował się jak ucniak za plecami przechodniów, wchodził do sklepów, a jak już nie dało rady inaczej — wskakiwał do przejeżdżającego trolejbusu. Prowadził jakieś „zajęcia” — chyba były to sześciomiesięczne kursy gry na gitarze organizowane przez garnizonowy dom oficera, a może klub milicyjny — potem zdaje się kierował zespołem amatorskim przy jakimś przedsiębiorstwie. Ale, oczywiście, to nie było to. Alik nie należał do zawodników, którzy lubią wlec się w ogonie peletonu.

Spotkany przypadkiem opowiadał, spuszczaając przygasłe, jakby przysypane popiołem oczy, że wszystko jest „okej”, że właśnie dostał zamówienie na muzykę do jakiegoś filmu animowanego, coś na wzór „Żółtej łodzi podwodnej”. Mowa-trawa. Mieliśmy swoje lata

i wiedzieliśmy, że tego filmu oko ludzkie nigdy nie zobaczy. Z kolei on bez specjalnego zainteresowania wypytywał, jak nam leci, jakie mamy osiągnięcia, co nowego kupiliśmy. Tu było o czym opowiadać!

Kiedys — było to na głównej ulicy — Słoń obiecał, że przez swoje znajomości załatwi mu miejsce po prostu super lux — kierownika orkiestry w przedsiębiorstwie „Inturist”, gdzie czasem i twardą walutę można trafić. Alik zaczął ordynarnie wyrzaskiwać „Ech, kalinka-malinka, kalinka maja”, patrząc Słoniowi prosto w oczy i wymachując mu przed nosem brudną chusteczką, kłaniając się uniżenie i podejmując go pod kolana.

Pewnego razu Alik z własnej inicjatywy złożył Słoniowi wizytę. Odnalazł go na zapleczu i zacinając się poprosił o pożyczkę: trafiał mu się wielokanałowy wzmacniacz Philipsa. Słoń kategorycznie oświadczył, że na takie duperele nie da — lepiej tę forszę przepić. A że Alik nie protestował, zaciągnął go, w samo południe, do sali bankietowej, gdzie o tej porze byli tylko we dwóch, poił szampanem do nieprzytomności, osobiście nakłuwiał na widelec i wpychał w Alika marynowane grzybki. Kiedy przyszło do płacenia, Alik łupnął się w pierś i z okrzykiem: „Dobroczyńco mój!” usiłował całować Słonia po rękach, w których tkwił grubo wypchany portfel. Znajomy kelner szepnął potem, że Alik sam z góry za wszystko zapłacił.

Sasa zaprosił Alika do swojej instytucji, posadził, dokądś zadzwonił i napisał liścik. Na tej podstawie Alik bez zbędnych formalności miał zostać zaangażowany do filharmonii, do zespołu gitarowego. Przez cały czas, gdy Sasa pisał, Alik melancholijnie przyglądał się ogromnemu fotelowi, który mógł pomieścić trzech takich jak Sasa, a kiedy do gabinetu wparowała energiczna dama z jakimiś papierami, nagle oświadczył, że nigdy nie będzie żabą, która skrzeczy w chó-

rze, i demonstracyjnie podarł liścik, czym niesłychanie skompromitował odpowiedzialnego pracownika aparatu. Ja, rozumiejąc delikatne położenie Alike, taktownie nigdy nic nie obiecywałem, nie udzielałem pryncypialnych pouczeń, nie robiłem głupich aluzji, ale na własnym przykładzie starałem się mu pokazać, do czego można dojść konsekwentnie przewycięzając trudności. Uspokajałem go, że on ma jeszcze wszystko przed sobą. „Tylko ogon za sobą” — odpowiadał nieuprzejmie. I właśnie mnie, taki okaz wyrozumiałości i pobłażliwości, Alik nie wiadomo czemu omijał jak najdalej. Robił to instynktownie, jak omijają niebezpieczeństwo zwierzęta i dzieci. Prawdopodobnie ciągi, których nie szczędziło mu życie, sprawiły, że zupełnie zatracił naturalne poczucie wdzięczności, jakie winno się okazywać każdemu, kto rozumie naszą niepewną sytuację i stara się postępować możliwie delikatnie.

My już dawno wykierowaliśmy się na ludzi — on jeszcze tkwił gdzieś na samym dole drabiny społecznej. Naprawdę żyrzyliśmy mu dobrze, a on jak szczekniak rzucał się z zębami na pomocną dłoń.

Zanim podano gorące danie, nie chcąc przeszkadzać gospodarzom przy zmianie nakrycia, wyszliśmy na schodki zapalić. I tu Słoń, jakby go giez ukąsił, napadł na mnie:

— A ty czemuś milczał? My staraliśmy się przemówić mu jakoś do rozumu. Nie lubił nas za to. A tyś siedział cicho. Chciałeś być lepszy?

— Co tam my. Ciebie na pewno by posłuchał. Pseł tobą wsycy cują respekt — zaseplenił Sasa, wyraźnie się przybiedniając. Widać było, że dobrze opanował sztukę przerzucania winy na inne instancje.

— Co wam będę tłumaczył — rąbnałem. Zatkalo ich. Tak się złożyło, że po tamtym feerycznym koncercie, który miał być naszym łabędzim śpiewem, kiedy

już pogasły reflektory i zespół zaczął się rozchodzić, okazało się, że ktoś musi zostać i pilnować pozostawionej na estradzie aparatury. Mikrobus miał przyjechać po nas dopiero rano. Noc była niezwykle jasna, rozgwieżdżona, spadła obfita rosa i nic nie zapowiadało deszczu.

Alik widząc, że wszyscy słaniamy się ze zmęczenia, postanowił zostać na gospodarstwie. Przynieśliśmy mu nadmuchiwany materac, zamiast kołdry były jakieś pokrowce. Jeszcze chwilę pożartowaliśmy, wypaliliśmy ostatniego papierosa. Z ciemności dochodziły wybuchy śmiechu, ogniste robaczki błędziły po estradzie, w końcu pozostał już tylko jeden milczący punkcik. Poszliśmy spać.

I wtedy właśnie ni stąd, ni zowąd przyczepiła się do mnie Nata, obiekt skrytych westchnień całej naszej paczki, choć jeden przed drugim udawaliśmy, że nie ma sprawy — wystarczyło zobaczyć wyraz jej oczu, gdy tylko w pobliżu pojawiał się Alik. W ogóle, zgodnie z ówczesną modą, Nata funkcjonowała przy zespole na zasadzie przynoszącego szczęście talizmanu. Woziliśmy ją ze sobą wszędzie, gdziekolwiek przyszło nam występować. Jej wyszukany, daleki od taniego szpanu, cygański sposób bycia przydawał zespołowi niezwykłości, podnosił jego rangę i znaczenie. Nata nie pozwalała rozmieniać się na drobne, puszczać się na tanie naśladownictwo ani grać pod publiczność — wymagała od nas rzeczy niewyobrażalnych i wręcz niemożliwych, była miniaturowym źródłem natchnienia.

I kiedy tak szliśmy pogrążoną w ciemnościach alejką w stronę namiotów, Nata nagle się zatrzymała. Błyski nadciągającej burzy, od jakiej jeszcze dzieliła nas rzeka, oświetlały jej bladą jak papier twarz, na której malowała się determinacja. Patrząc na mnie pociemniałymi z nienawiści oczyma, schrypniętym z przepalenia głosem powiedziała:

— Wiesz, chyba wyjdę za ciebie. Ty daleko zajdziesz. Z ciebie jest prawdziwa maszyna do życia.

Ośłupiałem.

— A co z Alikiem?

— On mnie nie potrzebuje. On nikogo nie potrzebuje, on ma swoją muzykę. I przez nią się spali.

To była prawda.

Nata została moją żoną. Zmusiłem ją, by rzuciła palenie. Zapisałem na kursy kroju i szycia. Kupiłem książkę kucharską. Razem konserwowaliśmy grzybki na zimę. Urodziło się nam dwoje dzieci. Roztyła się i panicznie, wprost obsesyjnie bała się, żeby przypadkiem nie spotkać się z Alikiem.

Czy mogłem ryzykować swoje skradzione szczęście?

Znów poproszono nas do stołu. Atmosfera zrobiła się lżejsza. Babcia w czerni opowiadała, jak mały Alik lubił podkraść się i zniecka zatrąbić jej w ucho. Daleki krewniak rozwodził się nad perspektywami rozwoju kremacji w naszym mieście, nadymał się i nie wiadomo po co łągał, że swoje ciało zapisał Akademii Medycznej do jakichś doświadczeń. Matka Alika, od której ostro podjeżdżało walerianą, patrzyła już trochę przytomniej, dyrygowała podawaniem gorących dań, namawiała do jedzenia. Potem przysiadła się do nas i zaczęła rozplływać się w podziękowaniach: że tyle kłopotu sobie zrobiliśmy z przyjazdem, że znaleźliśmy czas, choć przecież wszyscy pracują — ona to rozumie i naprawdę bardzo, bardzo dziękuje. Ja patrzyłem w sufit, Słoń — w ziemię, a Sasa — gdzieś w przestrzeń. Ostatnio Alik często nas wspominał, mówiła, dlatego w ogóle odważyła się fatygować tak zajętych ludzi, ale to jakby jego ostatnie życzenie.

— Tam zostały jakieś nagrania, może panowie przesłuchają — zaglądała nam w oczy, od czasu do czasu wtrącając jak automat: — Proszę, proszę się często wać.

Z poczuciem wzajemnej obcości wychylaliśmy kieliszek za kieliszkiem, ale nikt nie czuł nawet szmerku w głowie. Okazało się, że Alik cały czas o nas pamiętał! A my? Bezsilna, zła rozpacz, trzeźwe poczucie nieodwracalności tego, co się stało, dusiły nas za gardło, domagały się przynoszącej ulgę pokuty, natychmiastowego działania. Każdy chciał się jakoś usprawiedliwić, okazać się dobrym — nie gdzieś tam, kiedyś, ale zaraz, tutaj. Gdyby w tej chwili Alik stanął przed nami i nieśmiało, jak to on zwykle, poprosił, żeby pojechać z nim choćby na drugi koniec miasta, do jakiejś nędznej sutereny, tobyśmy pojechali, ba, na kolanach byśmy poszli i chodzilibyśmy tak codziennie. Ale nie było komu przyjąć pokuty, uwolnić od grzechu — na wszystko było za późno.

Był duszą naszej paczki — a teraz jej zabrakło. Zostały trzy pozbawione duszy ciała, uginające się pod niewyobrażalnym ciężarem wiecznego potępienia.

Potem siedzieliśmy w pokoju Alika i słuchaliśmy. Było to coś, czego całkiem nie znaleźliśmy: wibrujący jak szlachetna stal, chwilami anielsko łagodny, za chwilę dyszący wściekłością głos, który łamiąc tradycyjne układy harmoniczne wzlatywał na jakieś nieosiągalne wyżyny, a potem składał skrzydła i spadał w mroczne czeluście, kipiał nie znaną namiętnością i pasją. Przed nami roztaczał się jakby ogromny, wypełniony tłumem plac, zupełnie jak przed domem towarowym. Na środku, przy fontannie siedział niewidomy kobziarz i przy wtórze elektrycznej gitary śpiewał jakiś szalony rapsod o talencie i sumieniu; tłum patrzy koso i z daleka obchodzi to dziwaczne, niezaplanowane zjawisko, tak nie pasujące do naszego zaplanowanego i zorganizowanego świata. W tym samotnym głosie była cała orkiestra, szum deszczu i huk gromu, łopot skrzydeł i kwilenie czajki, ten samotny głos był syntetyzatorem nowych, dotychczas nie zna-

nych instrumentów, pulsował niespokojnym wielowarstwowym rytmem nowej rodzącej się w kosmiczne pustce supergwiazdy.

Alik sam nagrał na wielościeżkowej taśmie swój śpiew i cały podkład muzyczny, nie wyłączając perkusji. I było to nieporównanie lepsze, bardziej dojrzałe, niż gdy robiliśmy to my: Sasa, ja i Słoń.

Na ogromnym drzewie życia my trzej wrosliśmy w gruby, pokryty tęgą korą pień. Tylko on wybujał jak bezbronny, wrażliwy na najmniejsze skaleczenie zielony pęd, wyciągnął się na nieprawdopodobną wysokość, przebił twardą kopułę nieba i dotknął tajemniczego, nieznanego świata. Był słabą, ale odważną gałązką, czujką, która w naszym imieniu wysuwała się ku przyszłości. Złamały go burze szalejące na ogromnych wysokościach — my pozostaliśmy nisko przy ziemi.

Wypiliśmy strzemiennego i wyszliśmy w błękitny, wczesnozimowy zmrok. Słoń zaproponował, że nas podrzuci. Wsiadliśmy do nowiutkiej ciemnozielonej Żiguli. Motor ryknął, auto poderwało się i nabierając prędkości pomknęło krętym labiryntem uliczek. Słoń bębnił palcami po kierownicy, mrugał do nas w lusterku, wrzeszcząc na cały głos: *Let it be*. Obaj z Sasą patrzyliśmy na niego z przerażeniem: auto z determinacją gnało na czerwone światła, wpadało w poślizg, piszczwały hamulce — Słoń najwyraźniej czuł się znowu człowiekiem.

Na rogu Uniwersyteckiej i Basenowej tuż przed maską naszej Żiguli wyrósł znienacka jakiś przygarbiony, zamyślony cień, znieruchomiał i o ułamek sekundy za późno uskoczył wypuszczając z rąk jakiś nieokreślony przedmiot.

Nawet się nie obejrzelśmy.

Tłumaczyła Tatiana Hołyńska

Longplay

Jest niedzielny poranek. Siedzę sobie na parapecie, pojadam konfiturę z róży, słucham zdartych ze starości płyt. Przyglądam się sobie w lustrze, próbuję znaleźć w nim swój obraz i nie mogę. Wszystko się rozplywa jak w szybie, po której spływa jesienny deszcz. *Podobamy się sobie nawzajem, ja tobie, a ty mnie...* Z wirujących rowków ściekają żółtosmutne, deszczowe słowa.

Nie mogę odnaleźć siebie w tym szkiełku. Nic nie widzę. Czy dawniej też byłam taka? Buzia z dołeczkami, włoski lniane, wypisz wymaluj niemiecka laleczka. Tyle że bez metki. No i śmieszka okropna. Kierownicza, ciocia Hłasza, zawsze powtarza: „Naszej Luśce wystarczy paluszek pokazać i już boki zrywa”. A dziś, niech tylko się schylę, to z piersi się takie stłumione „m-a-m-m-a” wyrywa. *Nie ma jak u mamy, ciepły piec, cichy kąt, nie ma jak u mamy...*

„Prostaczek, powiedział, prostaczek-pustaczek. A rozumek tycki.” Powiedzcie mi, ludzie kochani, czemu taka jestem, proszę, powiedzcie.

Siedzę sobie sama na parapecie — i rozmyślam. Nieczęsto tak się zdarza. Człowiek przeważnie w gromadzie. No i dobrze — nie ma kiedy rozmyślać. Dziewczyny ciągle tylko ha-ha-ha, hi-hi-hi, jedna drugiej przygada i tak leci. A dziś samiuteńka się zostałam. Łyso jakoś, niewesoło. Halina znów do Walerki poleciała — sweterek odbierać, co go najpierw sama podarowała, ale się potem na potańcówce pokłóciły. Zinka lodami na stadionie handluje, na flaszkę dla swo-

jego zarabia, bo ten jej jak się nie napije, całować nie chce. Witka nowego kawalera ma — z instytutu kosmetycznego. Zabrał ją na wystawę psów. Takiej to dobrze, każdego sobie wokół palca owinie. Ciemne okulary włoży i już — zagraniczna turystka. Zwłaszcza z daleka. A jej w to graj: *Ha-ha-ha, monsieur, la-la-la, je ne vous comprends pas*. Ostatnim razem ten „monsieur” razem z zagranicznymi klapkami się ulotnił — na bosaka z plaży przyleciała. *Good-bye, my love, good-bye...* Gdzie mi tam do niej! We mnie każdy jak w otwartej książce czyta. Niech tylko jakaś babina drogę na bazar popłacze, żeby nie wiem ile ludzi nokoło było, zawsze do mnie jak w dym. Luśka — i tyle.

W ogóle to nie lubię tak sama siedzieć. Ciotka Hłaska zawsze powtarza: „Luśka to jak ten Cygan — dla towarzystwa da się powiesić”. Może do Zinki iść albo co, poderwać jej jakiego chłopaka. Jakoś nie mam rozpędu. Nie mogę, nijak nie mogę pojąć, czemu ze mnie taki cudak. Jak komu wesoło — to i mnie wesoło. Jak kto ma zmartwienie — ja też od razu mam oczy w mokrym miejscu. Wtóruję jak ten pies, gdy mu patefon nastawia. A sama z siebie — takie jestem ni to, ni sio. Ani wesoła, ani smutna. W szkole nauczyciele próbowali coś ze mnie wykrzesać, walczyli, w końcu machnęli ręką. „Nie masz analitycznego podejścia — mówią. — Wszystko ci pasuje.”

Chyba rzeczywiście nie mam. Wszystko się we mnie odbija jak w wodzie. Siadły na wodzie kaczki. No i dobrze, myślę, pewnie zdrożone, niech sobie odpoczną. Przepłynęły górą chmurki. No i dobrze, widać dokądś im śpieszno. Przeleci nad wodą wiatr, toń ledwie się zmarszczy, sitowie zaszeleści — i znów przejrzysta, nieruchoma tafla leży. Zachodzi słońce za horyzont — w porząsiu, wschodzi, mgiełką zasnutę — dobra jest. Takie już ze mnie ni to, ni sio. I na co komu takie coś?

Chyba u mnie nie wszystko po kolei. Po ósmej klasie powiedzieli mi, żebym raczej do technikum się kierowała. Zgodziłam się. Po co innych do tyłu ciągnąć, poziom obniżyć? Tylko nauczyciel rysunków żałował, że sobie idę, inni nawet nie wiedzieli, że była taka Luśka. Nad czym się tu rozwodzić? W zawodówce mam lepiej. Wszyscy mnie lubią, nachwalić się nie mogą. Dusza człowiek, mówią, porozmawiać z nią zawsze można, wyzalić się. A jaki tort na zakończenie roku zrobiłam! Komisja powiedziała, że coś takiego to nawet kroić szkoda. „Kwietnik” się ten tort nazywał, po wierzchu aksamitkami z czekolady przybrany. Do fabryki cukierków chcą mnie wziąć. Więc jednak jestem potrzebna. Przynajmniej komuś na coś jestem potrzebna.

A tamte szkolne rysunki to nauczyciel sobie wziął. Że też coś takiego przychodziło człowiekowi do głowy. Kiedyś wesele narysowałam. Na honorowym miejscu wujko Sydir, wioskowy harmonista — siedzi, miechy rozciąga. Piersi spod orderów nie widać, zamiast tułowia — zdobyczny akordeon, nóg też próżno szukać — zamiast nóg tylko kółeczka takie. Przed nim graniasta szklanka z grubego szkła, pełna po brzegi. Wujko miechy rozciąga i zdusza, jakby oddychał. Całą duszę wkłada w tę grę — i ta dusza raz otwiera się szeroko, to znów zamyka się w sobie.

Za oknem już prawie jesień. Trzy psy pobiegły dokądś w podskokach. Na przystanku dwa autobusy — jeden stary, drugi nowiuteńki. Sześć wron poderwało się ze słupów — pięć czarnych, jedna biała. Na dwuletnim kasztanie dziewięćdziesiąt siedem listków zostało, z samego rana była jeszcze równiutka setka. Opodal w sadzie jabłonka do snu zimowego się szykuje. Widzę, jak pod korą zimowa krew stygnie jej w żyłach, korzenie głębiej w ziemię się zakopują.

Ciekawe, czy przyroda jest rozumna?

Ta dziewczyna, co z kierowcą na przystanku rozmawia, ma niezły płaszcz. W talii dopasowany, niżej szeroki klosz. Dobrze by było mieć taki! Stale tylko ciuchy mi w głowie — chyba naprawdę rozumek u mnie tyci.

Zeszyt sobie taki zaprowadziłam jak wszystkie dziewczyny u nas. „Zimne ręce — serce gorące” zapisałam sobie kiedyś. A on przecież wtedy zimne ręce miał.

Chcę o nim zapomnieć i nie mogę. Dziwny jakiś. Kpiarz. Ale mądry — dziewczyny wierzyć nie chciały, że w ogóle tacy się trafiają. *Kocham cię, a kochanie moje to polana w leśnym gąszczu schowana... wana... wana...* Trzeba igłę poprawić. No, sama zaskoczyła. Nie mogę go zapomnieć. Tusz mi się na rzęsach rozmazał — nawet nie mam siły się ruszyć. Kretynka. Trzeba było nie brać tej marynarki, co mi ją na ramiona zarzucił...

Tę praktykę nasze technikum jak co roku miało na południu. *Gdzie morza toń błękitne fale toczy...* Stołówka nad samą wodą, bufet w suterenie. Po każdym sztormie piasek i żwir wiadrami można było wynosić. Przez cały sezon człowiek wszystkiego zakosztował: i przy kuchni, i przy zmywaniu. Najbardziej lubiłam podawać. Zawszeć to wśród ludzi robota. Klienci prawie nadzy, słońcem rozgrzani, my też prawie nagie, spocone, rozgrzane. Żeby ich nie pogonić — na głowę by wleźli. Jednemu byle co na na talerz wrzucisz — przełknie raz-dwa i jeszcze podziękuje. A czasem znów nudziara się przyczepi: a to ziemniaki nie dogotowane, a to muchy za uszami brzęczą. Jakbyśmy specjalnie takie aktywistki hodowały! A tego, że morze czyściutkie, to nie widzi, na plaży też — żeby nie wiem jak zaświnione było, to jej nie przeszkadza. Poniektóry nawet głos potrafi podnieść, jakbym jego prywatną

kuchtą była. W domu to pewnie jak trusia, odetchnąć się boi. Z takim sprawa krótka: „Najpierw — mówię — dowód proszę okazać, dopiero potem książki zażaleń żądać. Skąd mogę wiedzieć, czy obywatel nie karany?” A skąd taki golec ma wziąć dowód? Więc ja też bez żadnej złości zaznaczam, ale tak, dla porządku. Ciotka Hłasza wszystkim mnie za przykład stawia. „Lepiej, mówi, z nią nie zaczynać. Tylko, Luśka, na zakrętach uważaj.” Zuch dziewczyna, daleko zajdzie — taką sobie opinię wyrobiłam.

Co tu gadać, dziewczyna jestem przy kości, ale się nie przejmuję. Wczasowicze zawsze na mnie „marcepanik” wołali. Stanie taki człowiekowi nad głową, ładę brzuszyskiem popycha i dalejże zęby szczerzyć. „Na pani widok ślinka człowiekowi idzie. Gdzież to takie ślicznotki się rodzą?” „Na grządce, pod arbuzem” mówię. Znam ja tych donżuanów — na ciebie ani spojrzę, tylko za chochlą oczami wodzi, byle lepszy ochłap podłapać. Zawsze takiemu kuper wybierałam. Każdemu według zasług. Ja się na ludziach znam.

A jeszcze „kocia mama” na mnie mówili. Moja wina, że się do mnie każde stworzenie łąsi? Wezmę miskę, zgarnę spod zlewu kostki z drobiowych szaszłyków i całej ogoniastej gromadzie bankiet wyprawiam. Masa ich tam była. I czarne jak węgiel, i rude, i pręgowane jak tygrysy, i jakieś takie dziwne, myszate. Cała cygańska rodzinka. Pęta się toto pod nogami, ogonami wywija, mruczy, w oczy zagłada. Żal mi ich było — jak toto sobie beze mnie zimą poradzi? Nie da się ukryć — kocia mama.

Wieczorem, jak nie trzeba było ziemniaków obierać, chodziło się z dziewczynami na potańcówki. Pudrowałyśmy oblażące ze skóry nosy, ale psu na budę się to zdało: wszyscy od razu nas poznawali. „Kuchareczki przyszły, kuchareczki-lupineczki”. Muzyka gra, światła

mrugają. Czasem to tak się uśmiealiśmy, że aż brzuch człowieka bolał. „A ja mu na to...” „A on mi...” *Złamano już tyle serc, wspominać nawet żal... Miłość i smutek wciąż idą w parze...* Trzeba pudełkiem zapałek głowicę przycisnąć, to nie będzie przeszkakiwać. *Wspominać nawet żal...*

Siedziałam jak raz przy kasie. Kolejka ogromniasta, trzeba uważać, żeby ktoś z boku jakiejś zakąski nie podprowadził. Ogonek się denerwuje: „Nie można by szybciej, proszę pani?” „Nie można — mówię — człowiek nie automat”. Dopiero się zaczęło: „Taka młoda, a już...” Na kogo mają sobie teraz pokrzyczeć jak nie na sprzedawcę. „Państwo tu odpoczywają, a ja pracuję” — odpowiadam kulturalnie, ale tak, żeby ich zatkało.

Wrzask, hałas, aż uszy puchną. I nagle podjeżdża pod kasę taca, podnoszę oczy — studencik chudzina, szorty obszarpane, ze starych džinsów, pierś w różowych pęcherzach, przesadził z tym słońcem, a oczy czarne... czarne... czarne... I jakieś takie smutne. Na tacy tylko podwójny makaron i kawałek chleba.

— Ile za to wszystko?

— Siedemnaście kopiejek.

— Dwie zaraz doniosę — zaczyna grzebać po kieszeniach. — Portmonetki nie wziąłem.

Głodny, widać, jak te moje koty. Ale dumny.

Poleciałam do kuchni, w rondlach zawsze na dnie kawałki słoniny od smażenia, przyniosłam, stawiam przed nim.

— Co to? — pyta nieufnie.

— To taki mój wynalazek — odpowiadam. — Trafi się ochotnik, to na nim wypróbuję.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem, ale wziął. Jak ja częściej, to nikt nie może odmówić. Potem nieśmiało, jakby w rewanżu, mówi: „Może wieczorem przesłizbyśmy się kawałek?” A ja, głupia, przystałam. Żal mi

się go zrobiło. Może chce swoich wesołków na moje towarzystwo zamienić? — myślę. Widziałam kiedyś w barze tę całą paczkę. On wszystkim stawiał. Takie wyskubane arystokraty jak kury trzeciego gatunku — sina skóra i kości. Po prawdzie, nie bardzo wierzyłam, że w ogóle przyjdzie. Niezłe ziółko, puścił pewnie tatusiowe pieniądze, do domu pisać się boi, myśli, że się u mnie podratuje.

Poszliśmy na film do domu zdrojowego. Wchodzimy, on coś ociąga się, kluczy — no to sama kupiłam bilety. Jeden taki reporter w Afryce paszport podmienił, że niby zginął, a sam, Odyseusz, od żony i dzieci chciał zwiać. I niby to miał być jego zawód. Przynajmniej ja tak to rozumiałam, nie wiem, jak inni. A w ogóle nudy na pudy. On w ekran się gapi jak sroka w gnat, jakbym była powietrzem. Aż mnie złość wzięła. Wstać i wyjść? Co to da? Siłą mnie przecież nie trzyma, więc i bronić się nie ma przed czym. Nie to, co inni: jeszcze nie usiądą, a już o skórze zaczynają: „Ach, jakie pani ma chłodne ramię, jaką delikatną skórę”. A ten siedzi jak kołek, w ekran się gapi — raz tylko przez zęby szepnął: „Czy można uciec od siebie?” „Do mnie nie można — mówię. — Gospodyni czujna jak pies.”

Spojrzał na mnie takim nieprzytomnym wzrokiem, że poczułam się trochę dotknięta. Przytuliłby się czy co, jak inni. To jednak jest jakaś oznaka zainteresowania — kobieta tego potrzebuje. A on nic, uważa pewnie, że jest wyższy ponad takie rzeczy. Gdzie mi tam do niego!

Noc była wtedy cicha, cichuteńka. Winorośl nawet nie zaszeleści, listki stoją jak wycięte z blachy. Maciejka pachnie, aż się w głowie kręci. Idziemy krętą uliczką pod górę, on gada jak nakręcony. Wypytuje jak mi idzie w szkole, jakie wrażenie zrobił na mnie film, czy rozumiałam ten, jak mu tam, potok świado-

mości, jakieś pierwiastki egzystencjalne, tragizm istnienia. „Pantofelki miała ładne — powiedziałam na złość. — To na mnie zrobiło wrażenie”. Sapał tylko i zamilkł. Wtedy het, z dołu, doleciał szum morza — szedł sztorm. Powiało świeżością. Z estrady pod gołym niebem słyhać było muzykę, widać tańce jeszcze się nie skończyły. Melodia chwyciła za serce — biały walc. Tak mi się jakoś dobrze zrobiło — żebym to mogła być tam z nimi, z dziewczynami. Wzięłam go za rękę. „Proszę pana do tańca. Ten walc jest tylko dla pana.”

Zatrzymał się i posmutniał do reszty.

— Czy pani dużo czyta? — zapytał.

— A pan co, książki ze mną tu przyszedł czytać — rąbnęłam bez ogródek.

— Dziwnie — powiedział. — A mnie się zdawało, że w pani uśmiechu jest coś tajemniczego. Pewnie brwi też sobie pani wyskubuje, jak tamta, zgodnie z nakazem mody?

— Aha, zgodnie z nakazem — mówię z głupia frant. — A pan pewnie myślał, że to na pana cześć tak się namęczyłam.

— Pierwovzór też godzien współczucia — mówi.

A w czymże ja, powiedzcie sami, w czym ja jestem gorsza od tamtej? Może tylko nie każdy potrafi mnie zrozumieć. Nie każdy, nie każdy.

Myślałam, że się potem ode mnie odczepi. Ale nie. Nazajutrz przyszedł, trzeciego dnia także. *Odczuł chyba serduszka maleńkiego nieprzebraną dobroć...* Siada i patrzy z daleka. Zwijam się jak w ukropie, wczasowiczów po kątach rozstawiam — niech nie myśli, że bez niego już życia nie ma. Czwartego dnia podchodzi, zaczyna tłumaczyć, że doskonała forma powinna zawierać równie doskonałą treść. Niby że we mnie tej treści mało, za to w nim dużo.

— Wstyd mi za panią — mówi. — Wszystko w pa-

ni piękne, póki pani milczy. Trzeba pracować nad sobą. Przyniosłem tu taką książkę...

— Dziękuję — odpowiadam. — Już czytałam.

A porcje to mu zawsze nakładałam jak sobie. Ciotka Hłasza nieraz mówiła, że do serca mężczyzny droga przez żołądek. Ale ja nie dlatego. Tyle że on teraz ledwie widelcem w talerz dziubnie, a na mnie tak dziwnie patrzy, jak na diament, co nim szyby tną. Powzdycha, powzdycha, potem bierze książkę i idzie nad morze. Może bym także poszła, ale nie ma jak — robota goni, kotłów brudnych nie można zostawić. Na mnie przecież cały kolektyw stoi.

Już pierwsze winogrona na bazarze się pokazały, a między nami nic, ale to zupełnie nic się nie układa. On już całkiem szerniał — dosłownie, ale i w przenośnym znaczeniu też. I nie wiadomo, mówi, czy to od tego słońca, czy przeze mnie.

Sierpień się kończył, trzeba było na studia wracać. Chodźmy, mówi, pójdziemy na pożegnanie obejrzyć wschód słońca nad morzem. Tyle mam pani do powiedzenia. Co mi szkodzi? Przecież mnie nie ubędzie. Naszykowałam, co trzeba, i o zmierzchu poszliśmy na daleki cypel.

Taki był wtedy księżyc, taki księżyc... Powietrze aż duszne. Nagrzane kamienie jak żywe zwierzątka pełzną w stronę morza. Z tyłu, za drogą, na porosłej piniami górze grają cykady. Wszędzie spacerują pary, coś do siebie mówią, śmieją się. A my siedzimy bez słowa — jedno drugiemu nie ma nic do powiedzenia. Czyja to wina? Niczyja. Zupełnie jakbyśmy mówili każde innym językiem. Tylko tak smutno, tak smutno. Wzdychamy jak wiatr, niewyraźne obrazy w głowie się kłębią i przepływają jak fale. Czemu to tak? Czemu ja go tak męcę? Kto winien, żeśmy tacy nieszczęśliwi?

— Pójdę się wykapać ostatni raz — poderwał się ze sztucznymżywieniem. — Chodźmy!

Nie poszłam. Zamoczyłam tylko stopy w żywym srebrze i tak chwilęostałam. Statek z wycieczką ryknął i wypłynął z przystani. *Tylko mnie zaprosz do tańca, ja o nic więcej nie proszę...* Rano znów morze będzie wyrzucać na brzeg puste butelki. Woda ciepła jak gotowane mleko. Minęło pół godziny, jego nie ma i nie ma, już się zaczęłam niepokoić. Wreszcie wylazł, zębami szczęka, za nic rozgrzać się nie może. Już mu i marynarkę oddałam, bo kosteczkami o kamienie dzwonił, jakby był ze szkła. Ale do domu wracać nie chciał. „D-d-do m-mnie n-nie można, m-mi już wcz-o-raj chata się skończyła”.

No i co z takim robić?

Usiedliśmy jedno przy drugim, jakby wrośnięci w siebie, jakby zasłuchani w bicie jednego serca, co za dwoje w piersi stukało, i milczymy. Dokoła cicho, cichutko, tylko przybój szumi coraz głośniej. Ogrzał się trochę i zaczął szeptać jak w gorączyce:

— Proszę mi wybaczyć, Lusienko. Żeby pani wiedziała, jaka pani piękna. Jak z piany morskiej zrodzona. Ale między nami — przepaść. Serce pragnie, ale rozum mówi — nie.

Długo, bardzo długo tak mówił, wyplakiwał mi się w podolek, że ze mnie takie ni to, ni sio, że sytuacja zupełnie bez wyjścia. A ze mną działo się coś dziwnego: wszystko niby doskonale rozumiałam, ale w głowie kołowały tylko słowa piosenki: *Pa-pa-pa, podaruj mi woskową laleczkę, pa-pa-pa...* Z trudem powstrzymywałam się, żeby nie zaśpiewać tej znienawidzonej piosenki. A potem nagle objęłam jego i cały jego ból, a on bezradnie całował mnie, ciepłą, dobrą, głupiutką jak ślepe kocię i tylko starałam się uciszyć pocałunkami jego usta, co nie przestawały szeptać.

Rano się budzę, patrzę — nie ma go. Pojechał pierwszym wodolotem i tylko słowa mi na pamiątkę zostały. głęboko jak w rowkach płyty wyżłobione. I teraz

stale je słyszę. Wystarczy igłę przyłożyć, a już syczą: *Od gwiazdy do gwiazdy milion świetlnych lat jazdy, od człowieka do człowieka droga równie daleka... A na kartce — telefon. Próbowałam dzwonić przez między-miastową, ale w słuchawce tylko: „Nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru”.*

Siedzę teraz na parapecie i myślę: na co komu takie ni to, ni sio. I płaszczyka na zimę nie mam, i żyć dalej trzeba. I tak ciężko, tak strasznie ciężko wstać, igłę poprawić. *Nie ma jak u mamy... nie ma jak...*

Tłumaczyła Tatiana Hołyńska

„Kózka”

W pięćdziesiątym siódmym roku życia Stepan „Sekrement” rozszedł się z żoną. Stało się to, można powiedzieć, przez głupi przypadek. Któregoś dnia wieczorem wybrał się do pobliskiego lasu, żeby wyciąć stylisko do łopaty, bo stare się złamało. Chodził, chodził, szukając odpowiedniego drzewka, i przydybał swoją żonę Darkę z jakimś kierowcą czy kombajnistą — z tych co to każdego roku przyjeżdżają pomagać przy żniwach. Chłop uciekł, mignął tylko wśród drzew — Stepan nie zdążył nawet dobrze zobaczyć jego twarzy — a Darka została. Siedziała w trawie na zeszlórocznych liściach, przyciskając rękę do rozchełstanej bluzki, i patrzyła na męża od dołu pijanymi oczami, aż białymi od niedawnego kochania. Stepan przyprowadził ją do domu pod konwojem, z siekierą na ramieniu — przez całą drogę ani słowa nie powiedział. A w domu, choć człeczyna niepokazny, jednak dał radę Darce, która broniła się jak zwierzę. A gdy już był górą, bił. Nie tyle bił, co szarpał i wymachiwał pięściami. A potem miotał się po izbie zasapany, podrapany, w rozerwanej na ramieniu koszuli, nerwowo zaciągał się papierosem, z trudem trafiając nim do ust — tak mu się ręce trzęsły — i jękając się wykrzykiwał:

— W-won! W-won!

Darka, która płakała więcej ze złości na siebie niż z bólu, nie ulękła się bynajmniej tego „won” — zamilkła i spojrzała na Stepana z nienawiścią w zapłakanych oczach.

— Sam won — powiedziała.

— C-o-o?!

Stepan stanął pośrodku izby jak wryty, osłupiał. Darka w potarganej bluzce siedziała na podłodze i z zawziętością w oczach patrzyła gdzieś w kąt izby. A potem, chlipnąwszy jeszcze raz, rzuciła:

— Kulawiec!

Gdyby tego nie powiedziała, gdyby nie padło to znieawidzone słowo, Stepan może by i ścierpiał i przebaczył, jak już nieraz bywało. I przedtem wiedział o grzeszkach swojej żony. Co prawda nigdy nie przyłapał jej, jak dziś, na gorącym uczynku, ale słyszał, co ludzie gadali. To wracała z miasta z jakimś typem, wszyscy widzieli, wędrowała od obiadu do zmierzchu, choć miasteczko tuż za wzgórzami („Nie chciało mi się czekać na autobus, więc poszłam... Cóż w tym takiego?”), to znów pracując przy zrywce drzewa w leśnictwie znikwała na chwilę z leśniczym („Poszłam napić się wody do źródła pod Browarską Górę... Cóż w tym takiego?”). To „coż w tym takiego?” brzmiało nie jak usprawiedliwienie, ale jak drwina, śmiała się krótkim, sztucznym śmiechem i nie patrząc na Stepana mrużyła oczy — jeszcze jasne, rozpalone, aż tępe od tego żaru. Od dawna już Stepan nie potrafił przebić wzrokiem tej gorącej tępoty w jej oczach, więc tylko po każdym takim wybryku wymachiwał pięściami i krzyczał „won”. Ale nigdy dotychczas Darka nie użyła tak kąśliwego słowa. W ogóle nic nie mówiła, tylko to swoje drwiące: „Cóż w tym takiego?”, i Stepanowi, gdy wypił po kłótni, serce miękło; dumny ze swej władzy nad żoną — uroczyście, z powagą, niby jakiś sułtan ogłaszał jej przebaczenie. „Zostań” — wskazywał przed siebie i szerokim gestem wodził ręką w prawo i w lewo, jakby pokazując nieobjęte swoje majątkości — i w chacie, i poza chatą: łóżko, szafę na ubrania, ściany zawieszane ręcznikami wyszywanyymi w go-

łabki, papierowe kwiaty w zielonej butelce na stole, telewizor, dwa rowery, stary i nowy, oborę z krową i cieliczką, chlew z wieprzkiem, studnię na dwie korby... „Zostań! Ale... żebyś mi była jak baranek! Ma być cicho i głucho jak... w czołgu! (Podczas wojny Stepan remontował uszkodzone czołgi.) Żebym więcej o tym nie słyszał i nie widział!...” — Łysa, okolona tylko wianuszkami włosów głowa Stepana lśniła w świetle zawieszanej pod sufitem żarówki — istny sułtan, który na chwilę zdjął turban...

Teraz także Stepan długo stał pośrodku izby — wpatrzony w Darkę czekał, że zaraz podniesie na niego błagalne spojrzenie i zapłacze ze skruczą, ale ona wciąży z tą samą zawziętością patrzyła w kąt.

— A więc to tak? — powiedział i wargi żałośnie mu drgnęły. — To znaczy — ja won! Ja — kulawiec! Aha... No cóż... W takim razie — pal licha wszystko! — Zakręcił się w miejscu, otworzył szafę, chwycił nie wiadomo dlaczego nowe żonine buty, swój odświętny kapronowy kapelusz, poduszkę i rzucił się ku drzwiom. — Widział kto! Wychodzi, że to ja tarzałem się po liściach?... — W progu przystanął, szukając nerwowo po kieszeniach, znalazł zapałki, nerwowo przypalił nowego papierosa. — Na diabła mi taka kobita!

— A idź i powieś się — rzuciła mściwie Darka. Mściła się za to, że tak głupio wpadła. I znów zapłakała ze złości na siebie, na swoją nieostrożność.

Stefan wypadł z izby trzasnąwszy drzwiami, aż odskoczyły i otwarły się na oścież. Z zewnątrz powiało chłodem, była już noc...

Przez tydzień Stepan mieszkał w lesie nad strumieniem z jakimś przyjezdnym wędkarzem. Kopał dla niego robaki, uczył, jak się łowi sumy nocą, spał w jego namiocie, na brzeżku, na własnej poduszce, gotował zupę, biegał do chutoru po „producty”, a wieczorem

przy ognisku patrzył spode łba w ogień i opowiadał o Darce.

— Ona młoda jeszcze... Ma dopiero czterdzieści dziewięć i dwa miesiące, a ja w jesieni będę miał pięćdziesiąt siedem. Pewno, zestarzałem się... Ale inna na jej miejscu, to chociażem łysy i w ogóle — nogi by mnie myła... Jak ja dach blachą pokryję, to nigdzie takiego nie uświadczysz. A jakie wycinanki potrafię zrobić! Na werandę, na grzebień, na rynny też. Chałupa jak lalka — cała w koronkach. Moją robotę poznać z daleka. Pieniądze mam... A co? Pokrycie domu teraz dwie, a jak duży, to nawet dwie i pół setki kosztuje. Różne są ceny — zależy, czy blacha twarda, czy miękka... Darka jeszcze młoda, to i stroi fochy... Wargi czerwone, policzki rumiane, skóra jak na tych butach — skinął głową na żonine buty leżące pod namiotem i połyskujące w blasku ognia — aż lśni... Dlatego sobie pozwala.

Przyjezdny wędkarz uśmiechnął się leciutko patrząc w płomienie, delikatnie, ledwo widocznie się uśmiechnął.

— Kochacie ją.

— O, to, to właśnie! — wyciągniętym palcem tknął wędkarza Stepan. — To cała prawda. — Po czym zamilkł i opuścił głowę. A w głowie tłukło się: „Kula-wiec! Kulas!...”

Wędkarzowi żal się zrobiło chłopiny, i chcąc mu jakoś pomóc, powiedział:

— Wiecie co? Powinniście wyszukać w niej coś takiego... No, jak by to powiedzieć... Znaleźć w niej coś brzydkiego. Jakąś wadę. Każdy człowiek jakąś ma. Przypomnijcie sobie, na przykład, jak ona chodzi, je, ziewa, śmieje się, kicha... Coś takiego. Jakąś ujemną cechę. To wam da przewagę nad nią, poczujecie się lepsi i wtedy będzie wam lżej.

— Nie ma w niej nic brzydkiego! — bez namysłu

odpalił Stepan i oczy mu błysnęły. — Nie ma!... — Znów zapatrzył się w płomień i odezwał się w zamysleniu: — Młoda jeszcze... A może ja zgłupiałem...

Gdzieś w szóstym czy siódmym dniu przyjechał na rowerze Wańko, siostrzeniec Darki. Zimą chłopak chodził do szkoły, a latem dorabiał w kolchozie — ganiał jako posłaniec od rana do wieczora. Wańko przywitał się zdyszczanym głosem, widocznie ostro pedałowal.

— Uu-ch! Ledwo was znalazłem, wujku!

Stepan właśnie kucharzył w swoim odświętnym kapeluszu, bo słońce przypiekało łysinę. Gdy zobaczył Wańkę, serce mocniej mu zabiło: „Przysłała po mnie...”

— No, co, Wańko, posłali cię szukać wujka? — spytał podnosząc się na spotkanie chłopca.

— Uhm — skinął głową Wańko i uśmiechnął się. — Przewodniczący powiedział, żebyście zaraz przyszli, bo już czas kryć garaż. Przywieźli nową blachę.

Stepan zmarszczył brwi.

— A więcej nikt nic nie mówił?

— Nie, wujku...

Stepan odwrócił się i długo patrzył w strumień. A potem, wciąż odwrócony, powiedział do Wańka:

— Powtórz przewodniczącemu, że nie przyjdę.

— Dlaczego, wujku?

— Dlatego, że... jak oni tak ze mną, to i ja z nimi tak samo.

— Kto, wujku? — nie zrozumiał chłopiec.

— Wszyscy razem. Ja im tam tylko do roboty potrzebny... byłem. Teraz niech obcy im kryją.

Wańko wzruszył ramionami, postać jeszcze chwilę, westchnął jakoś śmiesznie, po dziecinnemu, i pojechał.

Wieczorem Stepan znów siedział z wędkarzem przy ognisku. W milczeniu wpatrywał się w ogień i myślał: „Pomagierzy, s-sekrement!...”

Tym słowem klął zawsze, na głos i w duchu.

W nocy ostrożnym pokasływaniem obudził wędka-
rza, podziękował za chleb-sól i przytułek, i poszedł
do wsi.

Była głucha noc, chmury zasmoliły wszyściutkie
gwiazdy na niebie, drzewa w lesie zlały się w jedno-
litą czerń, tylko poduszka bieląca pod pachą u Stepana.

„Pokryję garaż — myślał Stepan, wpatrując się
w niewyraźną smugę ścieżki pod nogami — co naj-
mniej pięćset rubli dadzą. Kupię jakąś budę, nawet
byle jaką... Ha! Człowiek własny dom ma jak dzwon,
a musi wałęsać się nocą po lesie jak bezdomny pies!...”
I to porównanie siebie do bezdomnego psa tak go ro-
zeźliło, że przystanął, prasnął żoninymi butami o zie-
mię i zaklął w głos:

— To ci gadzina!

Potem szukał po omacku butów, wziął je pod pachę
i ruszył dalej.

Dospał do rana na warsztacie w kołchozowej stolar-
ni, podłożywszy sobie pod głowę buty, a na nich po-
duszkę.

Niedługo potem Stepan i Darka dzielili wspólne
mienie.

Właściwie dzielił nie Stepan — nawet by mu to
nigdy do głowy nie przyszło — ale Darka. Któregoś
dnia wezwano go — właśnie przykrawał blachę na
pokrycie garażu — do rady gromadzkiej. W pokoju
przewodniczącego siedzieli: sam przewodniczący, chu-
dy, wysoki mężczyzna, który tu przyjechał gdzieś
z Donbasu — zdrowie mu szwankowało i lekarze za-
lecili mu wiejskie powietrze — i Darka. Przewodni-
czący uśmiechnął się do Stepana, nieco oficjalnie
uścisnął mu rękę czerwoną od rdzy. Darka patrzyła
w okno.

— Radczyk Stepan Syłowycz? — spytał przewod-
niczący i zajrzał do jakiegoś papierka. I znowu u-

śmiechnął się, bardziej bezpośrednio. — Sami rozumiecie, nie znam jeszcze wszystkich we wsi.

— Tak jest — rzekł Stepan. — A o co chodzi?

— Widzicie — przewodniczący spojrzął na Darkę, potem na Stepana — wasza żona nalega, żeby oddzielić się od was, to znaczy podzielić wspólny majątek i rozejść się... — Milczał chwilę. — Do rzeczy. Ślub żeście brali?

— Co było, a nie jest... — krzywo uśmiechnął się Stepan. I z tym samym krzywym uśmiechem zwrócił się do Darki: — A cóż cię tak przypiliło z tym podziałem? — A w środku, w piersi, w żołądku wszystko w nim dygotało, jak gdyby przemarzył. — Boisz się, żeby ci i t w o i nie dostali czkawki od naszego wspólnego chleba?

— Prędzej ty dostaniesz, bo łziesz — rzuciła Darka przez ramię i jeszcze bardziej odwróciła się do okna. Była w nowej kolorowej bluzce, na głowie miała odświętną chustkę w kwiaty, nasuniętą nisko na czoło i przewiązaną przez policzek, jak gdyby jej głowa pękała z bólu — musiała dołożyć sporo starań, żeby wyglądać jak nieszczęsna, cierpiąca wdowa.

Stepan zauważył to, pokręcił głową i głośno przełknął ślinę: „No, no, ale z siebie cudaka zrobiła...”

— ...będziesz wiedział, co to znaczy podnosić rękę na żywego człowieka, do końca życia popamiętasz.

— Towarzysze! — przewodniczący lekko postukał palcem o krawędź stołu. — Tu rada gromadzka, a nie pastwisko. Przywołuję was do porządku.

Darka odwróciła się do niego na krześle i zaczęła z takim szczerym bólem, że Stepana jakby ktoś w samo serce prądem poraził:

— Nie było przecież nic takiego, towarzyszu przewodniczący! Nic a nic nie było. Wracalam z człowiekiem z roboty, z pola, szliśmy przez las... Cóż w tym takiego? A ten od razu z tą swoją zazdrością i do bicia

się bierze. Pomyślcie sami, można z takim żyć pod jednym dachem?

Stepan nerwowo sięgnął do kieszeni, potarł zapalkę raz, drugi, trzeci, złamał ją i siedział gryząc w zębach nie zapalonego papierosa. Czego jak czego, ale takiej przewrotności się nie spodziewał. Nawet jemu samemu przez mgnienie wydało się, że widzi, jak przez las idzie Darka, a obok niej pęta się jakiś pocziwina — po prostu idą sobie i tyle.

„Tfu! Blekotu-m się objadł, czy co?...”

— A kto to był, jeśli to nie tajemnica? — spytał przewodniczący. — Jak on się nazywa? Może go wezwiemy, wszystko się wyjaśni i będziecie sobie żyli jak dawniej?

Darka znów odwróciła się do okna.

— Czy ja wiem, jak on się nazywa... Zresztą już go tu nie ma, wyjechał.

Przewodniczący odkaszlnął, zakrywając usta dłonią.

A Darka szybko dodała:

— Potrzebny mi on...

Stepan zgniótł w palcach papierosa i podniósł się.

— Więc co zrobimy? — spytał przewodniczący. Patrzył tylko na Stepana i wyraźnie zwracał się tylko do niego.

— Ja idę — powiedział Stepan. — A ona niech robi, co uważa. Już tak czy owak... s-sekrement!

— Co powiedzieliście? — zdziwił się przewodniczący.

— Nic, ja tylko tak sobie — mruknął Stepan. I wyszedł.

Nazajutrz przewodniczący w asyście dwóch świadków dzielili dobytek Stepana i Darki. A Stepan siedział na dachu garażu i klepał szwy. W przerwie obiadowej powiedziano mu, że ma przyjść do domu. To „do domu” dźgnęło go boleśnie. Na razie mieszkał w stolarni. Przychodził późnym wieczorem, zgarniał leżące

na warsztacie wióry, mościł sobie posłanie — o świcie wstawał, chował w krzakach za stolarnią poduszkę i buty i szedł przygotować materiał na cały dzień.

Stepan wszedł na podwórko, usiadł na stopniach ganku. Jeszcze niedawno był to jego dom, jego ganek. Daleko, za łąkami, wznosiła się czarna ściana lasu — widok, na który patrzył codziennie od trzydziestu lat. Za plecami słyszał obce głosy dobiegające z pokoju przez otwarte drzwi.

— To ubranie ja mu kupiłam — mówiła Darka. — Zaraz po wojnie, kiedy nigdzie nic nie można było dostać.

— I do tej pory jest nowe? — ze zdziwieniem spytał jeden ze świadków. (Stepan poznał po głosie młodzieńką radną gromadzką, Manię Skoryk.)

— A gdzie się miał w niego stroić, do roboty? Przy święcie nosił zawsze swój mundur.

— To jak mamy zapisać — na was czy na niego?

— Jak mi odda buty, to niech sobie zabiera...

— Zapisz: „Garnitur męski nowy, nie noszony”.

— Po co „nie noszony”, kiedy już jest, że „nowy”?

— Pisz, pisz, niech będzie wszystko dokładnie — huczał drugi świadek, też radny, cieśla Łuka. On jeden w całej wsi umiał robić drewniane koła.

Potem przewodniczący i świadkowie wyszli na podwórze. Stepan posunął się, robiąc im miejsce. Przewodniczący podał mu rękę, jak wtedy w urzędzie, świadkowie też się przywitali — Darka nawet nie spojrzała w jego stronę. Tylko gdy schodziła z ganku, tak zamiotła spódnicą, że siedzącemu nisko Stepanowi kapelusz aż się przekrzywił na bok. Stepan poprawił bez słowa.

Obeszli całą zagrodę, Darka szła przodem, otwierając drzwi — do obory z krową i cieliczką, do chlewka z wieprzkiem, do drewnutni wypełnionej równiutko przepiłowanym i starannie poukładanym drewnem.

— Kto rąbał? — podziwiając dobrą robotę spytał przewodniczący, który dotąd się nie odzywał.

— A któż by... — zmieszala się Darka. — Gospodarz... dawny.

Przewodniczący spojrział na nią spod oka. Policzki Darki, rzeczywiście rumiane, choć z widocznymi już tu i ówdzie cieniutkimi ciemniejszymi żyłkami, jeszcze bardziej poczerwieniały.

Rozsądzili tak: Dla Darki — dom i całe urządzenie, cieliczka, budynki gospodarcze, cała odzież kobieca i nowy rower. Dla Stepana — krowa, stary rower i męska odzież.

— A buty niech odda i dopiero wtedy zabiera swoje — powiedziała Darka.

— A idź i weź sobie, leżą w krzakach za stolarnią! — rzucił Stepan nie ruszając się ze schodków. Nie chodził po zagrodzie, palił papierosa za papierosem i podśmiewał się. — Tylko poduszki nie rusz, bo wtedy naprawdę pobiję! Chociaż raz...

— No, no — surowo wtrącił przewodniczący. — Dajcie spokój.

Młodziutka Mania-świadek też surowo spojrziała na Stepana, a cieśla Łuka uśmiechnął się pod wąsem.

Kiedy już wszyscy troje wychodzili za wrota, Darka zawołała:

— Towarzyszu przewodniczący!

Ten odwrócił się. Asysta przyśtańęła.

— A studnia? — Darka stała pośrodku podwórza, z rękami splecionymi na piersi, zażywna, ale foremna, nogi opalone, lśniące w słońcu.

— Co takiego? — nie zrozumiał przewodniczący.

— A studnia dla kogo?

Przewodniczący ze zdumieniem spojrział na świadków, świadkowie na niego...

— Studnia też na połowę! — odezwał się Stepan, podniósłszy w górę rękę z papierosem. — Ty będziesz

ciągnąć wodę lewą korbą, ja prawą. A jak się nam znudzi, to się zamienimy: ty prawą, a ja lewą.

I świadkowie, i przewodniczący roześmieli się.

Kiedy uszli już kawałek, Stepan powiedział:

— Po próżnicy się fatygowaliście. Tak czy owak nic od niej nie wezmę. Jak nie ma życia, to koniec, cała reszta to... s-sekrement! W tym temacie nie zgłaszam żadnych pretensji!...

Kiedy był czymś bardzo poruszony albo po kielichu, lubił używać uczenie brzmiących słów...

Teraz mieszka sam.

Odleżał swoje w szpitalu (odnowiła się stara rana na nodze) i poszedł na rentę dla kombatantów.

„Budę” kupił z pieniędzy za gromadzki garaż. Jak raz umarła babka Hanna, ta, co do ostatka czytała książki i z książką w ręku oddała ducha — wnuczka sprzedała Stepanowi chałupę za trzysta rubli, razem z myszami, bocianim gniazdem i kwiatkami pod oknem.

„Mieszkam jak król! — chwali się Stepan. — Tylko te cholerne myszy — łaskoczą w łysinę po nocy!”

Teraz tylko tak ze wszystkimi rozmawia — kpiąc z siebie, ze swej bluzy — niski, stojący kołnierz dawno zwinął się w obwarzanek — bryczesów, tak wytartych na siedzeniu, że jak spojrzeć przez nie pod słońce, to aż w oczy razi. Tylko „lanpasów” im brakuje!

Byle ukryć, co naprawdę w duszy.

Taki pokazuje się ludziom. W domu jest spokojniejszy. Ale do domu wraca tylko, żeby przespać się na swojej poduszce. Ta poduszka to jedyny spadek, jaki mu został z poprzedniego życia.

Kobiety we wsi nieraz mówią Darce: „Chociaż przyodziewek byś mu odniosła”. — „Sam przyjdzie, jak go bieda przyciśnie” — obojętnie odpowiada Darka.

Ale Stepana jakoś nie przyciska.

Wystaje pod spółdzielnię (pogięty i połamany kape-

lusz, którego nie zdejmuje nawet w nocy, opada mu na uszy) i bez końca opowiada coś chłopom. Słuchacze się śmieją.

Stopniowo nawet ci, którzy szanowali Stepana za łagodny charakter, złote ręce i serce do pracy, zaczęli go z daleka omijać — nie można się było opędzić od jego namolnych historyjek. A gdy ktoś nie chciał słuchać, Stepan rzucał wyzywająco: „No, tak! Tyś u Żukowa nie był! U Żukowa takie łajzy nie służyły!”

Ci, którzy mieli dach do pokrycia, prosili Stepana, obiecywali sowitą zapłatę i dobry wikt — nawet z innych wsi przychodzili. Stepan miał dla nich jedną odpowiedź: „Dopóki nie wyprawię moich boćków do wyraju, nie tknę żadnej roboty! Muszę boćków doglądać”.

Z bocianami porozumiewał się lepiej niż z ludźmi — nie potrzebował się przechwalać. Przemawiał do nich łagodnie, a one patrzyły na niego z góry i nawet nie klekotały, przywykłe do babki Hanny.

Darki nie widział Stepan od dnia podziału majątku. Do bufetu zachodził nie po to, żeby się napić, „duszę ogrzać”, ale w nadziei, że nuż „to ścierwo” wstąpi po chleb albo po co. „Podobno zrobiła się chuda jak szczapa...”

Czekał, że przyjdzie kajać się, przeproszać.

Ale Darka nie przychodziła. Wyraźnie się starała nawet nie nawijać się mu na oczy. Wystarczyło, że zobaczy go z daleka, sterczącego koło bufetu, a już skręca w inną ulicę albo zawraca.

Jedna tylko dusza we wsi nie omijała Stepana i nie wyśmiewała się z niego: Stecha-Żyrafa. Chuda, wysoka, od młodości była traktorzystką, jeszcze w czasach, kiedy wyorywało się na polach bomby i miny. Stecha mieszkała sama i wszystko robiła sama. Przyjdzie na przykład do mechaników — w kolchozie jest już po zniwach: „Chłopcy, czyj kombajn wolny? Swo-

je muszę wymłócić”. „Jedziemy, ciotko!” „A ty mi na co? Sama wymłóczę”. Siada za kierownicą, zapala motor — i już jej nie ma. A kiedy wymłóci, odprowadza kombajn na miejsce: „Dziękuję. Sprzęgło za duży luz miało, pedał do samej podłogi wchodził. Podregulowałam ci”. Trzeba było kosić, wiązać snopy, drwa rąbać czy wykopać i wyłożyć cegłą piwniczkę — wszystko to Stecha potrafiła zrobić — bez gadania, sprawnie jak mężczyzna. Tylko jak miała kłaść na domu nowy dach, wezwała Stepana. I gdyby nie to, że trzeba było obiad gotować, pewnikiem na krok by nigdzie nie odchodziła: godzinami patrzyłaby, jak klepie blachę drewnianym młoteczkim, jak spod jego nożyc i przecinaka wychodzą fantazyjne wycinanki, ocierałaby mu pot z czarnych brwi, w których już zaczęły się pojawiać pierwsze siwe włoski...

Po obiedzie — oboje wypili sobie wtedy krzynkę — zaproponowała:

„Połóż się trochę, odpocznij, szwy już sama zaklepię”.

Stepan tylko się roześmiał:

„Wiesz, co by ludzie powiedzieli? Na śmiech by nas podali! Zresztą nie poradzisz”.

„Poradzę! Jak byśmy się razem przyłożyli, Stepanie, całe miasto bez niczyjej pomocy byśmy postawili...”

Wtedy Stepan żył jeszcze z Darką i te zalecanki Stechy tylko go bawiły.

Teraz spotykał Stechę niemal co dzień. Stoi sobie koło bufetu, ona podchodzi i patrzy, patrzy... A w oczach męka...

— No, co, Stecha? — głupekowato śmieje się Stepan. — Duszy mojej zaprzepaszczonej ci żal? Ba-ga-te-la! Przeżyjemy!

Kiedys w niedzielę — akurat dożynki były i cały kolchoz się bawił — Stecha zjawiała się w bufecie: suknia na niej jedwabna, pantofelki białe, piękna chustka

na ramionach — a w oczach czad! Stepan kręcił się pod oświetlonymi oknami bufetu w swoim pogiętym kapeluchu, z bochenkiem chleba pod pachą: akurat nie miał grosza przy duszy. Stecha podeszła, ujęła jego głowę w dłonie, przycisnęła do piersi i zapłakała:

— Zmarnowane życie, Stiopa...

— Tak, Steszka, zmarnowane, i to głupio zmarnowane...

— Chcesz, zatańczę ci „kózkę”? Potrafię.

Uniosła rękę nad głowę, wygięła dłonią do góry, drugą ujęła się w bok, powiodła łokciem w przód, w tył, wspięła się na palce i kołysząc biodrami ruszyła w tany... Jedwabna suknia, nijak nie pasująca kobiecie w jej wieku, z szelestem oplatała kościste kolana, metalowy ząb co i raz błyskał w świetle padającym z okien... Stepanowi żywcem przypominała kozę, co nagle stanęła na tylnych kopytkach; rozciągający jej wargi uśmiech też był jakiś kozi...

— Hop, Stecha, hop! — przytupywał niezdarnie Stepan i klaskał w dłonie. — Hop, hop! — Chleb wypadł mu spod pachy i potoczył się po ziemi, ale nawet tego nie zauważył.

— Chodźmy stąd, Stiopa! — Stecha zatrzymała się i wzięła go pod ramię.

— Nie! — odparł. Złożone do klaskania ręce opadły. Rozśmieszyło go, że przed chwilą tak się oboje wygłupiali pośrodku ulicy, z gardła wydobył się pijacki chichot.

Stecha zasłoniła twarz rękami i odeszła.

W domu usiadła przy stole i rozplakała się na głos:

— Patrzcie go! Jeszcze się stawia! I jeść by miał co, i zadbany by chodził. Jakiego czorta jeszcze ci trzeba? Włóczy się jak mara, głupieje przez tę... Boże odpuść! Myślisz, że cię dla siebie potrzebuję? Nie potrzebuję... Ale żeby chociaż chłopem było czuć w chałupie, żeby

ktoś bodaj papierosa zakurzył w tych pustych ścianach...

Stepan szukał swego bochenka w brudnym piachu i mrucał:

— Unika mnie jak zarazy, po kątach się chowa! Żeby choć raz na pół roku przyszła, barszczu człowiekowi ugotowała. A tak samym chlebem żyć trzeba. Ten to jeszcze z piachem będzie...

Znalazł wreszcie bochenek, zdmuchnął starannie kurz i zataczając się pokuśtykał do domu.

Obudził się o północy całkiem trzeźwy, tylko w głowie mu szumiało. Po izbie biegały myszy. Długo patrzył na księżyc, który powoli staczał się coraz niżej... A przed oczami — ona: biegnie od szpitalnej portierni. chustka zsunęła się na ramiona, oczy pełne łez i współczucia jaśnieją miłością, w rękach biały płócienny węzelek... Piechotę przyszła ze wsi, sto kilometrów odwaliała, znalazła go! A on, barczysty, blady i przez to jeszcze bardziej czarnobrewy, idzie, gdzie tam! — biegnie o kulach jej na spotkanie, w białej rozchełstanej koszuli...

„Ech, nawojowałeś się, człowiecze, napracowałeś. zestarzałeś się — i co ci zostało... Nie-e, ona by «kózki» nie zatańczyła... Koło nikogo na paluszkach by nie chodziła... Ona przeszłaby obok każdego z tych tam i nawet by się nie obejrzała, żeby nie wiem jak się za nią uganił! Nawet by się nie obejrzała, diabolic!”

Księżyc zaszedł.

Stepan długo jeszcze patrzył w sufit. A potem powiedział głośno, aż myszy rozbiegły się po kątach:

— Na cholerę mi wtedy było to stylisko? Po kiego czorta?!

Tłumaczyła Zofia Głowiakowa

Skrzynia

We wsi mieszkała wiedźma. Znałem ją dobrze, wiedziałem, kto i kiedy do niej zachodzi. Chata wiedźmy stała nad jarem, dokoła zieleniły się grusze i rosły kwiaty. W chacie wiedźma trzymała skrzynię. Ale o skrzyni — kiedy indziej, teraz opowiem wam o wiedźmie.

Wołali na nią Tymochteicha. Mogła się przemieniać, w co chciała. Raz była krową, kiedy indziej kozą, czasem kołem od wozu albo polnym kamieniem — na co jej tam przyszła ochota. Lubilem, jak się tak przemieniała, i zamiast do szkoły szedłem do baby Tymochteichy. Siadałem na ławie pod oknem i tak siedziałem.

— Babo — mówiłem — przemieńcie się dzisiaj w kwiatek. Na dworze śnieg, zima, a ja chcę, żeby już była wiosna.

— W kwiatek dziś nie; czasu nie mam — mówiła baba. — Tylko patrzeć, jak goście przyjdą. Tej nocy rzeka ruszy, a moi goście z tamtego brzegu po lodzie iść mają.

— No to co? — pytałem.

— Nic — odpowiadała baba.

— Babo, a jak ja bym tej nocy nie spał i przyszedł nad rzekę i bym popatrzył, jacy to ci wasi goście?

— Przychodź — mówiła baba — tylko nikomu ani słówka. Bo jak byś rozgadał, to mnie ze wsi wygonią, na rozstajne drogi popędzą albo i jeszcze dalej.

— Babo, nikomu nie powiem, bo mi u was dobrze i do szkoły iść nie trzeba.

— To przyjdź o północy. Wiesz, gdzie oczerety Łu-

kaszenki? Grusza tam rośnie. Siadaj tyłem do gruszy, oczami do wody i siedź. Jak rzeka ruszy, zobaczysz i moich gości. Ale ty siedź, póki ci znaku nie dam.

— A jaki to znak będzie, babo?

— Widzisz tę gruszę na śniegu?

— Widzę.

— Jak tylko rozkwitnie, pamiętaj, jak tylko na śniegu rozkwitnie, to będzie dla ciebie znak. Wtedy wracaj tutaj i stukaj do drzwi.

— Babo, a jak zasnę?

— Jak cię bardzo zmorzy, to wystaw nos na wiatr i zaraz ci przejdzie.

— A jeśli mimo to zasnę?

— Nie bój się. Biały Sen-Śpioch podpełźnie do ciebie i nie da ci spać.

— A jaki to — biały?

— Zimny.

— A jak nie podpełźnie i zasnę, i goście beze mnie po lodzie przejdą? I co to za Sen-Śpioch zimny i biały?

— Usiądź o północy w Łukaszenkowym oczerecie, tyłem do gruszy, oczami do wody, to będziesz wiedział, co to za Sen-Śpioch zimny i biały, i jacy to goście do mnie przychodzą w nocy-o północy.

— To ja już pójdę, babo.

— Idź i żebym nawet twojego głosu nie słyszała. Tylko nie zmarznij!

Ubrany byłem ciepło. Po miękkim, wilgotnym śniegu, omijając lepkie, nabrzmiałe sokami wiśnie poszedłem nad rzekę w Łukaszenkowy oczeret.

Pod śniegiem grzała sobie policzki woda i czuć było ni to psem, ni to jeszcze nie przyleciałymi ptakami, jednym słowem — czymś takim.

Rzeka rosła w oczach. Robiła się coraz szersza i wyglądała, jakby ją brzuch bolał: coś w niej bulgotało, trzeszczało, unosiło się od spodu. Drugi brzeg był bia-

ły i zaśnieżony, taki biały, jakby zasnęła go pajęczyna. Ale nikt stamtąd nie nadchodził.

Śpią pod śniegiem kamienie. Śpią brzoskwinie i tarnina nad urwiskiem. Cicho dokoła. Słyszać tylko, jak gdzieś pies poszczekuje przez sen i woda grzeje sobie policzki pod śniegiem...

Usiadłem pod gruszą oczami do wody i tak siedziałem i już bym zasnął, gdy nagle coś jakby poruszyło się za moimi plecami. Obejrzałem się: z góry po śniegu cichutko stąpał Sen-Śpioch. Był biały i okrągły jak półpudowy worek mąki. Łapki miał czarne, maleńkie, i mordkę, i oczka czarniutkie jak ziarenka maku, i nossek jak u jeża.

— Fuk! — powiedział.

Śpioch nie był sam. Za nim szła Śpioszyca i dwa małe Śpioszęta.

Już ich gdzieś widziałem... Ale czy się postarzeli, czy wyglądali jakoś bardziej szaro, więc na wszelki wypadek spytałem:

— Śpiochu, Śpiochu, wy dokąd?

— W gruszę idziemy, spać.

— To idźcie.

— Nie możemy, bo ty tu siedzisz.

— Mogę wstać. Ale baba mi powiedziała, że nie zasnę i że właśnie z twojej przyczyny.

— Głupia ta twoja baba, a ty też nie wiadomo, gdzieś był, jak rozum dawali! Mnie samemu chce się spać, i mojej żonie, i dzieciom.

— A jakże to będziecie spać? W gruszy?

— Fuk! — powiedział Sen i na czarniutkich łapkach obrócił się do żony. — Powiedzże mu coś, bo mnie już cierpliwości brakuje.

Kraślutka-bialutka-malutka Śpioszyca zapytała:

— Coś wczoraj jadł?

— Chleb.

— I co jeszcze?

— Kiszone pomidory z beczki. Z piwnicy.

— A nam pora spać. Śnieżyce-zimnice się kończą i nie mamy co jeść.

— A wy co jecie?

— Czyste śniegi jemy i mroźnym powietrzem zapijamy.

— To śpijcie sobie na zdrowie. Tylko dlaczego w gruszy?

— Fuk! — powiedział Śpioch. — To grusza naszych dziadów i pradziadów. Słyszycie? — zwrócił się do małych Śpioszą. — W tej gruszy sypiali nasi dziadowie i pradziadowie Śpiochowie, w niej przespali całe życie i nam, naszym dzieciom, wnukom i prawnukom to samo przykazali.

— Słyszemy — odpowiedziały Śpioszeta. — Prześpiemy. Lubimy spać.

— Zuchy! — powiedział stary Śpioch. — Tu macie dziuplę, włazcie i śpijcie. I ty, żono, także. Ja jeszcze zostanę trochę z tym człowiekiem, posiedzimy, pogadamy.

Śpioszeta ze Śpioszycą wlażyły do dziupli, a Sen-Śpioch podtoczył się do mnie, usiadł, liznął śniegu i odezwał się:

— Fuk! I chce ci się tak siedzieć pod tą gruszą, marnąć i wypatrywać?

— Chcieć to nie bardzo się chce, ale baba mówiła, że tej nocy przyjdą do niej goście z tamtego zaśnieżonego brzegu. A diabłów to ja nigdy nie widziałem. Więc siedzę.

— Siedź, siedź, żebyś się tylko sam nie zdiablił i czartem nie został.

— A nawet jak bym został...

— Myślisz, że czartowi łatwo czartem być? Myślisz, że dla niego przyjąć, no, choćby ludzką postać, to jak drugiemu splunąć?

— A wy, wujku Śpiochu, wyście czartów widzieli?

— Tak jak teraz ciebie widzę. Ale, po prawdzie, ani mnie z nimi, ani im ze mną nie po drodze. Nie skumaliśmy się. One — charakteru gwałtownego, ja — człowiek spokojny.

— A czym się czarty zajmują, wujku? Co one robią?

— Nic. Ludzi oszukują i tyle. A potem się śmieją. Lubią filmy rozmaite oglądać albo mecze, albo na ryby chodzić — byle nic nie robić. A ja, gdyby nie to, że mam rodzinę, no i do jedzenia trzeba wstawać, to tak bym spał, że nawet we śnie bym spał.

— Dobrze. Wasza rzecz — spać. Rozumiem. wyście Sen. Ale co we śnie robicie, co się wam śni?

— Czarty! Zatrwały moją duszę, nienawidzę ich ze śpiocha-dziada i śpiocha-pradziada, śnią mi się dniem i nocą, i zawsze mnie budzą... A drugiego takiego śpiocha jak ja choćbyś ze świecą szukał — nie znajdziesz. Bo ja nie jestem zwyczajny Sen. Jestem Śpioch-Wiekowy-Biały. Mogę przesypiać nie tylko lata, ale całe stulecia. A one mnie budzą i drażnią, te czarty.

— Dlaczego one się z wami drażnią? Czego chcą?

— Żebym oka nie zmrużył. Widzisz... Już są... Oczy im błyszczą, czarne ogony po śniegu się wloką... Idę na swoją gruszę!

Obejrzałem się na drugi zaśnieżony brzeg i zobaczyłem — raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem! — całą siódemkę. Czarne plamki toczyły się w dół ku rzece podtrzymując się nawzajem łapami, żeby nie upaść. Co prawda ani rogów, ani ogonów nie widziałem, bo czarty były jeszcze daleko. Ale po tym, jak szły zerkając na wszystkie strony, po tym, jak stawiały łapy, zrozumiałem — to były one!

Niebo pociemniało, rozcięte czarną kreską brzegi zrobiły się żółte. Rzeka jakby ściśnięta z dwu stron, jęknęła cienko, coś w niej przeciągle zaśpiewało. Czarty powoli spływały po śniegu w dół, wraz z nimi pły-

nał cały brzeg, potem wszystko utonęło w strugach ciepłego deszczu. Rzeka ruszyła!

Nagle zrobiło mi się lekko i wesoło. Na chwilę zapomniałem nawet o diabłach. Lody poszły!

Widziałem, jak młode prężne ciało rzeki wpycha na brzeg kawały kry, kra sunie łamiąc i gniojąc oczerety, podpełza aż pod moją gruszę, jeszcze pachnąca podwodnym rzeczonym ciepłem.

Deszcz wyżył wszystkie swoje chmury — i nasze, i chyba zagraniczne też. Rzeka wprost kipiała! Kra strzelała w niebo, białe talerze rozpryskiwały się nad gruszą, spadały aż za chatą baby.

Skuliłem się, żeby mi któraś nie dała w głowę.

Wtedy nagle zobaczyłem oczy rzeki! Wynurzyła się daleko, w dole, spośród białych talerzy kry, spojrzała na mnie szarymi młodymi oczyma i znów dała nura pod lód, aż ogromne tafle zatrzęsły się jak galareta! Nie wiem, co szarooka rzeka chciała mi wtedy powiedzieć, ale widać coś ważnego, bo nagle wszystko ucichło i deszcz ustał.

Z szarym szelestem skapywały z gruszy szare kropelki, a miękkie, zadowolone pochrapywanie Śpioszej rodziny dolatywało nie wiadomo skąd: z nieba czy spod ziemi...

Rzeka przyczała się, widać zbierała siły. Nagle jej młode ciało wyprężyło ramiona — i znów zatrzeszczała trzymająca jeszcze przy brzegach kra...

Czarty tymczasem zbiły się w kupę, zapełgały płomyczki zapalek — pewnie zapaliły. Popaliły małowiele, po czym najwyższy zszedł nad samą wodę, stąpnął na krę i zaczął na niej podskakiwać. Poskakał, poskakał, hycnął na drugą, znów popróbowował, czy trzyma, i tak z kry na krę chytrze i lekko dotarł na środek rzeki. Obejrzał się na swoich, machnął do nich łapą i wszystkie czarty zaczęły zgodnie skakać po krach na mój brzeg.

Już miałem wziąć nogi za pas, gdy nagle jeden z czartów pośliznął się i chlupnął w wodę... Ale nie zdążył nawet schować się z głową, już wylądował na brzegu jak odrzutowiec! Gromada chwyciła go pod łapy i biegiem poniosła prosto pod moją gruszę.

Ja za pień, potem za krzak bzu — przytałem się i czekam. Patrzę — czarty zaczynają rozzuwać tego, co wpadł, rozścielają na śniegu kufajkę, wyzymają onuce...

I teraz się przeląknęłam, jak jeszcze nigdy w życiu: najwyższy czart, ten, co pierwszy wskoczył na krę, to był mój rodzony tata. A ten, co wpadł w wodę, toć to przecież nasz sąsiad, weterynarz Pawło Wytriszczak. Ale od razu zauważyłem, że coś w tym wszystkim nie gra: z kieszeni spodni wystawały czarne kitki — czarty pochowały ogony do kieszeni, żeby nie zamokły.

Zrozumiałem, że mój tata to nie tata, ale czart, i że Pawło Wytriszczak też czart — nie weterynarz. W dodatku czapki także siedziały im na głowach nie po ludzku, ale po diabelsku — trochę na bakier i jakby wyżej, bo przecież podpierały je rogi!

Pawło Wytriszczak powiedział:

— Potrzebne to było?

— Potrzebne, niepotrzebne, stało się — odparł mój tata.

Pozostałe diabły sapały ciężko. Pomału zacząłem je rozpoznawać. Trzeci w granatowych bryczesach okazał się moim nauczycielem historii. Nie miał żony; mieszkał w wynajętej izbie. Przyglądając mu się na lekcjach zauważyłem, że jest inny niż reszta nauczycieli, jakiś taki belzebubowaty: za dużo wiedział o dalekich krajach, o morskich wyprawach i piratach. Żony też nie miał ani dzieci, a izbę wynajmował tylko dla zamydlenia oczu! No i proszę — szanowny pan profesor z czarnym ogonem w kieszeni skacze sapiąc w nocy-o pół-

nocy po krach przez rzekę z gromadą pobratymców! A oni jeszcze mu troją, jak jakiejś ważnej osobie.

— Wy, Mykoło Andrijowyczu, nie dokończyliście — powiedział Pawło Wytriszczak, wciągając drugi but.

— No, więc mówię — odparł mój nauczyciel-diabeł błyskając zapałką. — Wszystko na świecie jest parzyszte! Myślicie, że jakby nasza Ziemia nie miała gdzieś drugiej planety do pary, to w ogóle mogłaby żyć?

— Nie mogłaby! — z dumą powiedział mój tata. — Bo wszystko na świecie żyje parami. Jak gołąbki!

— O rany, powiedzcież mi wreszcie — zaśpiewał cienko najmniejszy z diabłów, Iwan Kozoriz, inwalida wojenny, siedmioro dzieci, wszystko — dziewczynki. — Na cholere to zebranie? Co komu z tego przyjdzie? Nic.

— Niby racja, ale niezupełnie! — odrzekł Pawło Wytriszczak i wszyscy ucichli. Ale Pawło nie powiedział już nic więcej. Długim, surowym spojrzeniem objął małego Iwana Kozoriza, potem podszedł do niego, uniósł w górę i pocałował w usta.

Wtedy wszystkie diabły padły sobie w ramiona i zaczęły się całować, mój tata też. Był to jeszcze jeden dowód, że ten tata to nie tata, ale diabeł, bo mój prawdziwy tata nigdy się z nikim nie całował, nawet w największe święto.

Wycalowali się, stanęli w krąg i objawszy się ramionami zaczęli śpiewać... To ich do reszty zdemaskowało: w tej diablej pieśni nie było ani jednego ludzkiego wyrazu! Tylko czasem z tego porykiwania wyłaniało się jakieś pojedyncze słowo... Ale to porykiwanie samo w sobie było nawet niezłe — dziarskie, bojowe...

I znów po ich uszatyh czapkach spłynął z szumem ciepły deszcz. W milczeniu, jeden za drugim, czarty zaczęły wpełzać na wysoki brzeg kierując się w stronę chaty baby Tymochteichy.

Coś tu nie tak — pomyślałem. — Ani nie powiedzieli nic takiego, ani niczego nie pokazali. Musi co z daleka idą albo i z tamtego świata. Ale dlaczego nawet smołą od nich nie czuć, tylko kufajką?

Wylazłem ze swojej kryjówki i powąchałem mokre zagłębienie w śniegu, gdzie leżał Pawło Wytriszczak. Pachniało machorką. Wtedy zacząłem obwąchiwać wszystkie ślady. Wszędzie machorka. Nawet grusza, która przecież w ogóle nie pali, nawet kropelki deszczu, wszystko pachniało machorką — zupełnie jakby nigdy żadnego diabła tu nie było!

Jasne. Przysypały ślady tytoniem!!!

Nagle dokoła zapłonęła oślepiająca białosc — świat zrobił się bielszy niż śnieg, bielszy niż Sen. bielszy niż pajęczyna. To był znak od baby!

Całkiem już zapomniałem, że miał być jakiś znak, ale wszystko dokoła tak biało-cudnie zadźwięczało, że nawet w szarych oczach rzeki ozwał się jakby słowiczy śpiew!

To moja grusza zakwitła ostatnim kwiatem zimy. Oszronione gałązki płakały dźwięcznie w ulewę ciepłego deszczu. Pobiegłem do baby Tymochteichy.

Cała siódemka siedziała przy zastawionym kieliszkami stole, a baba Tymochteicha błyskając rozweselonymi oczkami sprawnie krzątała się przy gazowej kuchenke.

— Każda rzecz na świecie ma swoją parę — mówił mój nauczyciel Mykoła Andrijowycz, podnajemca, niezony, granatowe bryczesy, chromowe buty. — Weźmy na ten przykład historię...

— Nie, nawet słuchać tego nie chcę! — zaśpiewał cienko Iwan Kozoriz.

— Niby racja, ale niezupełnie! — rzekł twardo Pawło Wytriszczak. — Ale, Mykoła Andrijowycz, nauczycielu naszych urwipołciów, proszę, mówcie dalej.

Mykoła Andrijowycz wstali, wzięli kieliszek i niezonatym głosem powiedzieli:

— Wszystko się znosi: zima z wiosną, i nasze łachy z kufajkami, ale wszystko na świecie ma swoją parę. Weźmy na przykład miłość. Kogo ona sobie szuka? Pary! Miłość szuka miłości. A dobro? Dobro szuka dobra. I każdy jeden ptak, i niedźwiedź. Czy nawet diabeł, jak nie przymierzając ja czy wy... Wszystko na świecie szuka dobra i miłości...

Ze strachu nos i uszy zrobiły mi się jak lód. Jeśli w głębi duszy mogłem jeszcze mieć wątpliwości co do tego, kim byli — no, myślałem, może z zarządu kołchozu idą, zebranie późno się skończyło, a biuro na tamtym brzegu — to teraz nie miałem już żadnych złudzeń.

— Tak! — przyświadczył Pawło Wytriszczak we własnej osobie.

Ale od tego, że wreszcie nabrałem pewności, wcale nie zrobiło mi się lżej. Już cały tydzień tylko udaję, że idę do szkoły, a naprawdę to siedzę u baby Tymochteichy i słucham jej czasem wesołych, a czasem przerażających opowieści. Pod wieczór wyglądam przez okno i jak widzę, że chłopaki wracają po lekcjach do domu, przyłączam się z miną niewiniątka.

Tego dnia słodkie koszałki-opałki baby Tymochteichy ukołysały mnie tak, że nie wiadomo kiedy usnąłem na skrzyni w kącie pod świętymi obrazami.

Śpię tak aż do teraz i nawet nie myślę, co rano oberwie mi się w domu od ojca, a w szkole od nauczyciela, i w ogóle, co ze mnie wyrośnie...

Dlatego nie mam teraz głowy do historii ze skrzynią. Opowiem wam o tym, jak wszystko się uspokoi.

Tłumaczyła Tatiana Hołyńska

Noty o autorach

NINA BICZUJA — ur. 1937 w Kijowie, w rodzinie urzędniczej. W 1958 roku ukończyła dziennikarstwo na uniwersytecie kijowskim. Pracuje jako dziennikarka i redaktorka we Lwowie; drukuje opowiadania w czasopismach, pisze przede wszystkim dla dzieci. Wydała: „Kanikuły u Switłohorsku” (1967), „Szpaha Sławka Berkuty” (1968), „Zwyczajny szkolny tydzień” (1973), „Powisti” (1979), „Kwiteń u czowni”, „Powiń” (1981). W przekładzie polskim ukazał się „Kwiecień w czólnie” (Wyd. Lubelskie, 1981). Opowiadanie „Astrolog z Drohobycza” jest opowiadaniem tytułowym z tomu „Drohobyckij zwizdar” (1970).

WOŁODYMYR DROZD — ur. 1939 na Czernihowszczyźnie. Po ukończeniu szkoły średniej zaczął pracować w gazecie rejonowej, potem redagował pismo dla młodzieży, studiując równocześnie dziennikarstwo na uniwersytecie kijowskim. Później wrócił jeszcze na krótko do pracy redakcyjnej, by od roku 1980 poświęcić się wyłącznie pisarstwu. Oprócz powieści biograficzno-historycznych „Rytmy żyttia” (1977) i „Doroħa do materi” (1978) — o Ołeksandrze Bohomolcu, „Dobra wist” — o Juwenale Melnykowie (1971), wydał zbiory opowiadań i powieści: „Semyrozum” (1967), „Mołochwy, Masłyny” (1967), „Katastrofa”, „Biłyj kiń Szeptalo” (1969), „Yrij” (1974), „Ludy na zemli” (1976), „Lewy na worotach” (sztuka sceniczna z życia wsi, 1978), „Nicz u weresni” (1980), „Zemla pid kopytamy” (1981). Na polski język przełożono: „Oliwki” (Wyd. Lubelskie, 1980), „Katastrofa”, (Wyd. Literackie, 1984). Opowiadania „Słońce”, „Wasyłynka” pochodzą z tomów „Biłyj kiń Szeptalo” oraz „Ludy na zemli”.

JEWHEN HUCAŁO — ur. 1937 we wsi koło Winnicy, w rodzinie nauczyciela. W roku 1959 ukończył studia nauczy-

cielskie na wydziale historyczno-filologicznym instytutu pedagogicznego. Pracował w redakcjach pism codziennych, potem w „Literaturnej Ukrainie” i jako redaktor w wydawnictwie Radjańskijskij Pyśmennyk. Od 1962 kolejno ukazały się: „Ludy sered ludej” (1962), „Jabluka z osinnioho sadu” (1964), „Skupana w lubystku” (1965), „Chustyna szowku zełenoho” (1966), „Bereżański portrety” (1975), „Z wohniu woskresyły” (1978), „Poluwannia z honczym psom” (1980). W polskim przekładzie wydano: „Domowe ognisko” (1971, II wyd. 1977), „Dziewczęta na wydaniu” (1977), „Jablka z jesiennego sadu” (1971). Opowiadania „Behape” i „Kanapa na skraju łąki” pochodzą z tomu „Poluwannia z honczym psom”.

ROMAN IWANYCZUK — ur. 1929 na Huculszczyźnie, w rodzinie wiejskiego nauczyciela. Po ukończeniu w roku 1947 szkoły średniej pracował jako nauczyciel na Podkarpaciu. W roku 1957 ukończył filologię ukraińską na uniwersytecie lwowskim i na pięć lat powrócił do zawodu nauczycielskiego. Obecnie pracuje w redakcji miesięcznika społeczno-literackiego „Żowteń” we Lwowie. Publikuje od roku 1954: „Prut nese kryhu” (1958), „Na skraju noczi” (1960), „Ne rubajte jasieniw” (1961), „Topołyna zametil” (1965), „Dim na hori” (1969), „Sywi noczi” (1975), „Czerłene wyno” (1979), „Manuskrypt z wułyci Ruškoji” (1981). Opowiadanie „Odwet” pochodzi ze zbioru „Na perewali” (1981).

JURIJ ŁOHWYN — ur. 1939 w Kremenczuku pod Połtawą, w rodzinie urzędniczej. W roku 1965 ukończył Kijowski Instytut Sztuki, w roku 1973 — wyższe kursy literackie w Moskwie. Jest artystą-grafikiem i prozaikiem. Główne utwory to: „Piwniczne siajwo” (1961), „Wohoń na skeli” (1965), „Myron Szwaczka i kiń Sywko” (1969), „Dałekym szlachom” (1969), „Dałeka weselka” (1970), „Biła jahnyczka” (1971), „Pyśmena mynułych dniw. Znajomyj łew” (1972), „Kolir dla neba” (1978), „Łetyt’ hałka czerez bałku” (1981). Prezentowane opowiadania pochodzą z dwóch ostatnich zbiorów.

JURIJ POKALCZUK — ur. 1944 w Krzemieńcu, w rodzinie urzędniczej. Ukończył łucki instytut pedagogiczny i uniwersytet w Leningradzie, uzyskując stopień kandydata nauk filologicznych. Pracował naukowo w Instytucie Literatury w Kijowie. Jest powieściopisarzem, krytykiem literackim, podróżnikiem, tłumaczem. Publikuje dużo w periodykach społeczno-literackich i antologiach. Książkowym debiutem krytyka jest „Suczasa łatyno-amerykańska proza” (1978), tom szkiców i esejów o najwybitniejszych pisarzach i najważniejszych zjawiskach literatury, która zafascynowała Europę na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszego wieku. Utwory beletrystyczne to: „Samotnie pokolinnia” (1972), „Chto ty?” (1979), „I zaraz, i zawsze” (1980). W polskim tłumaczeniu ukazuje się „Współczesna proza Ameryki Łacińskiej” (w przygot. Wyd. Literackie). Opowiadanie „Nie ten sam człowiek” pochodzi ze zbioru „Chto ty?”

BOHDAN SUSZYŃSKYJ — ur. 1946 w Samborze, w rodzinie robotniczej. W roku 1969 ukończył studia filologiczne na uniwersytecie odeskim. Pracował jako zastępca redaktora odeskiej „Komsomolskiej Iskry”. Publikuje od 1967 roku. Najbardziej znane utwory: „Kładka” (1972), „Teple kaminnia” (1974), „Lito żytnich doszcziw” (nagroda CK Komsomołu i wyd. Mołod’ 1976), „Czerez mist nad bystrynoju” (1980), „Na tij zemli za pahorbom” (1981). Opowiadanie „Stary Hrabasz” pochodzi z tomu „Rika opiwnoczi”.

JURIJ SZCZERBAK — ur. 1934 w Kijowie, w rodzinie urzędniczej. W roku 1958 ukończył medycynę na uniwersytecie kijowskim uzyskując tytuł kandydata nauk medycznych. Pracuje w kijowskim instytucie naukowo-doświadczalnym epidemiologii, mikrobiologii i parazytologii. Od roku 1956 publikuje swoje utwory w prasie codziennej i w czasopiśmie. Jest prozaikiem, krytykiem i publicystą. Pisze również dramaty i scenariusze filmowe. Wydał następujące utwory: „Jak na wjni” (1966), „Barier nesumisnosti” (1971), „Małenka futbolna komanda” (1973), „Szlach do sercia” (scenariusz filmowy, 1973), „Widkryttia” (dramat, 1976). Przekłady polskie: „Kwarantanna” (1968), „Trans-

plantacja" (1973), „Mała drużyna piłkarska" (1976), „Z kroniki miasta Jaropola" (1983). Opowiadanie „Czerwone maki na Monte Cassino" ukazało się w czasopiśmie „Witczyzna" 6/1971.

WAŁERIJ SZEWCZUK — ur. 1939 w Żytomierzu, w rodzinie robotniczej. W rodzinnym mieście ukończył szkołę średnią i technikum zawodowe, potem pracował jako betoniarz. W roku 1963 ukończył wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu kijowskiego. Pracował naukowo w kijowskim muzeum historycznym, obecnie zajmuje się wyłącznie twórczością literacką, krytyką i pracą literaturoznawczą. Jest tłumaczem z języka polskiego (poezje Gałczyńskiego). Publikuje od roku 1962. Ukazały się m.in.: „Śred tyżnia" (1967), „Weczir swjatoji oseni" (1969), „Nabereżna 12" (1968), „Seredochrestia" (1968), „Kryk piwnia na switanku" (1980), „Dołyna dżereł" (1981), „Na poli smyrennomu" (1983). Przekłady polskie: „Nabrzeżna 12" (1974), „Wieczór świętej jesieni" (w przygotowaniu). Opowiadanie „Zielony świat" wyszło w przekładzie na język rosyjski w tomie „Kraski osienniego sada" (1980), przekładu na język polski dokonano z ukraińskiego rękopisu autora. Opowiadanie „Droga" ukazało się w czasopiśmie „Ranok" 9/1980.

WASYL SZKLAR — ur. 1951 we wsi Hanzaliwka koło Czerkas. Ukończył wydział filologiczny uniwersytetu kijowskiego. Pracuje w czasopiśmie „Ranok". Publikuje od 1975 roku. Jest autorem książek „Szowkowa nytka" (1975), „Perszyj snih" (1977), „De twij Ostap, Sołomije?" (1979). Prezentowane opowiadanie ukazało się w czasopiśmie „Dniro" 9/1980.

WAŁENTYN TARNAWSKYJ — ur. 1951 w Zastawnej koło Czerniowiec. Po ukończeniu dziesięciolatki pracował jako laborant, służył w wojsku. W 1971 r. wstąpił na dziennikarstwo w Kijowie. Pracował jako dziennikarz w gazecie fabrycznej oraz w czasopiśmie „Komunist Ukrainy". Obecnie jest redaktorem w wydawnictwie „Radjańskij Pyś-

mennyk". Szereg opowiadań drukował w prasie literackiej. Obecnie wyszedł pierwszy zbiór opowiadań pod tytułem „Miśki motywy” (1983). Zamieszczone tu opowiadania ukazały się w czasopiśmie „Witczyzna” 1/1983.

HRYHIR TIUTIUNNYK — ur. 1931 we wsi koło Połtawy w rodzinie chłopskiej. Ukończył szkołę rzemieślniczą. Jako ślusarz pracował w fabrykach, kołchozach i na budowach, następnie kontynuował naukę i w roku 1962 ukończył studia uniwersyteckie. Pracował jako nauczyciel, potem w „Literaturnej Ukrainie”, jako scenarzysta, wreszcie jako redaktor w wydawnictwie „Mołod”. Zmarł w r. 1979. Publikował od 1961 roku w rozmaitych czasopismach literackich. W wydaniu książkowym wyszły: „Zawjaż” (1966), „Derewij” (1969) „Batkiwski porohy” (1972), „Kraj-nebo” (1975), „Korinnja” (1978), opowiadania dla dzieci: „Łasoczka” (1970), „Lisowa storozka” (1971), „Stepowa kazka” (1973).

Opowiadanie „Kózka” było opublikowane w czasopiśmie „Dnipro” 3/1981, a później w zbiorze „Opowidannja 1981” (wyd. Radjański Pyśmennyk 1982).

MYKOŁA WINHRANOWSKYJ — ur. 1936 w Perwomajsku, w rodzinie chłopskiej. W roku 1955 zaczął studiować w Kijowie, skąd przeniósł się do Instytutu Kinematografii w Moskwie, który ukończył w 1961. W filmie Dowżenki „Powieść płomiennych lat” grał główną rolę. Swój wiersze drukuje w czasopismach literackich i prasie. W latach 1962—1971 opublikował kilka tomików poetyckich. Pracuje jako reżyser w kijowskiej wytwórni filmów fabularnych. Publikuje od 1957 roku.

Opowiadanie „Skrzynia” ukazało się w czasopiśmie „Dnipro” 6/1980, przedrukowane w zbiorze „Opowidannja 1981” (1982).

„Nie ma powodu, aby dobrze opowiedziana historia przypominała rzeczywistość. Rzeczywistość ze wszystkich sił stara się przypominać dobrze opowiedzianą historię.”

Izaak Babel, *Historia jednego konia*

„Dzieje Polski i Ukrainy mają bardzo dużo punktów styecznych — napisał kiedyś w «Literaturze na świecie» ceniony znawca problemu. — Proces wzajemnego zbliżenia kulturalnego naszych narodów gubi się w epoce Rusi Kijowskiej i Polski Piastów. Ujawnia się on z mniejszą lub większą intensywnością, zależną od wielu, nieraz bardzo skomplikowanych warunków historycznych i politycznych, ale istniał stale.”

Gubi się... ujawnia... istniał stale. Nieźle powiedziane. W zasadzie zwalnia to od przytaczania tutaj egzemplifikacji owego procesu i jego istotnie skomplikowanych uwarunkowań w dziedzinie historii, a zwłaszcza polityki. Nie to jest zresztą moim zamiarem — marginesy książki służą najwyżej zaznaczaniu uwag, czasem — znaków zapytania. Odpowiedzi też muszą być w miarę zwięzłe — czytanie przedmów i posłowi zdecydowanie wyszło dzisiaj z mody.

*

Bliższe zainteresowanie wydawnictw polskich najwybitniejszymi twórcami Ukrainy datuje się mniej więcej od lat pięćdziesiątych naszego wieku. Nie zna-

czy to bynajmniej, że wcześniej nie było nic. Wręcz przeciwnie. Tyle, że od lat pięćdziesiątych zaczęto problem traktować poważnie. Z literackiej mapy Ukrainy najwcześniej zaczęły znikać białe plamy w dziedzinie klasyki — pojawiły się dzieła Szewczenki, Kwitki-Osnowjanenki, Franki, Kociubyńskiego, Stefanyka, Kobylańskiej. Potem — poezje Rylskiego, Bażana, Sosiury, Tereszczenki, Hawryluka i — niemal równocześnie — historyczne i współczesne utwory Zahrebelnego, Janowskiego, Wyszni, Honczara, Stelmacha, Hołowki, Rybaka, Sklarenki, Perwomajskiego, Sobki, Zbanackiego, Kozaczenki, Bojczenki — by wymienić tylko najznamienitszych. Pożornie zrobiono więc niemało, ale więcej pozostaje jeszcze do zrobienia. Zwłaszcza w dziedzinie prozy. Poezja bowiem miała więcej szczęścia, zarówno jeśli idzie o miejsce w planach wydawniczych, jak o tłumaczy. Jako przykład niechaj wystarczy stwierdzenie, że niektóre utwory współczesnych prozaików ukraińskich przyswaja się czytelnikowi polskiemu... poprzez rosyjski. Jakby za daleko było do oryginału. Jak widać, bliskość geograficzna nie zawsze oznacza bliskość rzeczywistości. O tym zaś, ile nieporozumień i pospolitych błędów czyha na każdy przekład dokonywany poprzez drugi język, wiedzą nie tylko wtajemniczeni.

Wszystkie zamieszczone w niniejszym tomiku opowiadania tłumaczone są z oryginału.

*

Jest to wybór opowiadań współczesnych. Co nie znaczy — mówiących wyłącznie o współczesności. Łatwo powiedzieć...

Trzeba tu wtrącić kilka słów, które zabrzmiały może nieco gorzko, ale których prawdziwość zaświadcza samo życie. Otóż, wbrew pozorom, dobrej literatury

aktualnie wydawanej we Lwowie, w Kijowie, Charkowie czy Odessie jest w Polsce jak na lekarstwo. To czy owo można znaleźć w Klubach Międzynarodowej Prasy i Książki. Czasem trafi się coś w wyspecjalizowanych księgarniach radzieckich. Formy zinstytucjonalizowane, tzw. zalecenia wydawnicze opracowywane centralnie w Moskwie i przesyłane do Departamentu Książki przy Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie są działaniem rutynowym, a przede wszystkim powolnym. Poza tym zaś preferują pisarzy sprawdzonych już artystycznie i nie tylko. Starannie wyselekcjonowane tomiki przechodzą przez zbyt liczne sита — a sito, jak wiadomo, często gubi diamenty.

Lepsze są już bezpośrednie kontakty między zainteresowanymi wydawnictwami. To przynosi efekty. Ale najlepsze są — jak zwykle — „chody” prywatne. Te nie zawodzą nigdy.

Tak się złożyło, że zamówienie „Czytelnika” zbiegło się z krótkim pobytom w Polsce Jurija Muszketyka, który wówczas zaszczytnie sekretarzował Ukraińskiemu Związkiowi Pisarzy. Muszketyk obiecał rozejrzeć się, pomóc, ułatwić. Rzeczywiście — w niedługi czas potem zaczęły nadchodzić książki i czasopisma literackie.

Podczas kolejnego pobytu autorki wyboru w Kijowie można już było przedstawić proponowaną listę autorów i wybrane opowiadania. Tu cenna okazała się pomoc Wołodymyra Drozda, znanego prozaika (wówczas członka kolegium redakcyjnego „Dnipra”), Jury Pokalczuka, który nie tylko sam pisze, ale także ocenia literaturę współczesną, i Wali Łysenko. Pani Wala z racji pracy w redakcji Radianskocho Literaturoznawstwa okazała się prawdziwym ekspertem w dziedzinie literatury współczesnej.

Przedstawiony wybór jest więc wynikiem nie tylko określonych gustów literackich jego autorki, ale —

co nie mniej ważne — życzliwej akceptacji strony bezpośrednio zainteresowanej: ukraińskiej.

*

Określonych gustów literackich... Otóż to. Na temat gustów nie ma dyskusji, o czym wiedzieli już starożytni. Wystarczy przejrzeć krytyczne omówienia jakiegokolwiek wyboru czy antologii. Ilu recenzentów, tyle rozmaitych koncepcji. Zresztą to nawet dobrze — jakież nudne byłoby życie, gdyby wszyscy byli jednego zdania. Powiedzmy zatem o pierwszym i właściwie jedynym kryterium, jakim kierowała się autorka wyboru: żeby opowiadania były... dobre. Żeby się podobały. Ale zwrot „podoba mi się” lub „nie podoba mi się” rzadko pojawia się w języku współczesnej krytyki literackiej. Szkoda. Zmęczeni naukowymi — częściej pseudonaukowymi — wywodami czytelnicy są spragnieni takich właśnie prostych, zrozumiałych kryteriów. Aktualnie ma jeszcze odwagę posługiwać się nimi niestrudzony „podróżnik balonem” — Stanisław Zieliński. Może jeszcze Krzysztof Mętrak. Czasem — Beata Sowińska.

Może dałoby się jeszcze wyodrębnić drugie kryterium. Żeby opowiadania były nie tylko dobre, ale także... inne. Czytelnik polski ma prawo czuć się nieco zmęczony jednostronnym, trochę koturnowym obrazem człowieka i jego życia, uformowanym przez literaturę tzw. realizmu socjalistycznego, która na długo zdominowała przekłady literatury wielu narodów radzieckiej wspólnoty.

*

Ze skomplikowanej problematyki stosunków z naszymi najbliższymi sąsiadami zza Sanu, Bugu i Sze-

szupy na czoło wysuwa się sprawa ukraińska. I nie bez kozery. Tym, którzy nie lubią szperać w encyklopediach, przypomnijmy: Ukraina jest największym obszarowo krajem naszego kontynentu (601 tys. km², Polska 312 tys.), o ogromnym potencjale ekonomicznym (ok. 50% produkcji radzieckiej stali, surówki, rudy żelaza i koksu, ok. 30% wydobywania węgla, podobny odsetek turbin i traktorów, ok. 90% ogólnozwiązkowej produkcji lokomotyw spalinowych, 60% cukru, 50% słonecznika, 25% produkcji radzieckiego masła, zbóż, warzyw itd.). Z historycznego zaś punktu widzenia Ukraina to dawna Święta Ruś, która ongiś stawszy się częścią państwa moskiewskich carów w znacznej mierze umożliwiła mu — za Piotra I — wypłynięcie na arenę międzynarodową. To kraj-pomost, przez który chrześcijaństwo z Bizancjum rozprzestrzeniło się na Europę Wschodnią, wartości zaś zachodnioeuropejskie przeniesione zostały przed i po unii brzeskiej na wielkie obszary Rosji.

„Język ukraiński jest (na równi z rosyjskim) językiem oficjalnym w Ukrainie SRR, gdzie przed dwudziestoma laty na ogólną liczbę ludności 46 mln posługiwało się nim jako ojczystym 32,5 mln. Ponadto w ZSRR (głównie w obwodach woroneskim i rostowskim), a także w zachodniej części Krasnodarskiego Kraju, używa go 2,7 mln osób. Poza granicami ZSRR około 300 tys. Ukraińców zamieszkuje w diasporze ziemie zachodnie i północne PRL, około 70 tys. północno-wschodnią Słowację, 62 tys. Rumunię i 30 tys. Jugosławię. [...] Spore skupiska Ukraińców (w sumie około 100 tys.) rozsiane są w większości krajów Europy Zachodniej. Najliczniejszą i najlepiej zorganizowaną społeczność poza Europą tworzą kolonie emigrantów ukraińskich w Stanach Zjednoczonych AP (przeszło 1 mln) i w Kanadzie (700 tys.), które posiadają nie tylko własną prasę, ale także aktywne insty-

tucje naukowo-badawcze. Znaczna liczba Ukraińców (w sumie około 300 tys.) zamieszkuje Argentynę i Stany Zjednoczone Brazylii.” (W. Witkowski, Zeszyty Naukowe UJ, nr 32, 1971).

Jest rzeczą oczywistą, że tak liczne skupiska jak przede wszystkim amerykańskie, kanadyjskie czy brazylijskie, tworzą — bo tworzyć muszą — własną literaturę. Niniejszy wybór świadomie ogranicza się do r a d z i e c k i c h pisarzy ukraińskich.

*

„My w Polsce czytujemy Rosjan — nie Ukraińców. Polak obyty z klasyką rosyjską, z ukraińskiej w najlepszym razie zna nazwiska.

Istotnie, ten dwukrotnie przewyższający powierzchnią Polskę, liczebniejszy od nas ludnościowo kraj nie ma tak wspaniałego indeksu nazwisk literackich, jak sąsiedzi. Nie sądzę, by przyczyny były do odnalezienia, i czy można się domagać odpowiedzi na takie pytania. A dlaczego w Anglii nie było nigdy malarstwa na miarę holenderską? Hiszpańską? Dyskusje na ten temat mogą być interesujące, tylko że nie mnie interesują. W każdym razie trzeba pamiętać, że od roku 1864 obowiązywał — z decyzji cara — zakaz drukowania literatury po ukraińsku. Pisarze szukali wyjścia pod zaborem austriackim, nawiązując kontakty z lwowskimi wydawcami, ale nie każdy przecież mógł czy chciał oscylować ku Galicji. Ówczesna Ukraina to z urzędu kraj pozaliteracki. Carat zagipsował usta narodowi, a pozbawić naród ksiązek własnych to cios piekielny bez względu na to, jakie były obszary analfabetyzmu w tym narodzie. Dlatego powtarzam z naciskiem: pamiętajmy o sytuacji kraju, który mimo to jest krajem Szewczenki, Tyczyny, Hrabowskiego, Franki, Łesi Ukrainki. Krajem Kociubynskiego,

prozaika autentycznie godnego admiracji, jaką otaczają go rodacy". (A. Strońska, *Motyw wschodni*).

Miało przecież nie być o historii. Zgoda. Ale jak nie pokazać przynajmniej kilku wielkich filarów, na których wspiera się współczesna literatura ukraińska? Jak nie wspomnieć o wielkim osiemnastowiecznym mistyku Skoworodzie, którego myśl zachowała do dziś zadziwiającą świeżość i aktualność? A gdzie Aleksander Potebnia — jeden z największych filozofów języka, który położył podwaliny pod współczesną literacką krytykę formalną, dając początek całej szkole krytyczno-literackiej, bez którego nie byłoby ani Mukarowskiego w Czechosłowacji, ani Kridla w Polsce, ani Szkłowskiego w ZSRR, ani Wellecka i Blackmura w USA. A gdzie Dowżenko — bez którego najsłynniejsza triada radzieckiego kina (Eisenstein-Dowżenko-Pudowkin) byłaby uboższa o jedno ogniwo? Notabene — Dowżence właśnie zawdzięczamy jednego z prezentowanych w tym tomie autorów: to jego odkryciem był Winhranowski-aktor (w jednym z jego filmów) i Winhranowski-poeta „odkryty” ponownie przez oficjalną prasę literacką dopiero w roku 1961. Tutaj odkrywamy go po raz trzeci — jako prozaika.

*

Literatura każdego narodu posiada jakiś „genre”, w którym celuje: jest truizmem, że Francuzi nie mają Szekspira, a Anglicy Racine’a. Rodzajem literackim, w którym celują pisarze ukraińscy, jest nowela czy może raczej opowiadanie. (Większość zawartych w tym wyborze utworów to coś pośredniego między nowelą a opowiadaniem — nowela nie jest opowiadaniem, jest obrazkiem, wycinkiem życia.) W referacie na V zjeździe pisarzy Ukrainy w roku 1967 Ołes Honczar mówił: „Patrząc na ukraińską nowelistykę zarówno tę

sprzed roku 1917, jak i radziecką, widzimy, iż faktycznie można mówić o pewnej artystyczno-stylistycznej szkole, która reprezentuje Ukrainę w literaturze światowej. Nowelę tę charakteryzuje ogromna poetyckość, duży ładunek liryzmu, kondensacja obrazowania, wyrazistość rysunku i plastyka charakterów. Najlepsze utwory tego gatunku odznaczają się głębokim humanizmem i wielką wrażliwością na formę artystyczną." Na analogicznym VIII zjeździe w roku 1981 Pawło Zahrebelny postawił kropkę nad „i”: „Po okresie dominacji opisowości i zatartych, niewyraźnych konturów współczesna narracja ma już wiele odcieni: lirykę, ironię, filozofię, nawet pewien patos. Zniknęły — monotonia, prymitywizm, natrętna tendencyjność. Aktualne zmiany w autorskiej narracji ukazują również samego twórcę — mówią, jaki jest, ukazują jego silne strony, skłonności, wady.”

Nowela nie bez racji zajmuje tak poczesne i wyraźnie określone miejsce we współczesnej literaturze ukraińskiej. Ta pojemna, rozciągliwa forma swobodnie mieści w sobie wszystkie realia życia, gdzie pośród pozornie spokojnego nurtu nagle zaczynają kłębić się namiętności, gdzie komedia tak blisko sąsiaduje z tragedią, gdzie najczęściej dostrzec można błysk autentycznego doświadczenia pisarza. Silne wrażenie prawdziwości opisywanych wydarzeń jest charakterystyczną cechą noweli i wynika z jej struktury jako gatunku literackiego. Goethe mówił, że podstawą opowiadania musi być zawsze „niezwykłe zdarzenie, które naprawdę miało miejsce”. Dzięki swojej specyficznej formie nowela pozwala szybko chwycić wciąż zmieniające się kształty społecznej egzystencji.

Wspominaliśmy już, że wybór obejmuje przedstawicieli różnych literackich pokoleń i rozmaitych kierunków stylistycznych. Ta różnorodność tematyczna i bogactwo środków wyrazu świadczą zarówno o więzi

z najlepszymi tradycjami rodzimej nowelistyki, jak o aktywnych i płodnych poszukiwaniach.

Spora część prezentowanych opowiadań poświęcona jest — zgodnie z tradycją — współczesnej wsi.

Uwagę zwraca *Zielony świat* — jeszcze jeden przykład „inności” spojrzenia na sprawy wiejskie, próba przełamania pewnych stereotypów: nosicielami tradycyjnie pozytywnych cech ludzi urodzonych i wychowanych na wsi są starzy dziadkowie i babuleńki (bo młodzi w poszukiwaniu lepszego losu wyemigrowali do miasta — znacie to? znamy, znamy!). Szewczuk nie poszedł za tym stereotypem. Trudno stwierdzić, że jego starowinka to uosobienie dobroci i innych anielskich cech. Wręcz przeciwnie.

Drugim niemal stereotypowym wątkiem współczesnej noweli ukraińskiej jest miniona wojna. I nic dziwnego. Ale i tutaj troska o „inność” wchodzących do tomu utworów spowodowała, że tematyka ta traktowana jest jakby mniej bezpośrednio. O Wielkiej Wojnie Narodowej pisze na Ukrainie już drugie, jeśli nie trzecie pokolenie twórców: mówią o niej nie tylko ci, którzy sami brali w wojnie udział, ale także młodzi, którzy wojnę znają tylko z opowiadań. Są to więc nie tyle opowieści z lat wojny, ile jej echo wyraźnie wyczuwalne w ludzkich losach i w świadomości następnych pokoleń (*Leciała gąska...*, *Stary Hrabasz*).

*

Jeszcze słowo o baśniowości i fantastyce, jakimi przesycone są niektóre opowiadania. Jako przykład niech posłuży wspomniany już *Zielony świat*, choć i inne utwory (*Słońce*, *Droga*, *Skrzynia*) znakomicie egzemplifikują to, co poniżej.

Stosunek słowa poetyckiego do rzeczy, o której trak-

tuje, jest dla prozy Szewczuka wyróżnikiem najbardziej znamienym. Pisarz jawi się nam jako rzemieślnik-twórca — jego zadaniem jest obróbka tworzywa, z którego mają się zrodzić nowe kształty. Jego pracownią jest zwykła szara codzienność, a materiałem do „obróbki” — życie, jakie toczy się wokoło. Szewczuk (także Winhranowski) wprowadzają do swoich utworów i nadają wysoką rangę tematyce życia codziennego, potrafią ukazać sugestywnie i pięknie zarazem całą poezję otaczającej nas rzeczywistości. Pisarstwo w ich wydaniu to zdzieranie z tej rzeczywistości zasłon, to łamanie przeszkód krępujących wolę i wolność.

Umysłne zestawienie fantastyki z banalnością tematu (wąsaty księżyc-chłop ukazujący puciołowate oblicze nad płotem, Sen-Śpioch udający się wraz z rodziną na spoczynek do wierzbowej dziupli) nie tylko urzeka, ale i przekonuje, że ujawniając wartość etyczną i estetyczną wycinka zwyczajnego życia można z niego wydobyć piękno i niezwykłość bez uciekania się do wyszukanych środków przekazu poetyckiego. Jest to wyzwanie rzucone tradycyjnym wyobrażeniom o poetyckości, w którym Szewczuk odsłania tajemnice swojego warsztatu.

Szaty baśni użyczają realnemu, cokolwiek ironicznie potraktowanemu obrazowi mocy uogólnienia, odrealniają go, dając w zamian siłę alegorii losu ludzkiego. Tradycyjna forma pozwala „uruchomić” żywe, aktualne treści. Zarys wydarzeń jest nieskomplikowany, ale prościutka fabuła niemal prowokuje i zmusza do ożywienia rozedrganej mozaiki znaczeń i odcieni, nastrojów tkwiących w materii słów. Sięgając do czystych i jakże głębokich źródeł folkloru, pisarz ani na chwilę nie popada w stylizację, która jest ślepym zaułkiem pseudoludowości.

Na drugim niejako biegunie formalnym (ale i tematycznym) lokuje się proza Tarnawskiego. Nazwiska tego młodego prozaika (rocznik 51) próżno szukać w literackich almanachach. Styczniowa „Witczyzna” z 1983 roku przyniosła jego debiut: cztery opowiadania, z których dwa weszły do niniejszego tomu. Trudno na tak skąpym materiale „dowodowym” opierać jakiegokolwiek twierdzenia (nie wiadomo, dokąd skierują pisarza jego zainteresowania i jak dalece będzie umiał — i mógł — wykorzystać swój talent). Moim zdaniem, wraz z tym debiutem na literackiej giełdzie Kijowa pojawiło się absolutne novum — czas pokaże, czy zjawisko to zdoła wykroczyć poza granice owej giełdy i umocnić się jako wartość niezależna i trwała. Gdyby szukać odniesień na gruncie polskim — jest to coś na kształt *Pierwszego kroku w chmurach*. A może *Benka Kwiaciarza*.

Nie wiadomo, czy Alik z *Drzewa życia* stanowi porte-parole autora. Wiele zdaje się wskazywać, że tak jest istotnie. Alik należy do ludzi, dla których sztuka jest wszystkim. A sztuka to azyl dla skłóconych z życiem, bezpośrednio dla tego życia jakby nieprzydatnych. Mimo to jest niezachwianie pewny słuszności własnych przekonań. Ta pewność jest racją bytu dla niego jako artysty, a jednocześnie racją bycia artystą: nie jest to ufność ugody ani rezygnacji, kryptokompromisu czy małej stabilizacji. Jest to ufność niezgody i demaskacji. Alik neguje i dezawuuje komponenty rzeczywistości zastanej, negując — konstruuje, na nowo odkrywa dla ludzi świat wartości bezwzględnych, niezaprzeczalnych, pozytywnych, leżących na antypodach świata codzienności.

Alik do końca pozostaje samotny. „Nie robi się sztuki we dwóch, w pięciu. Sztukę robi się w poje-

dynkę. To dlatego właśnie tak lubiłem literaturę, że tam się liczą tylko ci, którzy idą w pojedynkę i nie wierzą w to, że ktoś im kiedyś wytłumaczy, o co im właściwie chodziło przez cały czas” pisał Hłasko (*Dru-gie zabicie psa*).

Tarnawski również zdaje się głęboko przekonany, że wartość czystej idei tworzenia jest nieprzemijająca i nieśmiertelna. Wydaje się, iż wierzy w aktywną, interwencyjną, twórczą i sprawczą moc sztuki, w jej wieczne istnienie. Twórcami — zdaje się mówić — mogliby być wszyscy ci, którzy w swej działalności usiłują zbliżyć się do prawdy, piękna, natury, lecz przede wszystkim twórcą może być ten, komu udało się zyskać przewagę nad samym sobą, kto przewagę tę zdolny jest utrzymać w nieskończoność. Tylko człowiek wrażliwy — i nieświadomy — może sprostać oczekującym go trudom i czyhającym nań zasadzkom...

*

W *Longplayu* Luśka siedzi na parapecie i słucha płyt. Leżąc na stojącej na skraju łąki kanapie Petro Zełeniuk śpiewa żołnierskie piosenki. Dziwnie swojsko brzmią one w naszych uszach. Chwileczkę... Toż to fragmenty wielkich przebojów Olgi Jackowskiej, Beattlesów, Anny Jantar, Sławy Przybylskiej. Jakże to tak? Czy na Ukrainie, z braku własnych, śpiewa się wyłącznie polskie piosenki?

Oczywiście, że nie. W tym miejscu dotykamy bardzo istotnej sprawy warsztatu przekładowego. Nie wchodząc w ocenę jego zalet bądź mankamentów — to zawsze należy do czytelnika — spróbujemy pokazać, czym kierowała się tłumaczka. *Longplay* jest cały zbudowany z nastroju. Nastrojowi podporządkowane są wszystkie elementy: wczesnojesienny pejzaż,

samotność, żal minionego lata. Z tym nastrojem wyraźnie korespondują, więcej — budują go — piosenki dobywające się z niesprawnego adaptera. Starając się trafić w ten nastrój, tłumaczka wybrała fragmenty piosenek dobrze czytelnikowi polskiemu znanych, dobrze się z tym nastrojem kojarzących — nieważne, że w oryginale brzmiących nieco inaczej.

To samo dotyczy żołnierskich refrenów wyśpiewywanych przez dziarskiego Zełeniuka. Ostatecznie — na całym świecie młodzi, wcieleni do wojska chłopcy śpiewają o tym samym: jak tęskno za rodzinnym domem, za dziewczyną, jak byczo jest maszerować na ćwiczenia i jaki fajny jest sierżant-szef. Pewnie — inaczej to brzmi po angielsku, inaczej po niemiecku, jeszcze inaczej po ukraińsku. Ale znów idzie przecież o klimat, o odmalowanie nastroju, nie zaś o mniej lub bardziej dosłowny przekład.

*

Nie jest moją sprawą klasyfikowanie dziewiętnastu opowiadań zawartych w zbiorze. Byłoby to zresztą zupełnie bezcelowe. Bardziej ważkie zdaje się twierdzenie, które na podstawie lektury można wypowiedzieć i — co ważniejsze — udowodnić: przedstawione opowiadania należą do literatury, która nie chce zamykać się w kręgu własnych, specyficznych problemów, ale proponuje otwarcie się na cudzy model życia. I na szeroki — nie tylko w geograficznym znaczeniu — świat.

Są w tym zbiorze opowiadania jakby nieco „egzotyczne” (*Nie ten sam człowiek, Odwet, Odjazd na Cyterę*), może nawet nie ze względu na geografie, ile szerokość horyzontów, które się przed nami otwierają. Większość jednak brzmi dziwnie znajomo, a na-

wet swojsko (*Astronom z Drohobycza, Czerwone maki na Monte Cassino*).

Zwłaszcza *Czerwone maki...* to niemal reportaż z pobytu autora w Polsce, pobytu uwieńczonego udziałem w kiermaszu książek na placu Defilad (na samo wspomnienie łąza się w oku kręci: książki na ulicznych stoiskach!). Prawdziwe sytuacje, prawdziwi ludzie. Teodor Porębski to nie kto inny jak Parnicki, Ernest Bilak — to Bryll, Andrzej Link — to Brycht, pan Stanisław — to nieodżałowanej pamięci Stanisław Głowiak, swego czasu — wspólny ze swą małżonką, Zofią — znakomity tłumacz literatury rosyjskiej i ukraińskiej.

Jeśli już wręczamy czytelnikowi klucz otwierający niektóre podteksty, a co za tym idzie ułatwiający ich zrozumienie, dodajmy jeszcze, iż film tak zabawnie streszczony przez bohaterkę *Longplaya* to słynne dzieło Antonioniego *Zawód reporter*. Tytułowy reporter istotnie usiłuje uciec od siebie, od zawodu, dotychczasowego życia. Bez powodzenia — zbyt wiele łączy go ze światem, który porzucił. Obezwładniony tą prawdą ginie (nie można dwa razy wejść do rzeki życia), umiera jednak w świecie, który wybrał...

*

Legat, który pozostawił legendarny Koternek z Rusi zapisując swój dom w Krakowie dla wszystkich, którzy od strony Drohobycza zechcą przywędrować tutaj, aby zgłębiać wiedzę na sławnym krakowskim uniwersytecie — ów legat nie poszedł chyba na marne. Gdyby pociągnąć dalej owe związki, powinowactwa i wzajemne zainteresowania, o których była mowa na wstępie, okazałoby się, że poprzez meandry historii i warstwy wieków można odnaleźć ową cienką, ale silniejszą niż przemijanie nić.

Chciałbym zakończyć uwagi o tomie opowiadań ukraińskich fragmentem opowiadania polskiego. Kto dziś pamięta jeszcze ów tomik, wydany przez „Czytelnika” trzydzieści sześć lat temu? Opisywane zdarzenie jest zaś chyba jeszcze o dwadzieścia lat wcześniejsze.

Pewnego dnia w krakowskim Akademickim Klubie Kresowym zjawił się gość zgoła osobliwy. „Był ubrany w szeroką sutannę, inną niż katolickie, i pomimo młodego, całkiem młodego wieku puszczała mu się już broda. [...] Ojciec Ułas — takie miał imię i takeśmy go zwali — obszedł już wprawdzie jako tako Kraków. Ale zrobił to, zdaje się, z nieśmiałością wiejskiego prostaka i trzeba mu to było szybko z głowy wybić. Trzeba było, aby dostrzegł szczątki ruskich malowań ściennych w kaplicy kijowskiej księżniczki Sonki, ostatniej, najbardziej frywolnej i najbardziej płodnej małżonki Władysława Jagiełły. Trzeba mu było pokazać wspaniały Matejkowski ikonostas w cerkwi unickiej przy Plantach i groźnego *Wernyhorę* w Muzeum Narodowym nad Sukiennicami, z Kozakiem, Lachem, popem i chłopakiem, zasluchanymi w groźne słowa stepowego proroka. Ale nie wiem, czy *Trojka* Chełmońskiego, rozpędzona w galopie przez błotniste wyboje nie wydała mu się bliższa i bardziej swojska. Potem widział na starych rycinach Wawel średniowieczny, jeszcze nie tknięty przez Włochów, gdzie zamiast barokowych hełmów rozpinały się na jego wieżach krągłe, jak cerkiewne, kopuły, gdzie jeszcze było w nim mniej z Florencji, a za to więcej z Kijowa. Potem widział przywileje królewskie pisane w mowie białoruskiej oraz, dla odmiany, *Lament cerkwi*, pisany przez ruskiego archimandrytę Melecjusza Smotryckiego w najczystszej Skargowskiej polszczyźnie. To wszystko drzemało w «Jagiellonce». Na Salwatorze,

u profesora Bohdana Łepkiego, odnalazł najpiękniejszy chyba zbiór starych ikon ukraińskich...”

Tak pisał w roku 1948 Ksawery Pruszyński. Dziedzictwo Koterbaka trwa. Choć inne są dzisiaj rzeczy i inni ludzie...

wrzesień 1983

L.K.

Spis treści

Nina Biczuja Astrolog z Drohobycza	5
Wołodymyr Drozd Słońce	26
Wołodymyr Drozd Wasyłynka	42
Jewhen Hucalo Behape	53
Jewhen Hucalo Kanapa na skraju łąki	58
Roman Iwanyczuk „Odjazd na Cyterę”	70
Roman Iwanyczuk Odwet	83
Jurij Łohwyn W jesiennej mgle	88
Jurij Łohwyn Leciała gaska, leciała...	95
Jurij Pokalczuk Nie ten sam człowiek	103
Bohdan Suszynskij Stary Hrabasz	116
Jurij Szczerbak Czerwone maki na Monte Cassino	128
Wałerij Szewczuk Zielony świat	149
Wałerij Szewczuk Droga	174
Wasył Szklar Kruk — ptak nietutejszy	188
Wałentyn Tarnawskij Drzewo życia	204
Wałentyn Tarnawskij Longplay	221
Hryhir Tiutiunyk „Kózka”	232
Mykoła Winhranowskij Skrzynia	247
Noty o autorach	257
Posłowie (Leszek Kossobudzki)	263

„Czytelnik”, Warszawa 1986. Wydanie I.
Nakład 20 320 egz. Ark. wyd. 12,3; ark. druk. 17,5.
Papier druk. sat. kl. IV, 65 g, 82×104.
Oddano do składania 21 III 1984 r.
Podpisano do druku 10 II 1986 r.
Druk ukończono w kwietniu 1986 r.
Zakłady Graficzne w Toruniu.
Zam. wyd. 869; druk. 1568. N-67.
Printed in Poland



Cena zł 220,—

ISBN 83-07-01269-4